

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik nr 2 (10) 2015

Egzemplarz bezpłatny
ISSN 2353-1304



FUNDACJA

KGHM

POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

FUNDACJA

KGHM

POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik wydawany przez Fundację KGHM Polska Miedź
w ramach Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR)
KGHM Polska Miedź S.A.
ISSN 2353-1304

Redaktor Naczelny

Krzysztof Kulacz

Redakcja

Maria Kuncaitis, Krystyna Nikończuk, Zbigniew Szarmach, Jadwiga Wardach

Wydawca

Fundacja KGHM Polska Miedź
ul. Skłodowskiej-Curie 48, 59-301 Lubin
tel. 76 747 81 23
e-mail: krzysztof.kulacz@kgbm.com
www.fundajakghm.pl

Druk

Miedziowe Centrum Kształcenia Kadr Sp. z o.o. w Lubinie
Poligrafia: 59-300 Lubin ul. Budziszyńska 6A

Nakład 3500 egzemplarzy

Fotografie ze zbiorów redakcyjnych i archiwalnych
W tekstach nadesłanych i przeznaczonych do druku Redakcja zastrzega sobie
prawo zmian i skrótów.

Okładka: Mecz z Ruchem Chorzów w Pucharze Polski. Na zdjęciu kolejny raz
znakomicie interweniuje Franciszek Machaj, atakuje go wybitny w tamtym
czasie napastnik „niebieskich” Jan Beniger. Bramkarzowi pomaga w obronie
Stanisław Kieć.

„Chlapnął” i... wyleciał z radiowęzła – Marian Spychała	9
Koperta dla Gomułki – Bronisław Bandura	13
Elektryk na turystycznych szlakach – Marian Turkiewicz	20
40 lat z mikroskopem na Miedzi – Jan Jarosz	26
Dziękowano nam za uratowanie załogi i kopalni – Adolf Chyra	33
Górnik z jedną żółtą kartką – Franciszek Machaj	42
Na Wigilię podano nam rekina – Jan Hawrysz	49
Wciąż goni mnie po świecie – Andrzej Banaszak	57
Najtrudniej powiadomić rodzinę o nieszczęściu – Lech Świerszcz	65
Od wymiany żarówki po remont lokomotywy – Tadeusz Borysiak	73
Hutnicy dla Satyrykonu – Jan Plewczyński	80
To więcej niż zwykły szyb – Mirosław Zbieron	86
Nie byłam bezimienna – Krystyna Kędroń	90
Ciągnie mnie do twardych ludzi – Tadeusz Madziarczyk	96
Słownik terminów	102

Z wielką radością i satysfakcją przekazujemy Państwu kolejne Miedziorysy, w których opisujemy losy ludzi związanych z Polską Miedzią. Troska o pielęgnowanie tradycji jest jednym z ważnych elementów realizowanej przez KGHM polityki społecznego zaangażowania. Utrzymywanie relacji z byłymi Pracownikami Polskiej Miedzi rozumiemy też jako jeden z aspektów kultury wartości pracy i etyki w naszej firmie.

KGHM liczy blisko 55 lat działalności. Przez pierwsze lata budowy firmy, kolejne - dynamicznego jej rozkwitu, a także późniejsze - stabilnego rozwoju, tworzyła się wielowątkowa historia jednego z najważniejszych podmiotów gospodarczych w Polsce. Wartość KGHM opiera się nie tylko na surowcach, technologiach, rachunkach ekonomicznych, ale także na pracy zespołów ludzi i ich doświadczeniu. Opisani przez nas bohaterowie, zdobywając wiedzę i nabierając bezcennych kompetencji w dziedzinie geologii, górnictwa, hutnictwa, przetwórstwa, handlu, badań i rozwoju, potrafili w sposób optymalny osiągać zamierzone cele i z optymizmem patrzeć w przyszłość. Pracując dla KGHM, wspólnie dali mu najcenniejszy zasób, jakim jest dzisiaj wiedza. Budowali markę KGHM, ale jednocześnie tworzyli silne więzi pomiędzy sobą, które stanowią dzisiaj o jej tożsamości. Pochodzą z różnorodnych środowisk, ściągali tu z całego kraju, a nawet zza granicy; niektórzy mają za sobą dramatyczny bagaż doświadczeń wojennych. Są wśród nich pracownicy KGHM, a także ludzie spoza firmy, w różny sposób związani z Miedzią. Dla większości z nich Zagłębie Miedziowe jest spełnieniem życiowych oczekiwań. Chętnie opowiadają o okolicznościach podejmowania pracy na Miedzi i o związanych z nią trudach, o swoich sukcesach i porażkach. Nie unikają wspomnień o tragicznych zdarzeniach, które mimo upływu czasu, wciąż pozostają w pamięci i budzą emocje. Mówią także o swoich prywatnych sprawach: zakładaniu rodziny, dzieciach, wnukach.

Odbieramy od naszych Czytelników wiele pozytywnych opinii wskazujących na duże zainteresowanie wspomnieniami. Mamy również nadzieję, że kolejny zbiór wspomnień zainspiruje innych, byłych Pracowników Polskiej Miedzi, do podzielenia się z nami swoimi historiami, przeżyciami a także dokumentacją fotograficzną.

Redakcja

Nie wiem, kto wpadł na ten pomysł, by wysunąć moją kandydaturę. W każdym razie ludzie mnie wybrali i w rezultacie zostałem sekretarzem ekonomicznym KSR, czyli Konferencji Samorządu Robotniczego. W jego skład wchodziła „trójca”: partia, związki zawodowe i młodzieżówka. Wtedy, w latach 60., KSR w pewnych sprawach miała bodaj większą władzę niż dyrektor.

*Marian Spychała,
pracownik radiowęzła,
konserwator,
elektryk w Zakładach
Górnich Konrad.
Pracował w latach
1955-1990*



„Chlapnął” i... wyleciał z radiowęzła

– W mojej wiosce tylko nieliczni nie mówili po niemiecku – mówi Marian Spychała. – Ale ja znałem tylko kilka słów. Tyle, żeby się jakoś wybronić, kiedy rzuciłem kamieniem i uderzyłem niemieckiego kolegę. Aus Versehen (niechcący) – tłumaczyłem się, i darowali mi karę. A może dlatego, że nie miałem jeszcze nawet dziesięciu lat...

Nigdy się nie dowiedział, co by się stało, gdyby jego czyn został zakwalifikowany jako umyślne uderzenie kamieniem Niemca. Może obóz, może coś innego. Raz podciął batem konia, którym jechał pewien Niemiec.

– Złapał mnie i dał mi wciry – przypomina tamten incydent. Kiedy indziej, po jakimś kolejnym wybuchu, musiał się chować wśród torfu, przykryty deską. Zdecydowanie nie nadawał się na grzecznego chłopca.

■ Przesadził z normą

Kiedy wreszcie skończyła się wojna, przez przypadek znalazł się w Bolestawcu. W trybie przyspieszonym i wymuszonym warunkami, w ciągu pół roku skończył podstawówkę, podobnie jak wielu jego rówieśników. A potem zawodówka. W 1950 roku pracował już w stolarni wrocławskiej „Jedynki”, która brała udział w uruchamianiu kopalni ZG Konrad. I razem z kolegami wyrabiał 150 proc. normy.

Był problem, bo okazało się, że zakład może wypłacić co najwyżej 130 proc. normy. Zrozumiał – głową muru nie przebiję. Przy najbliższej okazji przeniósł się do brygady elektryków. Dzisiaj przyznaje, że właściwie zawsze chciał być elektrykiem. Może nawet ten incydent z wypłatą normy przyczynił się do tej zmiany. Dziś już dokładnie nie pamięta. Za to dziwi się, dlaczego ZUS po pół wieku pyta go, czy wtedy brał urlop?

- Nie mam pojęcia - odpowiada ze śmiechem. - Zupełnie mi to wyleciało z pamięci! Gdybym wiedział, że będą o to pytać, to pewnie zachowałbym kartę urlopową.

■ W wojskowej młodzieżówce

Spychała piał się w górę. Wówczas awansem była również służba wojskowa. Zwłaszcza dla młodego chłopca z wielkopolskiej wsi. Poszedł do szkoły podoficerskiej w Lublinie. W sumie siedem miesięcy - nauki i praktyki.

- Przewodniczącym Związku Młodzieży Wojskowej był wtedy chłopak ze Świnoujścia - wspomina Spychała. - Stale powtarzał, że musi popłynąć na Bornholm. Nie wiem, czy rzeczywiście miał taki zamiar, ale nie powinien się nim

batalionu. Wtedy już nie musiałem chodzić na szkolenia, jak wszyscy żołnierze. Zaglądałem do świetlicy, przygotowywałem różne akademie. Takie-tam.

W wojsku dosłużył się stopnia kaprała. Prochu też się nawąchał.

- Kiedy do nas strzelali, to i my odpowiadaliśmy ogniem wspomina. Kto strzelał?

- Oni, bandyci... - odpowiada. I ucina dalsze pytania.

■ Rachmistrz w komitecie

Po powrocie z wojska, w 1954 roku, przez krótki czas pracował w powiatowym Komitecie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Bolesławcu.



W przykładowym warsztacie z młodzieżą szkolną.

chwalić. W tamtych czasach to mogło zaszkodzić. Ktoś doniósł na niego i musiał pożegnać się ze swoją funkcją. Mnie wybrali, najpierw na szefa kompanijnego ZMW, a potem całego

- Żona też tam pracowała - mówi Spychała. - Przyjęli mnie do księgowości. Taki krótki epizodzik. Chcieli mnie zrobić szefem LOK (Liga Obrony Kraju), ale nic z tego nie wyszło. No, to

miałem zostać rachmistrzem w komitecie. Ale ze mnie księgowy, jak z księdza święty – śmieje się z własnego porównania.

– Potem przenieśli mnie na „Konrad”, do zakładowego radiowęzła. Jednocześnie prowadziłem zakładową świetlicę. Dawałem sobie radę, bo miałem doświadczenie z wojska, gdzie też byłem „kaowcem”.

Odpowiadało mu to zajęcie. Raz tylko zjechał na dół, żeby zobaczyć, jak górnicy pracują pod ziemią.

– Oprowdzał mnie starszy górnik. Brnęliśmy przez jakieś błota, wszędzie było bardzo ciemno. Zobaczyłem kopalnię i powiedziałem sobie, że choćbym miał chleba nie jeść, na dole nie będę pracował! – do dzisiaj tak wspomina tę podziemną wizytę.

■ Pogawędził z artystkami

Zdecydowanie wołał się poruszać pomiędzy radiowęzłem a świetlicą. Zwłaszcza, że za tę świetlicę dostawał 600 złotych dodatku. W porównaniu z pracą na dole, tu była sielanka, i kultura, i bon ton. I pieniądze wcale nie takie marne. I łatwiej można było załatwić choćby wczasy w ośrodku zakładowym.

– Na Barbórkę do naszej zakładowej świetlicy przyjeżdżała nawet Kalina Jędrusik czy Anna German – wspomina. – Miały u nas swoje garderoby. Porozmawialiśmy czasem o tym i owym.

Kiedy wydawało się, że wszystko w swoim zawodowym życiu ma już ułożone, nagle zdarzyło się coś, co w zasadniczy sposób wpłynęło na dalszy los Mariana Spychały.

– Przywieźli sekretarza partyjnego z Kamiennej Góry – wspomina. – Nie wytrzymałem w radiowęźle coś powiedziałem. No, chlapię tak, jakbym nie wiedział, jak się to skończy. Dla mnie to było zwyczajne pytanie. Bo skoro mamy tylu naszych mądrych ludzi, to dlaczego sprowadzamy sobie kogoś z Kamiennej Góry?

To wystarczyło. Na drugi dzień Spychała nie pracował już w radiowęźle. Został przesunięty

na inne, „ważne” stanowisko. Został konserwatorem w hotelach „Konrada”. Kopalnia miała trzy hotele: w Iwinach, Bolesławcu i Warcie Bolesławieckiej. Zajmował się wszystkimi trzema, naprawiał drobne usterki w instalacjach wodno-kanalizacyjnych, pomagał przy remontach.

– To nie była praca dla mnie – wspomina. – Na szczęście miałem zaprzyjaźnionego sąsiada,



Z żoną Władysławą przeżyli razem już 63 lata.

który zaproponował, żebym przyszedł do niego na konserwatora. W ten sposób znowu trafiłem do „Konrada”, tym razem na przeróbkę.

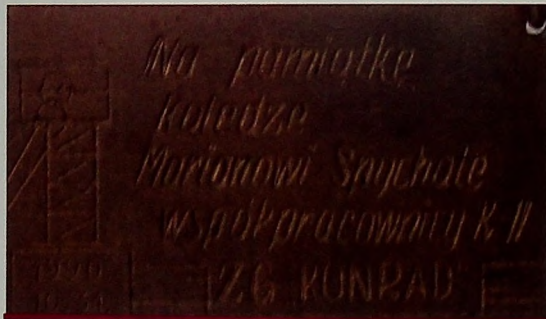
■ Rozdzielał mieszkania

Zajmował się konserwacją zbiorników, przez które przechodził koncentrat rudy miedzi. A kiedy po krótkim czasie zwolniło się miejsce w brygadzie elektryków, z chęcią do niej dołączył. Wydawało się, że kolejne zakręty w zawodowym życiorysie same się wyprostują. Miał robotę, którą lubił. Pracował z ludźmi, których szanował i oni jego też. Czego więcej było mu potrzeba?

– Po jakimś czasie, kiedy już mi się wszystko w pracy ułożyło – wspomina Spychała – odbywały się wybory do rady zakładowej. Nie wiem,



*Pożegnanie z „Konradem”
– pamiątkowy puchar z dedykacją od współpracowników.*



Dedykacja od kolegów na pucharze.

któ wpadł na ten pomysł, by wysunąć moją kandydaturę. W każdym razie ludzie mnie wybrali i w rezultacie zostałem sekretarzem ekonomicznym KSR, czyli Konferencji Samorządu Robotniczego. W jego skład wchodziła „trójca”: partia, związki zawodowe i młodzieżówka. Wtedy, w latach 60., KSR w pewnych sprawach miała bodaj większą władzę niż dyrektor.

Spychała został przewodniczącym komisji mieszkaniowej.

– Wcześniej ta komisja jedynie przyklepywała decyzje podjęte przez dyrekcję – mówi pan Marian. – Aż w końcu przyjechała jakaś kontrola i okazało się, że rozdział mieszkań należy do kompetencji komisji. I wtedy ustaliłem, że dyrektor będzie miał z każdej puli jedno miesz-

kanie do dyspozycji. Resztę dzielimy pomiędzy załogę, według kolejki.

■ **Ucz się albo i ...nie**

Marian Spychała się wyróżniał. Był aktywny. Miał poparcie ludzi, którzy ciągle go wybierali do różnych gremiów, organizacji, by ich reprezentował. Nic dziwnego, że i „góra” w końcu Spychałę dostrzegła. Wysłała go do technikum elektrycznego do Świdnicy. Dzięki temu uzyskał uprawnienia zawodowe elektryka, by w przyszłości móc zostać instruktorem nauki zawodu.

– Mogłem wówczas prowadzić zajęcia zawodowe z uczniami szkolącymi się na stolarzy i elektryków – wspomina. – Zawsze dużo od nich wymagałem. I od razu mówiłem: jak się ktoś nie chce uczyć, to nie musi przychodzić

na moje lekcje. Od lat Marian Spychała już nie pracuje ani w „Konradzie”, ani w szkole zawodowej. W domowym archiwum trzyma życiowe trofea - odznaczenia i medale: Polonia Restituta (Order Odrodzenia Polski), Srebrną Odznakę im. Janka Krasickiego, Brązowy Krzyż Zasługi i Zasłużony dla Województwa Legnickiego. Są też i inne, pomniejsze.

Już się nie pnie w górę, nie czeka na awanse. Cieszy się ze swoich wnuków i prawnuków.

– Z żoną przeżyliśmy razem już 63 lata – mówi, z dumą pozując do wspólnego zdjęcia. – To kawał życia. Może mogło być inne, ale było jakie było. Najważniejsze, że nie mam się czego wstydzić - zawsze starałem się dbać o porządek i troszczyć się o ludzi. ■

**Pewnego dnia, na koniec pracy,
dyrektor Tobolski powiedział:
„Słuchaj Bandura, napisałem
raport o stanie budowy i klimacie
wokół całej inwestycji. Ma trafić
do Gomułki. Nie obchodzi mnie,
jak i z kim to zrobisz”.**

*Bronisław Bandura,
główny księgowy
ZG Lubin w budowie,
KGHM w budowie,
Zakład Doświadczalny,
ZG Rudna.
Pracował w latach
1957-1991*



Koperta dla Gomułki

Z wczesnego dzieciństwa zapamiętał ataki Sowietów na rodzinny Czortków. Pierwszy udało się odeprzeć, ale drugi niestety - nie. Rosjanie zgonili na rynek całą miejscową inteligencję i wszystkich powiesili. Razem z ojcem był świadkiem tych wydarzeń. Potem tato został wcielony do Armii Czerwonej, a jakiś czas później mały Bronek musiał z mamą i bratem uciekać z miasta przed wywózką na Sybir.

- Wyruszyliśmy w nocy do Jarosławia, który znajdował się pod okupacją niemiecką, co wydawało nam się mniejszym złem od okupacji sowieckiej - mówi Bronisław Bandura. - Mieszkał tam wujek, który był doktorem i leczył niemieckich oficerów. Dzięki temu mógł zapewnić nam utrzymanie i względne bezpieczeństwo. W Jarosławiu mieszkaliśmy do zakończenia wojny, potem przenieśliśmy się do Tarnowa, gdzie znalazł nas ojciec. Był czołgistą i pod Bautzen został ciężko ranny. Trafił do szpitala w Legnicy, w którym wyrobiono mu rosyjskie dokumenty na nazwisko Bandura Martyn Pawłowicz i odesłano do Jarosławia leżącego po sowieckiej stronie. Dopiero w 1946 r. uciekł z Rosji, przekraczając nielegalnie granicę. Kiedy dotarł do Tarnowa, był tak wychudzony i zmieniony, że nie poznaliśmy go na ulicy.

■ Z aresztu do kopalni

Z Tarnowa rodzina Bandurów przeniosła się do Głubczyc koło Raciborza. Bronek uczył się w liceum. W 11 klasie został aresztowany wraz z kilkunastoma kolegami i dwoma profesorami. - Oskarżono nas o przynależność do nielegalnej grupy opozycyjnej. Wprawdzie do niej nie należałem, ale jako starosta klasy siłą rzeczy byłem podejrzany. W areszcie trzymali nas osiem miesięcy. Byliśmy bici a przesłuchania ciągnęły się całymi nocami. Gdy mnie wypuścili, było już po maturze. Znalazłem pracę na taśmociągach w Kopalni Węgla Kamiennego „Rydułtowy”, gdzie panowało duże zagrożenie metanem; od dyscypliny oraz solidarności górniczej w dużej mierze zależało nasze bezpieczeństwo. Praca ta była dla mnie prawdziwą wyższą szkołą życia. Kiedy kilka lat później trafiłem na „Lubichów”, czułem się już doświadczonym górnikiem.

■ Podejrzewali sabotaż

Pracując, zdobył świadectwo dojrzałości i dostał nakaz pracy do Banku Inwestycyjnego w Jeleniej Górze. Nadzorował finansowanie budowy „Turowa” i jeleniogórskiej Celwiskozy. Tam nauczył się obsługi finansowej inwestycji, kontrolowania procesów inwestycyjnych, pla-

nowania oraz ich rozliczania, co przydało się mu w dalszym życiu zawodowym.

W nakazie pracy miał zagwarantowany przydział mieszkania. Tymczasowo pan Bronisław zamieszkał w bankowej służbowce, potem wy-

z nakazem pracy. Z powodzeniem zacząłem się starać o jej względy, wkrótce wzięliśmy ślub, a potem urodziła się nam córeczka.

„Lubichów” był kopalnią o dużym zawodnictwie, często dochodziło w niej do różnych nie-



Rok 1960. Pracownicy dyrekcji ZG Lubin w budowie - jej siedziba znajdowała się u zbiegu ulic Kościuszki i M. Skłodowskiej-Curie. Od lewej: Mirosław Marchewski, za paniami Kazimierz Dubiński, Tadeusz Zygmunt, Bronisław Bandura, Janina Jaszczowska, Józef Chodorowski, Władysław Skiba, Kazimierz Fochtman, Zbigniew Tobolski, Eugeniusz Stężowski, n/n (nie był pracownikiem ZG), Stefan Koniecznyński.

najął mieszkanie, ale otrzymanie docelowego wciąż było wielką niewiadomą. Gdy więc dyrektor Arkadiusz Tobolski zaoferował mu pracę w kopalni „Lubichów” i niemal od ręki mieszkanie, zdecydował się na przejście.

– Warunki finansowe też były dużo lepsze – dodaje. – W banku jako starszy inspektor zarabiałem 600 zł, w kopalni blisko 3 tys., co pod koniec lat 50. nie było małą kwotą. W kopalni od razu poczułem się na swoim miejscu, ponieważ byłem bliżej produkcji. Pewnego dnia wezwał mnie do siebie dyr. Tobolski i powiedział, że z puli wojewódzkiej załatwił mi duże mieszkanie w Bolesławcu. Akurat wcześniej poznałem na zabawie Marię. Przyjechała z Przeworska

bezpiecznych zdarzeń – wspomina Bronisław Bandura. – W dzień Wszystkich Świętych 1957 roku doszło do nagłego wyrzutu wody, kamieni i żwiru z kawerny. Mimo ogromnego wysiłku załogi, wody nie udało się zatamować i kopalnię załalo. Na drugi dzień w „Lubichowie” od rana szalał Urząd Bezpieczeństwa, podejrzewając, że był to sabotaż. Oczywiście niczego się nie doszukali, ale ile krwi nam napsuli!

■ Pod okupacją sowiecką

Gdy w styczniu 1960 roku utworzono przedsiębiorstwo państwowe Zakłady Górnicze Lubin w budowie, jego pierwszym dyrektorem został Arkadiusz Tobolski. Decyzją Zjednocze-

nia Górniczo-Hutniczego Metali Nieżelaznych w Katowicach razem z dyrektorem do pracy w nowym przedsiębiorstwie zostali oddelegowani: Bronisław Bandura (gł. księgowy i ekonomista), Józef Chodorowski (księgowy), Kazimierz Fochtman (inż. mechanik), Janina Jaszczowska (kadrówka), Stefan Koniecznyński (specjalista ds. zaopatrzenia), Kazimierz Dubiński (inż. geolog), Mirosław Marchewski (geolog), Władysław Skiba (kierowca), Jan Skowronek (inż. elektryk), Eugeniusz Stężowski (spec. ds. dokumentacji technicznej), Tadeusz Zygmunt (inspektor nadzoru).

dano nam do zrozumienia, że nie mają żadnego wpływu na Ruskich – opowiada pan Bandura.



1 grudnia 1973 r. Wizyta delegacji partyjno-rządowej w ZG Rudna. Na pierwszym planie Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz. Z tyłu, pierwszy z lewej, B. Bandura.

Przez dwa miesiące, z powodu braku odpowiednich pomieszczeń w Lubinie, zespół pracował na terenie kopalni „Lubichów”. Potem zakupili duży barak w Nowym Kościele, który po przewiezieniu do Lubina postawiono u zbiegu ulic Kościuszki i M. Skłodowskiej-Curie (później wybudowano w tym miejscu Pelex).

Do pracy w Lubinie dojeżdżali z Bolesławca ciężarówym Uazem. W tym czasie w mieście stacjonowały wojska sowieckie. Na ul. Kościuszki były koszary, Rosjanie zajmowali lotnisko, w budynku, w którym obecnie mieści się Pałac Ślubów, znajdowała się szkoła dla dzieci radzieckich żołnierzy. Pan Bronisław mówi, że dosyć często dochodziło do scysji pomiędzy „czerwonoarmiejcami” a mieszkańcami, którzy czuli się tutaj, jak pod sowiecką okupacją.

■ Byli bezkarni...

Kiedyś rosyjska ciężarówka uderzyła w tył Uaza, którym jechali: Janina Jaszczowska, Kazimierz Fochtman i Jan Skowronek. Samochód wpadł do rowu, a jadący nim odnieśli poważne obrażenia. Najbardziej ucierpiał inż. Fochtman, podobnie mocno została poturbowana pani Jaszczowska, najmniejsze obrażenia odniósł inż. Skowronek. Niestety ani milicja, ani UB, ani nawet radzieckie służby nic w tej sprawie nie robiły.

– Zwracaliśmy się nawet z prośbą o pomoc do bezpieki wojewódzkiej we Wrocławiu, ale

– Dla Józefa Chodorowskiego incydent z Rosjanami też o mały włos nie skończył się tragicznie. Gdy wieczorem przechodził w pobliżu sowieckich koszar, usłyszał rozkaz: „ręki w wierzch!”, wystraszony rzucił się do ucieczki. Wartownicy zaczęli strzelać, kula trafiła go w ramię, ale udało się mu zbiec. Dwa lata później Tadeusz Zygmunt wybrał się na ryby w okolicy Chocianowa i ślad po nim zaginął. Jak się później okazało, złapali go Rosjanie, bo łowił w pobliżu jednostki wojskowej. Po dwóch tygodniach zrozpaczona żona zwróciła się o pomoc do Tadeusza Zastawnika, który już był dyrektorem kombinatu. Dyrektor wezwał mnie do siebie. Domyślałem się, że Tadeusz został zatrzymany przez Rosjan. Zastawnik dał mi 1000 zł na „suweniry” (bez nich wszelkie rozmowy nie miały najmniejszego sensu) i kazał jechać po niego. Udało się wyciągnąć go z ruskiego aresztu, ale dyrektor musiał dołożyć więcej pieniędzy, bo zdesperowany aresztant połamał w celi wszystkie meble.

■ Z misją od Tobolskiego

– Ktoregoś dnia, na koniec pracy, dyrektor Arkadiusz Tobolski powiedział: „Słuchaj Bandura, napisałem raport o stanie budowy kopalni i klimacie wokół całej inwestycji. Ma trafić do Go-

mułki. Nie obchodzi mnie, jak i z kim to zrobisz". Dał mi zaklejoną kopertę – wspomina Bandura. – Pojechałem jego służbową czerwoną warszawą do Katowic. Dotarłem do człowieka, który mógł pomóc w przekazaniu koperty wiceministrowi Franciszkowi Waniolce, bliskiemu współpracownikowi I Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki. Zaprosiłem go na obiad do restauracji przy ul. Mariackiej w Katowicach, ale nie chciałem nawet słyszeć o mojej prośbie, bo się bał... (Waniolka słyszał z tego, że lekką ręką usuwał ze stanowisk podwładnych nawet za najmniejszą niesubordynację). Dał mi jednak namiary na swojego kolegę, który zgodził się poinformować mnie o planowanym przyjeździe Waniolki do Katowic. Rzeczywiście kilka dni później zadzwonił, że Waniolka będzie na kopalni Rydułtowy. Pojechałem tam i czekałem na przyjazd wiceministra. Spotkałem się z nim i wręczyłem kopertę. Obiecał przekazać ją Gomułce. Byłem bardzo zadowolony, że mi się udało, bo drogą oficjalną nie byłoby to możliwe. Działacze partyjni, poczynszy od szczebla powiatowego, nigdy by nie dopuścili do tego, aby krytyczny raport o Rosjanach trafił do władz centralnych PZPR.

■ Zostały psy i koty

– Nigdy nie dowiedziałem się czy raport dyr. Tobolskiego rzeczywiście dotarł do Gomułki. Jednak jeszcze tego samego roku Rosjanie zaczęli przygotowywać się do opuszczenia Lubina. W 1960 r. wynieśli się z miasta, zostały po nich zdewastowane obiekty oraz psy i koty. Wszyscy bardzo się cieszyliśmy z ich wyjazdu – wspomina pan Bronisław.

W kombinacie powołano Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego, którego zadaniem było remontowanie budynków i adaptowanie ich na hotele robotnicze dla szybko powiększającej się liczby pracowników. W czerwcu 1961 roku przy budowie kombinatu zatrudnionych było już około dwóch tysięcy osób. Równocześnie rozpoczęto budowę Osiedla Awaryjnego w Lubinie dla rodzin górników.

– Z kompleksu poradzieckiego w pierwszej kolejności został wyremontowany budynek dla dyrekcji przedsiębiorstwa ZG Lubin w budowie, ten w którym do dziś urzęduje zarząd spółki KGHM. Przenieśliśmy się z baru do nowej siedziby, wreszcie dyrektor Tobolski miał swój gabinet i nawet zatrudnił sekretarkę.

■ Bunt wiertaczy

Wkrótce po tym, jak Rosjanie się wynieśli, zastrajkowali pracownicy wykonujący odwierty w złożu. Mieszkali w obskurnych barakach i często nie mieli co jeść, bo w sklepie niewiele można było kupić. I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu był wówczas Władysław Matwin, wcześniej członek Komitetu Centralnego.

– Dowiedziałem się, że to człowiek, który podpadł Gomułce i dlatego „zesłano” go do Wrocławia. Gdy poinformowaliśmy go o strajku, początkowo twierdził, że to sprawa dla Urzędu Bezpieczeństwa. Po rozmowach z nami uznał jednak, że najlepszym rozwiązaniem będzie podniesienie kategorii zaopatrzenia dla Lubina, Polkowic i Głogowa. Telefon do Bronisława Ostapczuka, wojewody wrocławskiego, załatwił wszystko, nie obyło się jednak bez oparcia sprawy o bufet. Już następnego dnia w sklepach Gminnych Spółdzielni w zagłębiu miedziowym pojawiły się konserwy i inne artykuły spożywcze. Wiertacze, usatysfakcjonowani takim rozwiązaniem, zakończyli protest.

■ Zmienili nie tylko nazwę

1 maja 1961 roku w miejsce ZG Lubin w budowie powołano Kombinat Górniczo-Hutniczy w budowie. Jego dyrektorem został Stanisław Lasek z Warszawy.

– Arkadiusz Tobolski nie znalazł uznania u dygnitarzy – twierdzi pan Bandura. – Niestety ta zmiana spowodowała poważne animozje między dwiema grupami pracowników. Pierwsza wywodziła się z bardzo prorosyjskiego aktywu partyjnego z Warszawy, drugą wałbrzyską tworzyli m.in. byli reemigranci z Francji, członkowie Francuskiej Partii Komunistycznej. Dyrektor Lasek nie umiał sobie poradzić z tym konfliktem. Potem rozchorował się i w 1962 r. zastąpił go Tadeusz Zastawnik, który szybko uspokoił całe towarzystwo i w następnych latach nie było już tego rodzaju problemów.

■ Kasa na kulturę

Gdy we wrześniu 1962 r. w Lubinie przebywała delegacja partyjno-rządowa z Władysławem Gomułką i Józefem Cyrankiewiczem na czele, w jej składzie był również wiceminister przemysłu ciężkiego Waław Czachórski.

– Na korytarzu w budynku dyrekcji zauważył mnie Czachórski (poznaliśmy się wcześniej pod-



Rok 1968. Karczma piwna w Zakładzie Doświadczalnym. Od prawej: B. Bandura, obok goście - panowie Faryniarz i Kosenko.

czas mojej delegacji w stolicy). Zaprosił mnie na przejażdżkę po mieście swoim służbowym samochodem (miał tu rodzinę). Wypytywał, co się dzieje w Lubinie, a ja odpowiadałem, zgodnie z prawdą, że oprócz knajpy „Miedzianki”, nie ma gdzie wyjść. A przecież górnikom coś się po pracy należy, przydałaby się na przykład jakaś placówka kultury. Minister odpowiedział, że się nad tym zastanowi, wątpił jednak czy się uda cokolwiek załatwić, bo brakowało pieniędzy. Jednak mu się udało zdobyć środki i jakiś czas później ruszyła budowa DKZM. Wprawdzie dom kosztował znacznie więcej niż zakładano, bo budowlanczy trafili na kurzwankę wodną, ale resort już konsekwentnie dokładał. Czachórski pomógł również w założeniu orkiestry górniczej. Z ministerstwa przyszła na ten cel dotacja w wysokości 100 tys. zł. Pamiętam, że orkiestra zagrała w Warszawie na pogrzebie dyr. Leona Głowickiego z PBKRM.

■ Kara za ostry język

W 1967 roku w Lubinie zorganizowano konferencję naukową na temat właściwego wykorzystywania środków trwałych, maszyn i urządzeń. Bro-

nisław Bandura zabrał głos w dyskusji, krytycznie oceniając pewne wydarzenia.

– Zrobiła się zadyma, dyrektor Zastawnik miał do mnie pretensje. Przyjechali z Wrocławia partyjni dygnitarze i nakazali dyrektorowi mnie zwolnić. Jednak dwa tygodnie przed upływem terminu wypowiedzenia dyrektor Zastawnik zaproponował mi stanowisko głównego księgowego w powoływanym Zakładzie Doświadczalnym. Moim szefem został Jan Pazdro, którego znałem jeszcze z czasów, gdy pracowałem w Banku Inwestycyjnym w Jeleniej Górze a on w Sudeckich Zakładach Górniczych – wspomina.

■ Podglądali za granicą

Zakład Doświadczalny miał rozwiązywać liczne problemy dotyczące uruchomienia wydobycia rudy miedzi, zwłaszcza że doświadczenia z górnictwa węglowego nie sprawdzały się w warunkach tutejszych kopalni. Zakład musiał szkolić załogę, opracowywać normy, wdrażać nowe systemy eksploatacji złoża.

Ktoregoś razu kilkusobową grupę z kombinatu i paru inżynierów z SITG w Katowicach wysłano do Jugosławii.



Lata 80. B. Bandura odznaczany przez przedstawiciela Wojewódzkiej Rady Narodowej w Legnicy.

– Poza mną z naszej firmy pojechali inżynierowie: Barteczko, Halamski, Dworczak i Sadecski. Jugosłowianie przyjęli nas bardzo gościnnie. Na dole kopalni rtęci Idria pierwszy raz zetknęliśmy się z kotwami do spajania stropu. Później do Francji, gdzie po raz pierwszy zastosowano te kotwy, pojechała delegacja inżynierów w składzie: Bańbuła, Mozdyniewicz i Stosiak, by zapoznać się z tą nową metodą zabezpieczania stropu. Francuzi nie stwarzali żadnych problemów, dali im nawet te kotwy, ich produkcję uruchomiliśmy w Zakładach Kuzienniczych w Jaworze.

■ Skończyło się chorobą serca

We Wrocławiu, w 1968 roku, przebywała grupa przedstawicieli jednego z przygranicznych miast wojewódzkich z Czechosłowacji. Część gości miała przyjechać do Lubina. Na polecenie Tadeusza Zastawnika miał się nimi zająć się Bronisław Bandura.

– Zorganizowałem spotkanie w restauracji NOT – przypomina sobie. – Gościłem ich przez trzy dni. W zakładzie zrobił się szum, bo dwóch partyjnych działaczy, zarzuciło mi, że szastam służbowymi pieniędzmi na prywatne imprezy alkoholowe. Nie była to prawda, ale niedomówienia pozostały. Mocno to przeżywałem i przypłaciłem zawałem serca.

Po chorobowym, dyrektor Zastawnik zaproponował mi do wyboru pracę w hucie Głogów lub w nowo budowanej kopalni Rudna. Zdecydowałem się na „Rudną”, przeszedłem na równorzędne stanowisko głównego księgowego. W tym czasie dyrektorem naczelnym był Włodzimierz Mięśowicz, a technicznym Tadeusz Konkolski, który został moim najlepszym kolegą. Niestety niedawno zmarł – dodaje Bandura.

I w nowym miejscu pracy nie brakowało kłopotów, bo – jak mówi pan Bronisław – „Gierek w tej polskiej biedzie”, zaczął budować hutę Katowice. Wszystkim doskwierał głównie nie-

dostatek materiałów budowlanych. Na dodatek werbownicy z katowickiej huty podbierali fachowców, oferując wyższe zarobki. Ale trzeba było sobie poradzić i z tymi problemami. Zaopatrzeniowcy w delegację zabierali teczki pełne „suwenirów”. Kilku pracowników jeździło ka-perować ludzi do pracy w Lubelskie a specjalistom oferowano mieszkania od ręki.

na konkretne zakupy. Bezpodstawny zarzut wprowadzie „umarli” śmiercią naturalną, ale ja miałem dosyć tych przepychanek. Rozgoryczony uznałem, że lepiej dla mnie będzie odejść na emeryturę. Tym bardziej, że z Australii niemal codziennie dzwoniła do mnie wnuczka Dominika, pytając kiedy przyjadę. Córka Wioletta mieszkała tam już od trzech lat, jej mąż Roman,



Rodzina z Australii. Od prawej: zięć Roman Izmer, córka Wioletta, wnuczka Dominika, wnuczek Grzegorz. Na kolanach prawnuk Kuba i prawnuczka Kasia.

■ W cieniu niesłusznego oskarżenia

Bronisław Bandura przeszedł na emeryturę w 1991 roku.

– Po przemianach ustrojowych w kombinacie pozbywano się starej kadry dyrektorskiej, czasami pod byle pretekstem – mówi pan Bronisław. – Próbowano mnie nawet rozliczyć z dewiz, które rzekomo ZG Rudna miała na własne potrzeby inwestycyjne. Nie wystarczały tłumaczenia, że kopalnia nie dysponowała własnym kontem dolarowym, że takie konto było tylko w ministerstwie, a KGHM mógł jedynie występować z wnioskiem o przydział środków

inżynier, pracuje w górnictwie w Perth, mają dwójkę dzieci: Dominikę i Grzegorza. Wyjechałem do Australii na blisko sześć lat, zamykając definitywnie rozdział pod nazwą „moja praca w kombinacie”. ■

W autobusie panowała ogromna ciasnota. Przejście między siedzeniami tarasowały stosy bagaży. Większość uczestników miała po kilka waliz z towarami do sprzedania na Węgrzech, w Rumunii, w Bułgarii. Niektórzy wozili nawet „kwas”, by sprawdzać czy rzeczywiście kupują złote wyroby, a nie podróbki z tombaku.

Marian Turkiewicz,
elektryk w ZG Lubin.
Pracował w latach
1962-1986



Elektryk na turystycznych szlakach

Urodził się pod koniec wojny na Kresach we wsi Huta Nowa, w gminie Monasterzyska (powiat Buczacz). Gdy rodzina trzecim transportem przesiedleńców wyjeżdżała w 1945 roku z rodzinnej wsi, miał niespełna 2 lata. Długo jechali przez całą Polskę, by trafić na ziemie odzyskane. Rozładowali swój dobytek na stacji w Złotorii, i osiedli na gospodarstwie w pobliskim Radziechowie.

W 1958 roku rozpoczął w Legnicy naukę w Zasadniczej Szkole Zawodowej o specjalności elektroenergetyka. Tam też połknął turystycznego bakcyła, uczestnicząc we wszystkich wycieczkach szkolnych organizowanych przez Tadeusza Wierzchowskiego, wychowawcę klasowego i jednocześnie nauczyciela zawodu. Początkowo były to piesze wprawy; umawiali się koło szkoły w dni wolne od nauki i zwiedzali Legnicę oraz

pobliskie okolice. Z czasem na pożyczanych rowerach wyprawiali się w bardziej odległe miejsca, np. do Legnickiego Pola, Jawora i Wąwozu Myśliborskiego. Najbardziej podobały się mu wycieczki koleją. Spotykali się o brzasku na legnickim dworcu i docierali do różnych miast Dolnego Śląska (w tamtych latach było dużo połączeń z Bolesławcem, Lwówkiem Śląskim, Zgorzelcem, Jelenią Górą i innymi miastami). W niektórych eskapadach brał udział Jerzy Jarociński, profesor ze „spożywczaka”, który w barwny sposób opowiadał o wydarzeniach związanych z odwiedzanymi miejscami. Zafascynowany postacią profesora, Marian Turkiewicz zaczął sięgać po opracowania historyczne i z biegiem czasu przejął rolę przewodnika. Podczas wyjazdów starał się zainteresować jego uczestników przeróżnymi historiami i ciekawostkami.

– Wówczas nie przypuszczałem jeszcze, że stanie się to moim drugim zawodem. Lubiłem te nasze wyjazdy i wędrowki, interesowałem się historią. Jednocześnie pociągał mnie sport a w szczególności piłka nożna – mówi o swoich pasjach. – W reprezentacji szkoły i drużynie MKS Ikar Legnica grałem na bramce. Trenerzy twierdzili, że mam talent i wróżyli mi karierę.

■ Z boiska do kopalni

Utalentowany młody bramkarz nie uszedł uwadze działaczy piłkarskich. Gdy kończył szkołę, zgłosili się do niego przedstawiciele klubów z Bolesławca i Turoszowa, oferując kontrakt i pracę. Pierwsi zaproponowali zatrudnienie w kopalni miedzi, z niezbytymi jak na tamte czasy zarobkami. To przeważało szalę i 25 lipca 1962 r. podpisał umowę o pracę w Zakładach Górniczych Konrad w Iwnicach i kontrakt z klubem BKS Bolesławiec. W drużynie miał występować na pozycji bramkarza.

– Niestety między słupkami bramki BKS-u nigdy nie stanąłem – żałuje pan Marian. – A wszystko przez to, że działacze piłkarskiej drużyny LZS Radziechowa z mojego Radziechowa, poprosili mnie, abym pomógł drużynie w finale spartakiady powiatowej w Złotorii. W trakcie meczu rozgrywanego na stadionie miejscowego Górnika, rywale nie mogli mnie pokonać, więc postanowili wyeliminować z gry. Przy jednej z interwencji zostałem z premedytacją kopnięty w głowę, co skończyło się pęknięciem czaszki i mało co nie utraciłem oka. Przeszedłem długą rehabilitację i marzenia o karierze piłkarskiej rozprysły się, jak mydlana bańka.

Po zakończeniu leczenia Marian Turkiewicz podjął pracę w dziale elektrycznym ZG Konrad, początkowo na Rozdzielni Centralnej. Jego szefem był Włodzimierz Niezgodziński, główny energetyk kopalni, a kierownikiem Stanisław Święcicki – obu do dziś wspomina z sympatią. Po półrocznej praktyce przeszedł do inż. Bonenberga, na dyżurkę elektryków. Obsługiwali wszystkie obiekty na powierzchni kopalni, dzięki czemu poznał działanie całego powierzchniowego systemu elektrycznego zakładu. Wyposażony w taką wiedzę, został oddelegowany jako instruktor zawodu na bazę szkoleniową na Upadową Grodziec (szyb Konrad II). Odbywali tam praktyki uczniowie techników górniczych z Bolesławca i Lubina oraz Zasadniczej Szkoły Górniczej w Bolesławcu.

■ Pierwsza wycieczka na „Konradzie”

Przerwana kariera piłkarska sprawiła, że wrócił do swoich zainteresowań turystycznych i historycznych. W tamtych latach w ZG Konrad organizowano jedynie wyjazdy pracowników na 1-majowe pochody, akademie z okazji rocznicy rewolucji październikowej, święta 22-lipca oraz na Barbórkę.

– Pewnego dnia, w 1963 r., spotkałem kolegę, który zapytał mnie, czy pojadę z nim nad Jezioro Pilichowickie, na festyn, gdzie otwierają tzw. beczki piwne, czyli punkty sprzedaży piwa w kuflach. „Jak jechać, kiedy nie mam czym?” – zapytałem. – Jednocześnie pomyślałem, że warto spróbować załatwić transport z kopalni. Sporządziłem w dziale elektrycznym listę chętnych na wycieczkę w ramach wymyślonego przeze mnie cyklu „Niedzielny wypoczynek”. Zapisło się blisko 30 pracowników. W dziale socjalno-bytowym powiedziano mi, że jeżeli zbiorę od ludzi po 10 zł, to z funduszu socjalnego dofinansują wyjazd i załatwią środki transportu.

W dniu wyjazdu czekaliśmy rano na pojazd, którym miał być samochód ciężarowy Star-21, przystosowany do przewozu ludzi. Na pace pod plandeką instalowano ławki, do auta wchodziło się po zawieszanej na burcie drabinie z poręczami. Star przyjechał ze sporym opóźnieniem, na dodatek niesamowicie zabłocony. Kierowca wjechał na kanał, wodą splukał pakę i założył ławki. Ludzie wsiedli i ruszyliśmy w drogę. Nikt nie narzekał, humory dopisywały, cieszyliśmy się, że w końcu jedziemy. Pobyt zaczął się od rejsu statkiem wycieczkowym po jeziorze. Potem przy ognisku kobiety upiekły kurczaki oraz kielbaski, było też piwo i piosenki biesiadne. Wszystkim tak się spodobało, że już następnego dnia ludzie dopytывali, kiedy kolejny wyjazd.

■ „Beret” dla kierowcy

– Na kolejne wycieczki jeździliśmy Starem-21 (stonką). Miał blaszaną budę z oknami, do środka wchodziło się już normalnie, drzwiami. W porównaniu do Stara z plandeką wydawał się luksusowym autem. Potem – pan Marian wymienia kolejne środki transportu – podróżowaliśmy Starem-51 (dorszem), w którym na podwoziu ciężarówki zamontowano nadwozie autobusowe. W końcu ZG Konrad zakupił dwa autobusy Sany (32 miejsca fotelowe) i wreszcie Jelcza z 50. miejscami siedzącymi. Nowe autobusy uznawali-



Koniec lat 60. Na wycieczkę pojechali „dorszem” (w tle). Na zdjęciu (od lewej): Julian Hareza, Stanisław Koziół, Marian Turkiewicz, Julian Skuła - pracownicy ZG Konrad.

śmy za szczyt komfortu. Na krótki czas kopalnia otrzymała do testowania przeszkłony autobus „Bałtyk”, który jednak wycofano z produkcji.

Niestety początkowo większość kierowców nie chciała jeździć z wycieczkowcami z bardzo prozaicznej przyczyny. W wolną sobotę czy niedzielę, często po kilku godzinach pracy, przysługiwało im wolne, a na wycieczce pracowali cały dzień, często do późnych godzin nocnych.

– Podpytałem kierowców, ile zarabiają za taką dniówkę. Nie były to wygórowane kwoty, dlatego wymyśliłem „beret” dla kierowcy. Przed wyjazdem zrzucaliśmy się do beretu (później kapelusza) po 10 zł od łebka. W ten sposób kierowca, oprócz płacy z zakładu, miał dodatkowy zarobek. – opowiada pan Marian. – Szybko skończyły się problemy i już każdy chętnie z nami jeździł.

■ Na koncerty, mecze i winobrania

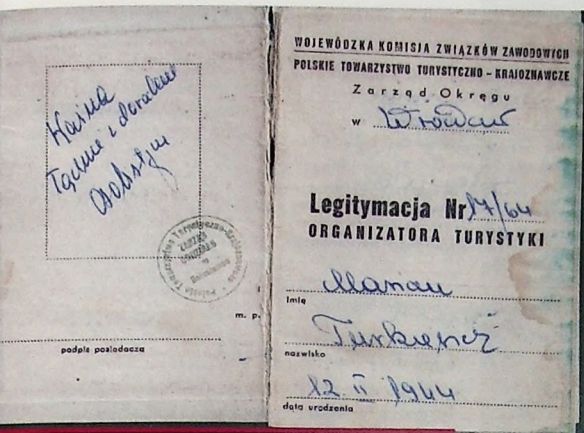
W latach 1963-1964 organizował, bez uprawnień, wyjazdy wypoczynkowe nad Zalew Witka, Jezioro Bystrzyckie i Jezioro Leśniańskie, potem wycieczki krajoznawcze. Zwiedzali zamki: Książ, Grodno, Chojnik. Do każdej eskapady pan Marian solidnie się przygotowywał, wertując różne publikacje, szukał ciekawostek, by o nich po-

tem opowiadać. Zyskał opinię dobrego organizatora, z którym warto wyjeżdżać. Wycieczki z panem Marianem stały się bardzo popularne wśród pracowników ZG Konrad. W nagrodę został oddelegowany przez radę pracowniczą ZG na kurs „Organizatora turystyki i wypoczynku po pracy”, prowadzony przez Oddział PTTK w Bolesławcu. 31 października 1964 r. zdał egzamin, uzyskując pierwsze w życiu uprawnienia organizatora turystyki. Mając taki dokument, pan Marian z zapalem wymyślał i organizował przeróżne wyjazdy: krajoznawcze, na imprezy takie jak np. koncerty

Marino Marini, zespołów „Śląsk” i „Mazowsze” w Hali Ludowej, we Wrocławiu, na winobrania w Zielonej Górze, na żużlowe mistrzostwa świata we Wrocławiu, na mecze reprezentacji Polski w piłce nożnej na Stadionie Śląskim w Chorzowie.

Dobra opinia sprawiła, że zaczęły się do niego zwracać inne zakłady i instytucje z prośbą o organizowanie wycieczek i wyjazdów, m.in. Związek Bojowników o Wolność i Demokrację - do miejsc walki i męczeństwa dla swoich członków. Jeździli na Górę Świętej Anny (pomnik Czynu Powstańców Śląskich), do Stalagu VIII c w Żaganiu, do obozu koncentracyjnego „Gross Rosen” w Rogoźnicy, a także do Toporowa, gdzie w 1945 r. wojska sforsowały Nysę Łużycką itd.

W 1965 r. pan Marian ukończył w Kudowie Zdroju miesięczny kurs „Kadra obozów młodzieżowych”, organizowany przez Komisję Młodzieżową Centralnej Rady Związków Zawodowych w Warszawie. Po egzaminie uzyskał uprawnienia „Komendanta obozu kulturalno-oświatowego”. Jeszcze w tym samym roku poprowadził, jako przewodniczący turnusu, 2-tygodniowy ogólnopolski „Stacjonarny Młodzieżowy Centralny Obóz Kopalnictwa Rud Miedzi i Metali Nieżela-



Pierwsze uprawnienia organizatora wycieczki M. Turkiewicz zdobył w 1964 r.

znych” w Łagowie Lubuskim, w którym uczestniczyli także młodzi pracownicy kopalni w Iwinach.

■ Przewodnik z klasy

Kiedy w 1967 r., w Bolesławcu, utworzono Zakład Doświadczalny Przemysłowego Instytutu Elektroniki, Marian Turkiewicz został oddelegowany do pracy w tym zakładzie, w charakterze konserwatora urządzeń elektrycznych. Jednak nie zerwał kontaktu z „Konradem” i nadal organizował wyjazdy. Największą katastrofą w dziejach Polskiej Miedzi – pęknięcie grobli stawu osadowego w Iwinach 13 grudnia 1967 roku – na pewien czas wstrzymała działalność turystyczną. Górnicy, przyzwyczajeni do imprez organizowanych przez pana Mariana, po pewnym czasie zaczęli namawiać go do ich wznowienia. Pan Marian nie dał się długo prosić.

W tym samym czasie ukończył kurs na przewodnika, organizowany przez Oddział PTTK w Bolesławcu, uzyskując uprawnienia „Przewodnika turystycznego III klasy na teren Dolnego Śląska”, a rok później

- „Przewodnika sudeckiego III klasy”. Tym samym mógł, w pełni profesjonalnie, zająć się organizowaniem wycieczek i rajdów. Za pośrednictwem PTTK w Bolesławcu został przewodnikiem nie tylko dla ZG Konrad, ale także dla szkół i innych zakładów pracy w całym regionie.

■ Przenosiny do Lubina

W 1969 r. pana Mariana oddelegowano do pracy w Szpitalu Powiatowym, w Bolesławcu, w charakterze konserwatora urządzeń elektrycznych. Niestety stracił tym samym na zarobkach, dlatego w krótkim czasie zdecydował się na zmianę pracy. W lipcu 1970 roku znalazł zatrudnienie w Zakładzie Przeróbki Mechanicznej ZG Lubin.

W nowym miejscu wkrótce zaczął organizować oraz prowadzić wycieczki turystyczno-krajoznawcze dla górników i członków ich rodzin. Rada zakładowa, dział socjalno-bytowy, Związek Zawodowy Górników przy ZG Lubin oraz kopal-



Góra Św. Anny. Żony górników ZG Konrad przed pomnikiem Czynu Powstańczego, zaprojektowanym przez X. Dunikowskiego. Większość panów poszła w tym czasie „na kufelek” do restauracji.



M. Turkiewicz na Wzgórzu Św. Anny. W tle amfiteatr zbudowany w czasach B. Bieruta.

niane koło Związku Młodzieży Socjalistycznej chętnie korzystały z usług już doświadczonego przewodnika. Współorganizował i obsługiwał wyjazdy rekreacyjno-wypoczynkowe do ośrodków: w Sławie, Otmuchowie, Pilichowicach, Zagórzu Śląskim i Wojnowie. Aby poszerzyć ofertę turystycznych imprez, zarejestrował swoje uprawnienia przewodnika sudeckiego oraz terenowego na Dolny Śląsk w oddziałach PTTK w Lubinie i Legnicy.

■ Pomidory spod lady

Przyszłą małżonkę, Matyldę, poznał 17 sierpnia 1971 r. w Lubinie. Wracając po pracy, chciał kupić pomidory, ale w żadnym sklepie ich nie było. Zrezygnowany wszedł do zieleniaka w pobliżu miejsca zamieszkania i gdy zobaczył, że tutaj też ich nie ma, chciał wyjść. Ekspedientka skinęła mu głową, dając do zrozumienia, aby chwilę poczekał. Gdy wyszli klienci, sprzedała mu pół kilograma spod lady. Już wcześniej zwrócił na nią uwagę, ale nie było okazji do nawiązania znajomości. Na drugi dzień ponownie poszedł po pomidory, mimo że wcześniej kupionych jeszcze nie zjadł i kupił następne pół kilograma. W rewanżu za pomidory spod lady zaprosił ekspedientkę do kawiarni Eureka (dziś już nie istnieje).

Pan Marian także spodobał się pani Matyldzie. W listopadzie tego samego roku wzięli ślub cywilny, a dzień później kościelny. Młodzi wprowadzili się do mieszkania, które pan Marian, zdobył, zamieniając się z kolegą, gdy wyprowadzał się z Bolesławca.

■ Turystyka handlowa

Po ukończeniu kolejnych szkoleń zaczął pilotować wycieczki do Pragi, Budapesztu, Wiednia, Warny, nad Balaton i Morze Czarne.

– Wyjazdów do Warny nie zapomnę do końca życia – wspomina. – W autobusie panowała ogromna ciasnota. Przejście między siedzeniami tarasowały stosy bagaży. Większość uczestników miała po kilka waliz, z towarami do sprzedania na Węgrzech, w Rumunii, w Bułgarii. Niektórzy wozili nawet „kwas”, by sprawdzać czy rzeczywiście kupują złote wyroby, a nie podróbki z tombaku. W Budapeszcie zatrzymywaliśmy się koło dworca Keleti. Nieraz musieliśmy czekać nawet po kilka godzin na powrót handlujących. Później jechali-



Lata 70. Pracownicy Warsztatów Głównych ZG Lubin podczas wycieczki na Szrenięc.

śmy nocą do Warny, gdzie uczestnicy poprzedniego turnusu czekali na transport do kraju. Handlowy charakter miały też wyjazdy do Pragi. Nasi wycieczkowicze wysiadali z autobusu z rozpoznawalnymi przez Czechów węzełkowymi siatkami wypełnionymi carmenami, spirytusem i cukierkami krówkami, te produkty sprzedawało się najlepiej. Starałem się, aby to były wycieczki turystyczne, ale tak naprawdę większość jeździła na handel.



LEGITYMACJA Nr 19/90

imię Marian

nazwisko Turkiewicz

m.p. data urodzenia 12.02.1944

miejsce urodzenia Międzybóże

nr dow. os. AB 4746655

2 podpis posiadacza

Posiadacz niniejszej legitymacji jest przewodnikiem turystycznym PTTK od 1968 r. i ma prawo prowadzenia wycieczek turystycznych zgodnie z posiadanymi uprawnieniami i klasą przewodnicką oraz prawo noszenia odznaki przewodnika turystycznego PTTK



podpis Władysława ZW PTTK

Ważna na rok

1990, 91



W 1990 r. M. Turkiewicz zarejestrował uprawnienia w PTTK i mógł nosić emblemat przewodnika.

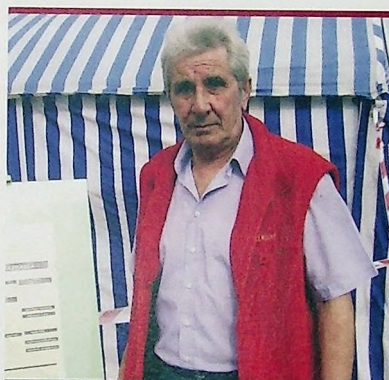
Wśród fachowców

Pracując w pionie elektrycznym ZPM ZG Lubin, zetknął się z wysokiej klasy fachowcami, między innymi: głównym inżynierem Czesławem Masłowskim, nadsztygarem Mieczysławem Kądzielskim i kierownikiem działu Stanisławem Roszakiem. Jego sztygarem był doświadczony elektryk Mikosza, na którego wszyscy wołali „dziadek”, a brygadzystą Marian Seredyński. Po jakimś czasie przeniósł się na rozdzielnię elektryczną pompowni zbiornika osadowego w Gilowie, tam pracował na zmianę ze Stanisławem Ciurkotem. Parę lat później inż. Wierzbicki ściągnął go na nowo otwartą Główną Stację Transformatorową na szybie Lubin Zachodni.

W połowie lat 80. dały o sobie znać skutki nieszczęsnego wypadku na boisku oraz pracy w trudnych warunkach, w narażeniu na działanie silnych pól elektromagnetycznych. Rok później odszedł na rentę, kończąc pracę zawodową i – jak mówi – w ten sposób jego historia zatoczyła koło. Zaczynał przecież na Rozdzielni Centralnej w ZG Konrad, a skończył na GST ZG Lubin.

W 2004 roku, gdy skończył 60 lat przeszedł na górniczą emeryturę. ZUS zaliczył mu 17 lat pracy w szkodliwych warunkach.

– Rok 2004 był dla mnie szczególnie pechowy – wspomina. – W lutym przeszedłem zawał, a w kwietniu moje serce się zatrzymało. Gdy to się stało, oglądałem telewizję w pokoju. Zanim żona zorientowała się i przyjechała karetka, byłem w agonii. Mimo, jak się wydawało, beznadziejnie-



M. Turkiewicz po zakończeniu rajdu na Grzybową Górę w Rynarcicach.

go stanu, młody doktor z Wrocławia, który dorał w pogotowiu, nie zrezygnował i podjął reanimację. Moje serce zaczęło pracować – wróciłem do świata żywych.

Państwo Turkiewiczowie dochowali się dwóch synów. Piotr ukończył politechnikę, jest sztygarem w ZG Rudna i ratownikiem górniczym. Paweł znalazł zatrudnienie na przeróbce w ZG Lubin. Pracują tam jeszcze osoby, które pamiętają pana Mariana. ■

Każdy mineralog, zwłaszcza początkujący, marzy o odkryciu jakiegoś bliżej nieznanego minerału. Mnie udało się trafić na taki minerał już na początku drogi zawodowej. Tu muszę dodać, że przyczynili się do tego trochę moi koledzy geolodzy: Kazimierz Dubiński z Wojciechem Salskim.

Jan Jarosz, geolog, kierownik Pracowni Mineralogiczno-Petrograficznej w Zakładzie Badań i Doświadczeń KGHM, później w Zakładzie Doświadczalnym KGHM. Pracował w latach 1964-2000



40 lat z mikroskopem na Miedzi

Urodziłem się w 1939 roku, w Tarnobrzegu. Przez całą wojnę mieszkaliśmy w Lutczy, w budynku szkolnym, gdzie oprócz sal do nauki, było również mieszkanie dla rodziny dyrektora, którym był mój dziadek. Szkoła znajdowała się przy głównej drodze, toteż nieraz nocami budzili nas jacyś ludzie i świecąc latarkami po oczach pytali o partyzantów. W tamtym czasie prawie połowa mieszkańców wsi działała w Armii Krajowej. Zapadł mi w pamięć obraz pijanego soldata, który wpadł do naszego mieszkania, przystawił dziadkowi pistolet do głowy, krzycząc: „Kak nie dasz wodki, to tiebia rostrielaju!”. Przytomność jednej z moich pięciu ciotek uratowała dziadka - wybiegła z domu, w kolumnie idących żołnierzy dostrzegła starszynę i ściągnęła go do mieszkania. Oficer zapanował nad napastnikiem.

Po kilku latach od zakończenia wojny wyjechalśmy do Rzeszowa, gdzie kontynuowałem swoje pasje. Od zawsze interesowały mnie kamienie i skały. Już w szkole podstawowej zbierałem różne okazy i dokładnie je opisywałem. Z tego powodu w rodzinie dość wcześnie utarło się przekonanie, że kiedyś będę studiował geologię albo geografę.

Po maturze, w 1956 roku, skierowałem swoje kroki do Krakowa, na Akademię Górniczo-Hutniczą. Nie poszły mi egzaminy wstępne, ale za drugim podejściem, w następnym roku, zostałem przyjęty na Wydział Geologiczno-Poszukiwawczy AGH, bez akademika, bez stypendium. Może dlatego, że wywodziłem się ze środowiska inteligentnego (ojciec prawnik a mama, podobnie jak jej rodzice, nauczycielka). Było ciężko, jednak rodzice robili wszystko, bym mógł studiować.

Dla wielu studentów pierwszego roku zarówno matematyka, jak i geometria wykresna stanowiły barierę szczególnie trudną do przebrnięcia. Nie należałem do wyjątków, ale już od drugiego roku, gdy rozpoczęły się przedmioty geologiczne, byłem dobry i bardzo dobry.

Po 5 latach nauki uzyskałem tytuł magistra inżyniera geologa i pozostałem na uczelni, na rocznym stażu asystenckim w Katedrze Złóż Rud. Potem zaproponowano mi pracę w dziale geologicznym Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w budowie. Obiecywano mi zakupienie wysokiej klasy mikroskopu do oglądania skał i w krótkim czasie przydział mieszkania, co było bardzo ważne dla mnie i mojej, wówczas świeżo poślubionej, małżonki Aliny, absolwentki Wyższej Szkoły Pedagogicznej.



Alina i Jan poznali się podczas studiów w Krakowie.

■ Wybrałem Miedź

Pracę w dziale geologicznym Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w budowie rozpocząłem w 1964 roku. Po sześciu miesiącach dostaliśmy mieszkanie w punktowcach koło Muzy przy ul. Pstrowskiego. Dwa pokoje z kuchnią począt-

KGHM, gdzie skierowano mnie do tworzonej od podstaw Pracowni Mineralogiczno-Petrograficznej. Przez pierwsze dwa lata nie mieliśmy szlifierni. Z tego powodu nasze pierwsze szlify, czyli próbki gotowe do obserwacji mikroskopowych, robione były na zamówienie w pracowniach w Bytomiu albo w Krakowie. Potem z powrotem trafiały do nas i braliśmy je pod lupę (rudy badaliśmy w świetle odbitym rudy, a skały w świetle przechodzącym).

■ Poszła fama, że coś potrafię

Każdy mineralog, zwłaszcza początkujący, marzy o odkryciu jakiegos bliżej nieznanego minerału. Mnie udało się trafić na taki minerał już na początku drogi zawodowej. Tu muszę dodać, że trochę przyczynili się do tego moi koledzy geolodzy: Kazimierz Dubiński z Wojciechem Salskim. Oni bowiem rok wcześniej, po dojściu do złoża na Lubinie Wschodnim i uroczystym oprobrowaniu, wytaszczyli z dołu około 20 kilogramów próbek i złożyli je w dziale geologicznym. Zainteresowałem się nimi, wybrałem piętnaście okazów łupka miedzionośnego i wysłałem do Bytomia. Kiedy odesłali szlify, zacząłem je badać i stwierdziłem, że jest jeden minerał ciekawy i mi nieznan, choć podejrzewałem, że może to być właśnie



Budynek szkoły w Lutczy.

kowo wydawały się rajem, kiedy jednak w ciągu 4 lat urodziło się dwoje dzieci, zrobiło się za ciasno i znów złożyłem podanie o większe mieszkanie, tym razem docelowe M-5 na Przylesiu.

Po roku pracy w KGHM przeszedłem do nowo utworzonego Zakładu Badań i Doświadczeń



1968 rok, Lubin Wschodni. Od lewej: Jan Jarosz, obok Gajewski oraz dwaj próbobiorycy. Za nimi, nad głowami, białe i lekko różowe żyły gipsu.

stromeyeryt. Moim odkryciem zainteresował się doktor Czesław Harańczyk, kierujący Pracownią Mineralogiczną Przedsiębiorstwa Geologicznego w Krakowie. Aby mieć stuprocentową pewność, że to właśnie ten minerał, należało przeprowadzić wszelkie szczegółowe obserwacje, a także wykonać badania strukturalne i rentgenowskie. Doktor Harańczyk, znakomity mineralog, zaproponował mi wspólne napisanie artykułu o stromeyerycie. Obawiałem się jednak, że cały splendor z tego odkrycia spłynie na niego, a ja zostanę z niczym. Starałem się w miarę możliwości panować nad tą sytuacją. W końcu pozostała do wykonania, przy użyciu nowoczesnej elektronowej mikrosondy, punktowa analiza chemiczna ziarna i określenie jego składu. Taką aparaturę miała tylko AGH, a dokładniej Wydział Metalurgii i Hutnictwa oraz Instytut Metali Nieżelaznych w Gliwicach. Kolejka do badań była na 2, 3 lata. Aby przyspieszyć analizę, doktor Harańczyk zaproponował osobie, która wykonywała te badania, wspólne napisanie artykułu o stromeyerycie, ale już bez mojej wiedzy. Do redakcji Rud i Metali Nieżelaznych przyszła zapowiedź o przygotowywanym artykule o tematyce: Minerały miedzi w złożu osadowym. Jednak dopisało mi szczęście i refleks poszukiwa-

cza. W niedługim czasie wykryłem stromeyeryt również w piaskowcu (wcześniej znalazłem go w żyłkach kalcytowych). To moje drugie odkrycie miało jeszcze większe znaczenie, zwłaszcza przemysłowe, gdyż stromeyeryt występował na dużej przestrzeni białego spagowca. Błyskawicznie napisałem o tym komunikat i wysłałem go do Rud i Metali Nieżelaznych. Tym sposobem zdołałem wyprzedzić doktora Harańczyka, który później (zresztą całkiem słusznie) został profesorem. Cała sprawa trwała parę lat i nabrała rozgłosu. W firmie wyszło na jaw, że ja pierwszy, zgodnie z prawdą, wykryłem stromeyeryt. Stałem się nawet trochę znany, bo poszła fama, że coś potrafię.

■ Cenny nabytek

Większość badań, które prowadziłem, wykonywałem na swoich własnych próbkach przywożonych z dołu. Zwykle miałem do pomocy próbkarza z młotkiem. To on wykonywał tę najcięższą pracę, polegającą na wybijaniu z bardzo twardej skały niewielkich kawałków. Do analizy chemicznej trzeba było nadhubać ich więcej niż dziesięć deko. Stosunkowo więcej próbek wymagało bezpośrednie oprobrowanie złoży, czyli ocena rodzaju i jakości kopaliny, by na tej podstawie określić jej użyteczność, możliwe kierunki i sposoby wykorzystania, jak też wyznaczyć granice jej występowania. Na przykład próbkarz pobierał materiał co dwadzieścia centymetrów (od dołu do góry ściany), a ja brałem co ciekawsze fragmenty. Po wyjeździe na powierzchnię, dawałem je do naszej szlifierni. Oczywiście wcześniej należało zamówić proszki ścierne, materiał do polerowania, a przede wszystkim zdobyć szlifierkę, piły tarczowe i znaleźć zdolnych pracowników. Niezwykle cennym nabytkiem okazała się Tonisława Maciejewska. Zgłosiła się do nas sama i po odbyciu kursów

w Bytomiu, w Stacji Badawczo-Doświadczalnej Górnictwa Rud i w Krakowie, w Przedsiębiorstwie Geologicznym a także na AGH w Katedrze Złóż Rud, była niezastąpiona i przepracowała z nami prawie 40 lat.

■ Szlify i galanteria

Szlifiernia nasza nie działała jednotorowo, ale funkcjonowała jakby w trzech kierunkach. Oprócz cennych szlifów wykonywaliśmy komercyjnie zgłady (kamienie po przecięciu szlifowane i polerowane). Z prowadzonej ewidencji wynika, że przez blisko 40 lat pracy powstało ich około 10 tysięcy. Wykonywane były również pamiątkowe mini gablotki prezentujące skały i minerały Zagłębia Miedziowego. Obdarowywano nimi znamienitych gości odwiedzających KGHM. Na niektórych z naszych okazów pan Henryk Błaszczak bardzo udanie przyklejał również górniczą „galanterię” - miniaturowe wieżyczki, wózki i lampki górnicze. Pamiątki te otrzymywali najbardziej zasłużeni górnicy podczas barbórkowych uroczystości.

■ Nietypowe okazy do mnie

Od początku funkcjonowania pracowni byłem do dyspozycji kolegów geologów z innych kopalni i ściśle z nimi współpracowałem. Podczas gdy ja pracowałem z mikroskopem, oni wykonywali cięższą pracę, która wymagała codziennych zjazdów na dół, by pobrać próbki z fedrowanych przodków. Następnie trafiały one do laboratorium, gdzie określano zawartość miedzi, co było niezbędne dla prowadzenia optymalnego wydobycia. Jeśli napotykali jakieś nietypowe skały, przysyłali okazy do mnie, do oznaczenia, a ja rozpracowywałem problem pod mikroskopem. Wypełniając swoje obowiązki szefa pracowni (zostałem nim w 1968 roku po reorganizacji), znajdowałem także czas na prace zlecone przez Cuprum czy inne instytucje. Jeśli chodzi o Cuprum, w moim przekonaniu, szczególnie zasłużonymi ludźmi dla geologii i mineralogii byli Wojciech Salski i Piotr Kijewski. Wprawdzie pan Piotr stosunkowo mało

badał pod mikroskopem, potrafił jednak wspierać koleżankę się pojedynczymi opisami, wykonanymi przeze mnie i innych kolegów, i niezwykle umiejętnie syntetyzować poszczególne informacje, a następnie formułować problemy badawcze i dobierać metody ich rozwiązania. Współpraca z tym geologiem dawała mi dużą satysfakcję.

■ Jak owoce czarnego pieprzu

Poważne odkrycia biorą się najczęściej z przypadku, tak było z jednym z moich największych osiągnięć - thucholitem (TOC) - węglem zawierającym w swym składzie uran i tor. A było tak: Mój szef, Ferdynand Zaczek, kierownik działu geolo-



Zdjęcie mikroskopowe łańcuskowatych koncentracji uranitu w thucholicie.

gicznego w Zakładzie Doświadczalnym, pojechał na dół i zobaczył łupkę, który miał w sobie gęsto ułożone kuleczki przypominające owoce czarnego pieprzu. Odbił kawałek i przywiózł mi do pracowni. Nie wiedziałem, co to jest, zacząłem więc badać i oglądać pod mikroskopem. Minerał był niezwykle twardy, nie można było wykonać pomiarów twardości przy pomocy sklerometru PMP3. Pojechaliśmy więc do Krakowa, do profesora Mariana Banasia, by pomógł nam go oznaczyć. Okazało się, że jest to węgiel zawierający uran, tor i żyłki siarczków. Z uwagi na zawartość promieniotwórczych pierwiastków była to ogromna sensacja geologiczna. Odkryłem, że uran występujący w łupku

„smolistym” jest związany z substancją organiczną thucholitem. Pamiętam, porobiłem wiele zdjęć. Profesor Banaś, u którego otworzyłem przewód doktorski, z jednej z fotografii mikroskopowej zrobił świąteczną kartkę i rozesłał ją do swoich znajomych z okazji świąt i nowego 1975 roku.

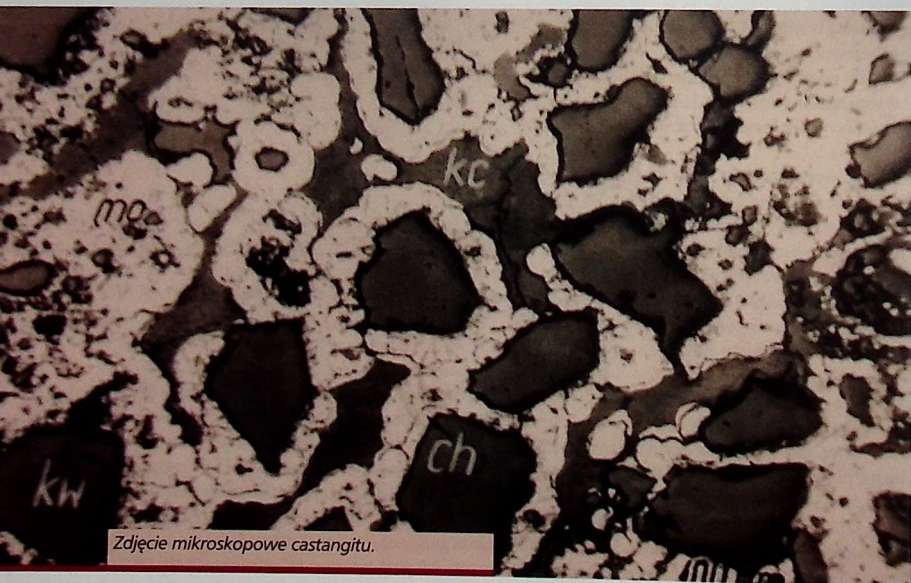
Tu chciałbym dodać, że złoża rud miedzi w obszarze monokliny przedsudeckiej ma charakter polimetaliczny, zawiera oprócz miedzi i srebra szerokie spektrum składników mineralnych. Węgiel organiczny thucholit (TOC) skupiony jest głównie w poziomic rudy łupkowej. Jego zawartość w urobku przeznaczonym do wzbogacania i w koncentracie miedzi, a zwłaszcza często występujące jej krótkookresowe wahania, ma znaczenie dla przebiegu i efektywności procesów przerobczych i hutniczych. Na przykład w starszej technologii pieca szybowego (HM Legnica i HM Głogów I) węgiel organiczny nie stanowi problemu, a jego obecność jest nawet korzystna ze względów energetycznych. Natomiast w technologii pieca

nicznego w rudach miedzi było bardzo istotne dla doboru procesów technologicznych.

Pamiętam, po tym odkryciu przyjechał do mnie z Niemiec profesor, który zainteresował się zawierającym uran i tor thucholitem. Przebył długą drogę, żeby ze mną porozmawiać i zaproponować mi u siebie roczny staż. To była bardzo atrakcyjna propozycja, bo w tamtych czasach (30 lat temu) wyjazdy za granicę były niemal nieosiągalne. Niestety, z powodu nieznajomości języka niemieckiego, nie mogłem wyjechać. W końcu pojechał za mnie najmłodszy z asystentów na AGH – Adam Piestrzyński, który dzisiaj jest profesorem i dziekanem na Wydziale Geologiczno-Poszukiwawczym.

■ Ramienionogi, czyli Lingula Credneri Geintz

Pojechałem pewnego razu na Polkowice Głównie. Idąc chodnikiem z kolegami próbnymi zauważyłem wybitną nierówność ociosu, która



zawiesinowego (HM Głogów II) zawartość węgla organicznego (TOC) na poziomie przekraczającym 8 procent, zaburza bilans ciepły przetopu koncentratu. Stąd wszechstronne rozpoznanie geologicznych aspektów obecności węgla orga-

wskazywała na możliwość występowania fauny. Przyświecając sobie lampą, zacząłem się przyglądać ociosowi z bliska i zobaczyłem muszlę, była to Lingula. Zaraz przyszło mi do głowy, że może to coś więcej niż przypadek. Za moment odnalazłem



Lingula credneri Geintiz.

drugi i trzeci okaz, a dalej było ich jeszcze więcej. Akurat znajdowaliśmy się blisko komory, więc poprosiłem kolegów próbobiorców, by przyciągnęli wąż i wymyli ocios, dzięki czemu odkryliśmy dużą ilość Linguli w różnych pozycjach. W sumie było ich około setki. Aby nie zmarnować tego materiału, zebrałem pojedyncze okazy, pojechałem na AGH do prof. Stefana Aleksandrowicza, który był paleontologiem. Za kilka dni przyjechał do nas i ponownie zjechaliśmy z próbobiorcami na dół i dotarliśmy do miejsca, w którym znaleźliśmy ramienionogi. Profesor robił tam swoje pomiary. Z opracowanych przeze mnie i pana profesora materiałów wynikało, że *Lingula credneri* Geintiz niegdyś żyły w piasku. Zakopując się, drażyły z powierzchni w głąb pionowe kanały w poszukiwaniu pożywienia. Dopóki były warunki utleniające, żyły normalnie w pozycji stojącej, ale napływ roztworu

siarczkowego spowodowany np. wybuchami superwulkanów sprawił, że organizmy te opadły na dno i pozostały w pozycji leżącej. Dla uzupełnienia chcę dodać, że profesor Aleksandrowicz bardzo uczciwie potraktował naszą współpracę. Jej efektem był wspólny artykuł w języku angielskim o grupie ramienionogów, która niegdyś żyła sobie na monoklinie przedsudeckiej w Morzu Cechoszyńskim, ciągnącym się niegdyś na dużej przestrzeni od Mansfeldu po Góry Świętokrzyskie.

W ostatnich latach mojej pracy odkryłem w złożu miedzi obecność minerału z grupy miedziowo-molibdenowej - castangitu. Te wszystkie moje odkrycia najbardziej przydawały się przeróbkarzom, gdyż wskazywały, w jakim stopniu należy zmienić nadawę, aby otrzymać największą ilość metali. Główny inżynier przeróbki dzwonił do mnie, abym mu określił udział minerałów siarczковых w nadawie i formy zrostów (były ziarna monomineralne, zrosty i impregnacje), bo od tego zależał sposób mielenia rudy. Ogółem w swoich badaniach stwierdziłem występowanie ponad 60 minerałów kruszczowych i metali towarzyszących.

■ Dołączyliśmy do swoich

Z roku na rok nasza Pracownia mineralogiczno-petrograficzna się rozrastała. W szczytowym okresie pracowało w niej sześć osób, w tym dwóch inżynierów mineralogów, dwójce szlifierzy, dwójka techników geologów (mineralogów), próbobiorca i Edward Skrzypicki - obsługujący piły tarczowe.

W 1990 roku nabyłem uprawnienia emerytalne, ale wciąż nie mogłem rozstać się z pracownią. Dwa lata później, w związku z różnymi zawirowaniami w firmie i coraz trudniejszą sytuacją pracowni, postanowiłem odejść z zakładu. Kiedy doktor Stanisław Downorowicz dowiedział się, że nowi dyrektorzy chcą zlikwidować pracownię, zaproponował mi przeniesienie jej do siebie, czyli Przedsiębiorstwa Konsultingowego HYDROGEOMETAL. Przepracowałem tam jeszcze ponad dwa lata. Od 1 stycznia 2003 roku przebywam na emeryturze. Można powiedzieć, że spełniłem się zawodowo, bo mogłem robić wszystko, no prawie wszystko, co mnie interesowało. W pierwszych latach pracy w Zakładzie Doświadczalnym miałem nadzieję na doktorat z żył barytowych, kalcytowych i żył mineralów. Przez dwa lata gromadziłem materiały i pracowałem nad ich rozpoznaniem. Wtedy jednak mój szef uznał, że to nie jest najważniejszy problem w kopalni, nawet jeśli już od



Przy najnowocześniejszym mikroskopie firmy Opton.

dwóch lat pracowałem nad ich rozpoznaniem. Efektem tej pracy były dwie publikacje o barycie w Rudach i Metalach Nieżelaznych.

Cóż, nawet jeśli doktorat uciekł mi sprzed nosa, w ciągu tych prawie 40 lat pracy z mikroskopem, uzyskałem uprawnienia CUG do sporządzania projektów badań i dokumentacji geologicznych w zakresie poszukiwania i rozpoznawania złóż kopalin stałych oraz uprawnienia WUG do wykonywania czynności geologa górniczego. Ukończyłem też studium podyplomowe z mineralogii i petrografii surowców mineralnych na Wydziale Geologiczno-Poszukiwawczym AGH. Napisałem samodzielnie lub we współpracy piętnaście publikacji i artykułów naukowych z zakresu mineralogii i petrografii złożeń rud miedzi obszaru Lubin-Polkowice. Publikowałem je m.in. w Przeglądzie Geologicznym, Rudach i Metalach Nieżelaznych i Mineralogii Polonika. Byłem autorem i kierownikiem ponad 30 prac naukowo-badawczych z zakresu rozpoznania składu mineralizacji złożeń rudy miedzi.

Czasem myślę, że miałem za wiele zainteresowań. Może gdybym tak nie drażył, nie zgłębiał, zaszedłbym dalej, bo przecież w gąszczu spraw nieraz się gubiłem. W trudnych sytuacjach wspierała mnie Alina. Rozumiała moje ogromne zaabsorbowanie pracą. Pomagała mi w przepisywaniu publikacji. Nie narzekała na moją zbyt długą nieobecność z powodu częstych wyjazdów na delegacje, zwłaszcza do Krakowa. Była i jest tym rodzinnym spoiwem, a zarazem najsilniejszym jej ramieniem.

Każdego roku, w ramach urlopów, staraliśmy się wyjeżdżać całą rodziną na wczasy, nad morze. Któregoś razu dostaliśmy kwaterę, niczym szopę.

To Ala, nie ja, zrobiła karczmą awanturę i przenieśli nas natychmiast do bloku. Byłoby nam tam nawet dobrze, gdyby po sąsiedzku nie mieszkali awanturujący się marynarz. Ala ustawiała go parę razy do pionu i jakoś przetrzymaliśmy do końca turnusu. Dziś wspominały te czasy z rozbawieniem, choć zabawowy to ja nie jestem. Nigdy nie bawiłem się na Karczmach Piwnych. Owszem, bywałem na głównych uroczystościach barbońkowych, podczas których wręczano mi różne dyplomy i odznaczenia, m.in. Sztandar Pracy II klasy, Złoty, Srebrny i Brązowy Krzyż Zasługi oraz odznaki honorowe: Budowniczy LGOM ((złota), Zasłużony dla Polskiej Geologii, Zasłużony dla Zakładu Doświadczalnego KGHM.

Nasze dzieci nie poszły śladem rodziców. Starsza córka Barbara skończyła Wydział Filologii Polskiej we Wrocławiu, młodsza Agata jest lekarzem, specjalistą interny i pediatrii. Pracuje z mężem neurochirurgiem w jednej z klinik w Kolonii.

Obecnie naszą największą radością są wnuki: Andrzej oraz Marta, Kasia i Małgosia. ■

Nie miałem uprawnień kierownika ruchu zakładu do wydawania decyzji o rewersji, ale w sytuacji jaka zaistniała w kopalni, każda minuta była bezcenna. Powietrze, wraz z dymem, w drogach głównych rejonu Rudnej Główniej płynęło z szybkością 8 m/sek. To oznaczało, że w ciągu minuty zadymionych zostanie dalsze 480 m wyrobisk na trasie przepływu powietrza. Kilkaset osób pracujących na zmianie w tym rejonie, znalazło się w ogromnym zagrożeniu.

Adolf Chyra,
kierownik wentylacji
i KSRG ZG Lena, główny
inżynier wentylacji
ZG Rudna, dyrektor
techniczny i p.o. dyrektora
naczelnego ZG Rudna, ostatni dyrektor
ZG Konrad. Pracował
w latach 1967-2004.



Dziękowano nam za uratowanie załogi i kopalni

Pochodzę z rodziny o tradycjach górniczych, mój ojciec przed wojną pracował w kopalniach francuskich i niemieckich. Po 1945 roku rodzina przeniosła się spod Częstochowy na Ziemię Zachodnie, osiedlając się w Wieży, niedaleko Gryfowa. Ojciec aż do emerytury pracował w pobliskich kamieniołomach bazaltu, jako strzałowy. Z zawodem górnika związali się również moi bracia: Edward pracował kilka lat w ZG Konrad a Karol był sztygarem zmianowym w PBK Lubin. To właśnie za namową brata Karola zdecydowałem się na naukę w Technikum Górniczym w Wałbrzychu. Nie tylko nauka mnie interesowała - byłem czynnym sportowcem, pchałem kulą w pierwszoligowej drużynie lekkoatletycznej klubu Górnik-Wałbrzych. Śpiewałem również w chórze Zespołu

Pieśni i Tańca „Wałbrzych” (w tym roku obchodził jubileusz 60-lecia działalności). Do zespołu należała również moja przyszła żona Krystyna - tam się poznaliśmy. Na jakiś czas związałem się również z tamtejszym Teatrem Żywego Słowa „Kleks”. Po maturze w technikum Górniczym w Wałbrzychu zdałem na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, na wydział górniczy - eksploatacja podziemna złóż. Studia ukończyłem w 1967 roku, żona rok później w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Krakowie. Pobraliśmy się w trakcie studiów i w tym czasie urodził się nasz syn Andrzej.

■ Przyszli szefowie Miedzi

Jako stypendysta, staż odbywałem w oddziale wydobywczym Zakładów Górniczych „Lena”



Prezes KGHM PM S.A. Stanisław Siewierski przypina Adolfowi Chyrze odznaczenie z okazji Dnia Górnika.

w Wilkowie. Trafiłem tam w kilkusobowej grupie absolwentów AGH. Pamiętam, że do pracy przyjmował nas dyrektor Władysław Maziarz. W Złotorii zamieszkałem z żoną i synkiem w hotelu robotniczym. Dostaliśmy własny pokój, ale musieliśmy przechodzić przez przyległy, zajmowany przez kolegę. Po paru miesiącach przydzielono nam dwupokojowe mieszkanie zakładowe przy ulicy Górniczej. W Złotorii przyszła na świat nasza córka Joanna.

Zawsze ciągnęło mnie do sportu, stąd w Złotorii działałem w klubie „Górnik”, pełniąc społecznie funkcję kierownika sekcji akrobatyki sportowej. Podczas mojej kadencji czwórka męska zdobyła mistrzostwo Polski w klasie mistrzowskiej a po roku mistrzostwo świata, już pod innym kierownictwem, po moim przejściu do ZG Rudna. Bardzo dobrze wspominam siedmioletni okres pracy w ZG Lena. Kopalnię kierowali doświadczeni fachowcy, otwarci na wdrażanie postępu technicznego w eksploatacji złóż. Gdy zaczynałem pracę, do transportu urobku ze ścian stosowano przenośniki wstrząsane, potem wprowadzono przenośniki zgrzeblowe a pod koniec skrepery, wydajniejsze i łatwiejsze w obsłudze. Nie bez powodu mówi się, że „Lena” była kuźnią kadr. Stąd wywodzili się przyszli szefo-

wie Miedzi: Mirosław Pawlak był dyrektorem generalnym KGHM, Jan Foligowski kierował ZG Polkowice, Stanisław Pieprzyk - ZG Konrad. Ponadto do biura zarządu kombinatu awansowali: Władysław Maziarz jako dyrektor górniczy, a Artur Salomon jako główny inżynier wentylacji.

„Lena” była kopalnią o podwyższonej radioaktywności, największe zagrożenie niosły ze sobą zużyte prądy powietrza i rejon starych zrobów, gdzie m.in. zatrudniano pracowników oddziału wentylacyjnego przy przebudowie wyrobisk i oddziałów taśmowych. Napromieniowanie mierzono dozimetrami umieszczanymi na hełmach górników a zagrożenie monitorował Instytut Medycyny Pracy w Łodzi.

■ Coś się kończy, coś zaczyna

W Wilkowie pracowałem do września 1973 roku, przechodząc kolejne szczeble zawodowe, od stażysty, nadgórnika, sztygara zmianowego oddziału wydobywczego, po kierownika wentylacji. Równolegle byłem szefem Kopalnianej Stacji Ratownictwa Górniczego. Czasem w ramach wzajemnej pomocy jeździliśmy do akcji w nowym zagłębiu i w mniejszych kopalniach, takich jak np. Nowy Łąd. Kiedyś nocą wezwano nas do pożaru na podszybiu szybu wdechowego P-1 ZG Polkowice. Pamiętam, że w tej akcji jako zastępowy brał udział Mirosław Pawlak.

Z końcem 1973 roku wydobyć na „Lenie” zakończono. Znaczna część załogi już wcześniej zdecydowała się na podjęcie pracy w nowym zagłębiu. Mnie, przy poparciu głównego inżyniera wentylacji KGHM Artura Salomona, zaproponowano stanowisko inżyniera wentylacji w powstających Zakładach Górniczych Rudna. Przez rok dojeżdżałem ze Złotorii, w końcu przenieśliśmy się do Polkowic na stałe, bo charakter mojej funkcji wymagał, aby być blisko kopalni. I tak, z ulicy Górników w Złotorii przenieśliśmy się na ulicę Górniczą w Polkowicach. Już na początku mojej pracy w „Rudnej” dyrektor techniczny Stanisław Wołczyk polecił mi zorganizowanie Kopalnianej Stacji Ratownic-

twa Górniczego. Musiałem zacząć od podstaw, a więc: zakupić odpowiednie wyposażenie sal, aparaty ratownicze, przeprowadzić nabór ratowników i poszukać kandydata na kierownika stacji. Powstała też komora szkoleniowa do ćwiczeń z użyciem aparatu ucieczkowego w warunkach zadymienia. Oficjalnie Kopalnia Stacja Ratownictwa Górniczego zaczęła działalność od 1 października 1974 roku.

■ Woda hamowała wentylatory.

Kopalnia rozbudowywała się w szybkim tempie, w związku z tym zakres moich obowiązków również się powiększał. Pojawiły się problemy wymagające nowych rozwiązań. Mielśmy np. kłopot z nierówną pracą stacji wentylatorów głównych przy szybach R-V i R-VI. Przyczyną była woda, która wytrącała się z wyciąganego z kopalni powietrza i z obudowy szybu. Gdy duże krople wody krążące w powietrzu równoważyły się swoim ciężarem z siłą ciągu wentylatorów, w szybie R-VI dochodziło momentami do zatrzymania przepływu powietrza i okresowego opadania wody do rząpia. Po opadnięciu wody, praca wentylatorów wracała do normy. Problem powstawał przy pracy równoległej trzech wentylatorów i maksymalnych prędkościach powietrza w szybie. Wymyśliłem sposób rozwiązania tego problemu. Polegał on na odprowadzeniu opadającej z powietrza wody, ze spągu kanału na zewnątrz stacji wentylatorów na zasadzie naczyń połączonych o różnej długości ramion. Woda z krótszego ramienia samoczynnie wypływała do kanalizacji ściekowej. Praca stacji wentylatorów ustabilizowała się. To bezinwestycyjne rozwiązanie, niewymagające zużycia energii elektrycznej, zostało opatentowane.

■ Kobiety spisały się na medal

Jednak za swoje najbardziej znaczące inżynierskie osiągnięcie uważam decyzję podjętą podczas pożaru, który wybuchł na podszybiu R-II w 1976 roku. Do tego dramatycznego zdarzenia doprowadził fatalny zbieg okoliczności. W pobliżu podszybia R-II znajdują się komory paliw i materiałów wybuchowych; muszą one mieć odrębną wentylację, niezależną od reszty kopalni. Kopalnia była ciągle w budowie i z konieczności, do czasu ukończenia budowy szybu wentylacyjnego R-V, zastosowano rozwiązanie tymczasowe wentylacji tych komór z wentyla-

torem na podszybiu na poz. 1000. Tak się złożyło, że awarii uległ silnik, który napędzał wentylator podziemny do odprowadzania powietrza z tych komór do szybu R-II. Kiedy przestał działać, szyb R-II stał się wdechowy. To się zdarza.



ZG Konrad likwidowano z nadzieją, że kiedyś w ten region powróci przemysł miedziowy.

Elektrycy wymienili niesprawny silnik na zapasowy, ale i on nieomal natychmiast się spalił, prawdopodobnie na skutek zawilgocenia. Rozpoczęły się usilne poszukiwania silnika poza kopalnią. Pech, że w takiej sytuacji, w rzapiu tego szybu, wybuchł pożar, spowodowany robotami spawalniczymi na podszybiu R-II. Rozżarzone skrawki spawu i ścinki metalu spadały na dno szybu, gdzie jeszcze z okresu budowy pozostały resztki zaolejonych szmat i innych palnych materiałów. Tego dnia miałem dyżur domowy. Od dyspozytora głównego odebrałem telefon z wiadomością o pożarze w szybie R-II. Wiedząc, że szyb ten po awarii wentylatora stał się szybem

wdechowym, dyspozytorom mocy natychmiast wydałem dyspozycję pilnego wykonania rewersji wszystkich stacji wentylatorów głównych. Natomiast dyspozytorowi głównemu poleciłem niezwłoczne powiadomienie o pożarze kierownika ruchu zakładu tzn. dyrektora kopalni

nego pudła wykonały rewersję, zatrzymały je i przestawiły przegrody w kanałach wentylacyjnych w takim kierunku, że wentylatory nie wyciągały lecz tłoczyły powietrze do kopalni. Cel został osiągnięty: dymy nie popłynęły dalej, zatrzymały się w połowie drogi między szybami



Adolf Chyra na karczmie dla emerytów w towarzystwie Kazimierza Ziś, byłego dyrektora naczelnego ZG Lubin.

a także jego zastępcę. Byli poza kopalnią, bo pożar wybuchł na drugiej zmianie. Nie miałem uprawnień kierownika ruchu zakładu do wydawania decyzji o rewersji, ale w sytuacji jaka zaistniała w kopalni, każda minuta była bezcenna. Powietrze wraz z dymem, w drogach głównych rejonu Rudnej Głównej, płynęło z szybkością 8 m/sek. To oznaczało, że w ciągu minuty zadymionych zostanie dalsze 480 m wyrobisk na trasie przepływu powietrza. Kilkaset osób pracujących na zmianie w tym rejonie, znalazło się w ogromnym zagrożeniu. Byłem pewny, że manewr się uda, ponieważ wspólnie z głównym energetykiem takie rewersje przeprowadzaliśmy kontrolnie każdego miesiąca, w dniu wolnym od pracy. Kobiety, bo to one w większości były operatorkami wentylatorów na szybach wydechowych, spisały się na medal! Bez żąd-

R-II i R-VI, a potem zaczęły się cofać do szybu R-I i R-II. Po rewersji wentylacji szyb R-II stał się szybem wydechowym, z którego wydobywały się dymy widoczne nad Polkowicami. Załogę ewakuowano przez Polkowice Główne i Rudną Zachodnią, a po oddymieniu Rejonu Głównego szybem R-I. Na pomoc do gaszenia pożaru i wyprowadzania ludzi z rejonu zagrożenia wezwano zastępy Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego i własne zastępy ratowników ZG Rudna. W krótkim czasie na kopalni pojawili się dyrektorzy: naczelný Zenon Słowiński i techniczny Jan Sadecki, którzy przejęli kierowanie akcją ratowniczą. Prowadzono ją bardzo sprawnie, pożar opanowano po kilku godzinach. Całe szczęście, że nikt nie zginął i nikt się poważnie nie zatrueł, tylko 20 osób trafiło do szpitala na obserwację. Ostatecznie silniki do wentylatora

się znalazły i dzięki temu przywróciliśmy normalną wentylację komór MW i paliw. Potrzebna też była wymiana dużej części elementów zbrojenia podszybia i kabli w szybie R-II.

■ Kara mnie ominęła

Dla wielu to zdarzenie stało się przestrogą. Dopiero w sytuacji zagrożenia pożarowego ludzie odczuli, co to znaczy mieć przy sobie aparat ucieczkowy. Ci, którzy wyjechali jako pierwsi, opowiadali, że gdy pojawił się dym, po omacku, na czworakach (przy spągu było mniejsze zadymienienie), szukali swoich aparatów. Niestety, niektórzy górnicy zrucają swoje aparaty gdzieś pod ocios, żeby nie przeszkadzały w pracy.

Po paru dniach, już po wszystkim, spotkał się w kopalnianej stołówce z dyrektorem generalnym KGHM Tadeuszem Babiszem. Przebieg akcji relacjonował dyr techniczny Jan Sadecki. Siedziałem tam pełen obaw, zastanawiałem się: będą gromy czy pochwały? Dyrektor generalny dziękował nam za uratowanie załogi i kopalni, gratulował, że w porę potrafiłmy opanować tak niebezpieczny pożar. Miałem satysfakcję, kiedy usłyszałem, że najważniejsza była ta moja pierwsza decyzja o rewersi wentylatorów. Za tę akcję dostałem odznaczenie Zasłużony dla KGHM i nagrodę pieniężną. Natomiast na rozprawie w OUG zanośli się na karę za to, że silnik rezerwowy był niewłaściwie utrzymywany, ale wybroniłem się, bo za silnik odpowiadał pion głównego energetyka. Drugi zarzut dotyczył uchybienia formalnego, jako że decyzji o rewersi nie skonsultowałem z dyrektorem, a tym samym przekroczyłem swoje uprawnienia. Tłumaczyłem, że nie było ani minuty do stracenia, że każda chwila zwłoki mogła doprowadzić do całkowitego zadymienienia kopalni, ponieważ szyb R-II od R-VI dzielił zaledwie trzy kilometry. Musiałem ryzykować! Z Janem Sadeckim, ówczesnym dyrektorem technicznym Rudnej, zostaliśmy wezwani do kombinatu na sesję wyjazdową WUG w tej sprawie. Półtorej godziny czekaliśmy w biurze zarządu, ale nie zostaliśmy przesłuchani. Wiem, że prezes WUG mnie bronił i oświadczył, że jako inżynier zachowałem się prawidłowo. Ostatecznie uznano, że moje działanie było uzasadnione nadzwyczajną sytuacją a ocena całej akcji wypadła dla nas pozytywnie. Kary nie otrzymałem. Sprawa stała się głośna, bo po raz pierwszy ktoś przepro-

wadził w kopalni prawie jednocześnie rewर्सję wszystkich wentylatorów głównych. Dotąd temat znany był jedynie z literatury górniczej jako zalecenie. Cała operacja została dokładnie udokumentowana i przeanalizowana przez Urzędy Górnicze w całym kraju i wykorzystana szkoleniowo. Wentylacją zajmowałem się do grudnia 1989 roku. Po zmianach ustrojowych, gdy dyrektorem w kombinacie został Jan Sadecki, awansowałem na dyrektora technicznego „Rudnej”, a po odwołaniu, we wrześniu 1990 roku, dyrektora kopalni Wiesława Jarmużka, przez parę miesięcy dodatkowo pełniłem obowiązki naczelnego. W ogłoszonym konkursie na stanowisko dyrektora kopalni startowało czterech kandydatów, w tym ja - ostatecznie wybrano Henryka Karasia. Pozostałem w kierownictwie jako dyrektor inwestycyjny, a funkcję technicznego objął dotychczasowy zawiadowca Stanisław Siewierski.

■ Sukcesy i tragedie

Mimo politycznej zawieruchy w kraju, „Rudna” fedrowała na całego, wydobywaliśmy wtedy najlepsze złoża. Przez cały czas byliśmy na plusie. Niestety mieliśmy też sporo wypadków z powodu tupań, ale i na skutek zwykłej głupoty i lekceważenia przepisów. W 1990 roku doszło do wyjątkowo dramatycznego wypadku zbiorowego (nie pamiętam ilu zginęło). Początkowo za przyczynę uznano tąpnięcie, ale po dłuższym dochodzeniu wyszło na jaw co innego. Strzałowi nielegalnie likwidowali nadwyżkę materiału wybuchowego, zamiast zwrócić ją do komory materiałów wybuchowych. Ich ilość musiała być znaczna, a ludzie znajdowali się za blisko wybuchu i stąd tak tragiczne skutki. To zdarzenie rzuciło poważny cień na kopalnię, gdyż wniosek był oczywisty; na pewno nie pierwszy raz postępowano tak z materiałami wybuchowymi. Początkowo mnie i Siewierskiego próbowano rozliczyć za tę tragedię, ale my obaj dopiero co objęliśmy swoje funkcje. Ostatecznie konsekwencje skupiły się na dozorze odpowiadającym za prace strzałowe i na dozorze górniczym. Za sukces poczytuję sobie to, że do 1989 roku na „Rudnej” udało się utrzymać 8-godzinny dzień pracy na dole, prawie w całej kopalni. Z pewnością było to w jakimś stopniu moją zasługą jako wieloletniego inżyniera ds. wentylacji (17 lat na tym stanowisku). Stosowaliśmy najnowsze

rozwiązania, kupowaliśmy najnowocześniejsze urządzenia schładzające lokalnie temperaturę poniżej 28 st. C w przodkach. Przekroczenie tej bariery było i jest równoznaczne z obowiązkiem wprowadzenia 6-godzinnego czasu pracy na dole, oczywiście bez obniżania wynagrodzenia. Później, gdy eksploatacja zesłała głębiej, w znacznej części kopalni nie udawało się utrzymać wymaganej temperatury i fedrowano w skróconym czasie. Ale równocześnie trwały poszukiwania różnych metod jej obniżania, i je wprowadzano, m.in. maszyny z klimatyzowanymi kabinami, lokalne klimatyzatory, izolację termiczną ociosów a z czasem zastosowano centralną klimatyzację. Na „Rudnej”, co warto podkreślić, jako pierwsi w LGOM, zaczęliśmy stosować automatyczne tamy wentylacyjne uruchamiane siłownikami hydraulicznymi; wystarczyło pociągnąć za linkę i tama się otwierała - operator przejeżdżał i po drugiej stronie linką tamę zamykał (obecnie fotokomórka). To był duży postęp, bo przecież początkowo tamy budowano z taśm przenośnikowych, podwieszając je pod stropem. Gdy byłym szefem pionu wentylacji, podlegała mi również stacja ratownictwa górniczego, wszystkie lampownie, trzy oddziały wentylacyjne i trzech nadsztygarów - łącznie zarządzałem ok. 220 pracownikami. Praca była stresująca (nie bez powodu już 17 lat temu wszczepiono mi by-passy), nawet w domu myślało się o kopalni; czy za chwilę nie zadzwoni telefon i nie dowiem się, że ludzie schodzą z roboty, bo nie mają powietrza. Albo np., że jakiś cholernik rozwalił tamę, powietrze ucieka na skróty i nie dociera tam, gdzie powinno. Niestety zdarzało się, że ktoś złośliwie uszkadzał tamę, po to, by spowodować wzrost temperatury powyżej 28 stopni i skrócić czas pracy.

■ Z emerytury na ZG Konrad

Miałem już uprawnienia emerytalne, gdy pod koniec 1994 roku nowy prezes KGHM PM S.A. Krzysztof Sędzikowski zaproponował mi stanowisko dyrektora ds. górnictwa w zarządzie spółki. Propozycję przyjąłem, ale był to niewielki epizod w moim życiu. Pięć miesięcy później odwołano Sędzikowskiego, a po kilku miesiącach mnie także podziękowano. Stanisław Siewierski, już jako prezes miedzianej spółki, tłumaczył mi, że firma przechodzi restrukturyzację, co wymaga zmian organizacyjnych i personalnych. Ponieważ

od pięciu lat posiadałem uprawnienia emerytalne, mogłem więc spokojnie przejść na emeryturę. Przez siedem miesięcy odpoczywałem, do czasu kiedy w 1996 roku prezes Siewierski zaproponował mi posadę dyrektora ZG Konrad. Zgodziłem się, a mój poprzednik na tym stanowisku Edward Poznań, który niechętnie rozstawał się z „Konradem”, został prezesem Zanamu. Upowiedział mnie, że tam w łwinach będę miał ciężkie życie przez Michalczyka, przewodniczącego zakładowej Solidarności. Nie bałem się tego, bo na „Rudnej” na co dzień spotykałem się ze związkowcami i jakoś potrafiłem się z nim dogadać. Nigdy nie szukałem zwady. Nie prowokowałem i nie upierałem się, że moje musi być na wierzchu, zawsze mówiłem: spróbujmy się dogadać we wspólnym interesie. I ta zasada działała. Choć rzeczywiście, potem się przekonałem, że Edward Michalczyk był trudnym partnerem, mimo to dochodziliśmy do porozumienia (do dziś przesyłamy sobie życzenia świąteczne).

■ Z Oktawą nie wyszło

Gdy w 1996 roku zostałem dyrektorem Oddziału ZG Konrad, od sześciu lat rudy już tam nie wydobywano, jedynie anhydryt i dostarczano wodę pitną z ujęć podziemnych do gmin pozbawionych jej z powodu szkód górniczych: Warta Bolesławiecka, Pięlgzymka i Zagrodno. To był duży problem; stare rurociągi zakopane w ziemi na skutek korozji często ulegały awariom i trzeba było je bez przerwy remontować. Mimo zakończonej eksploatacji, kopalnię nadal utrzymywano w ruchu; pracowała maszyna wyciągową, działały elektrowozy do przewozu ludzi i materiałów oraz jedyna w Polsce taśma do transportu pracowników na poziom 800. Działały rozdzielnie, pompownie i rurociągi oraz niezbędna infrastruktura. Były dwa niezależne systemy odwadniania kopalni. Przy pomocy rur wpuszczonych kilka metrów w ocios pozyskiwano czystą wodę dla gmin, a wylewającą się samoczynnie z ociosów na spąg i zgromadzoną na poziomie 850 m, wypompowywano na powierzchnię do stawu osadowego nr 2. Na dole odbywały się także prace rabunkowe; odzyskiwano materiały, demontowano urządzenia i maszyny. W sumie w kopalni pracowało jeszcze około 800 osób, w tym ponad 220 przy wydobywaniu anhydrytu. Zarząd KGHM zastanawiał się, jak zagospodarować kopalniany po-

tencjał, chodziło głównie o ludzi, bo nie wszyscy mogli znaleźć zatrudnienie w nowym zagłębiu. Na bazie majątku ZG Konrad w 1996 roku powstało Przedsiębiorstwo Eksploatacji Wód S.A., a w następnym połączone kopalnie anhydrytu Nowy Łąd i Lubichów utworzyły spółkę z o.o. pod nazwą Kopalnia Gipsu i Anhydrytu Nowy Łąd (w ramach DSI), przejmując ok. 220 pracowników Konrada. Spółka „Aquakonrad” miała obowiązek zaopatrywania gmin w wodę, postanowiono także uruchomić produkcję butelkowanej wody mineralnej o nazwie Oktawa. Zapowiadał się świetny interes, KGHM (większościowy udziałowiec) wyłożył duże pieniądze na supernowoczesną niemiecką linię technologiczną do butelkowania wody i na marketing. Samodzielna próba wejścia na rynek niestety nie wypaliła, dlatego podpisano umowę z dystrybutorem zewnętrznym, który zajmował się produkcją i dystrybucją odżywek dla dzieci (Gerber). Ale i on sobie nie poradził z wypromowaniem nowej wody na rynku. Sprzedaż szła kiepsko i ostatecznie trzeba było zrezygnować z tego pomysłu, szczególnie po decyzji o zatopieniu kopalni i w konsekwencji zanieczyszczeniu wody pitnej. Spółka „Aquakonrad” upadła i została zlikwidowana. Pozostały jedynie kłopoty z firmą dystrybucyjną, która domagała się odszkodowania za zerwaną umowę i poniesione nakłady na rozlewnię.

■ Zalewanie „Konrada”

Powodzenie tego biznesu nie zależało ode mnie, ale żałuję że „Aquakonrad” „popłynął” i z planów nic nie wyszło. Byłem przekonany, że te dwie spółki (Aquakonrad i Nowy Łąd) mają duże szanse, by się utrzymać. Liczyliśmy przede wszystkim na to, że część załogi „Konrada” nadal będzie miała pracę związaną z górnictwem, wszak byli to: górnicy, maszyniści, sygnaliści, operatorzy, pom-



Stylizowane portrety Adolfa Chyry - przygotowane z okazji barbórkowych karczm.

piarze, elektrycy. Zachowali ją tylko ci, co przeszli do KGiA Nowy Łąd, którą wkrótce od KGHM odkupił Atlas.

Po nieudanym eksperymencie ze sprzedażą wody, zaczęto szukać oszczędności i w efekcie w 1999 roku władze miedziowej spółki powzięły decyzję o zalewaniu „Konrada”, ale darmowa woda dla gmin musiała być dostarczana. Zaczęły się jednak kłopoty, ponieważ podnoszący się

poziom wody w kopalni przenikał do ociosów i w rezultacie zanieczyścił wodę pozyskiwaną dla gmin. Okazało się, że zawiera ona m.in. bakterię coli. W tej sytuacji sanepid bolesławiecki zamknął możliwość pobierania wody pitnej z kopalni. Po likwidacji Oddziału ZG Konrad, jego majątek oraz zatrudnionych pracowników i zobowiązania przekazano Oddziałowi ZG Lubin. Między innymi do mnie, już jako pełnomocnika dyrektora O/ZG Lubin, należało współdziałanie z dyrekcją, by w trybie awaryjnym dostarczyć wodę pitną na teren trzech gmin z powiatu bolesławieckiego. Natychmiast, skąd się tylko dało, z wojska, od straży pożarnej, samorządów ściągnięto cysterny i beczkowozy - w ten sposób czasowo zaopatrywano wioski w wodę w gminach Warta Bolesławiecka, Zagrodno i Pielgrzymka. Jednocześnie wrocławskie Cuprum w błyskawicznym tempie opracowało projekt rurociągu z Bolesławca do odbiorców w gminach. Udało się inwestycję zakończyć w zawnętym tempie trzech miesięcy. Było to możliwe tylko dlatego, że rurociągi poprowadzono w 9-kilometrowym pasie drogowym z Bolesławca do Iwin (na Konradzie znajdował się rozgałęźnik), co nie wymagało zbyt wielu uzgodnień. Wójt Gminy Warta Bolesławiecka Mirosław Haniszewski cuda czynił, żeby w terenie nie było kłopotów z mieszkańcami. Tylko przez jedno pole trzeba było kopać dłuższy odcinek, rolnik wyraził zgodę pod warunkiem, że z tego rurociągu będzie mógł czerpać wodę do podlewania upraw. Było jeszcze jedno możliwe rozwiązanie problemu z wodą, ale wymagało więcej czasu. Zrealizowano je dopiero w ostatnich latach; KGHM dofinansował gminy, które same odwierciły ujęcia na swoim terenie i od tej pory jest spokój - KGHM nie musi już zaopatrywać ich w wodę.

■ Karpie w stawie osadowym

Pomysły na zagospodarowanie „Konrada” były różne. Pod koniec lat 80. próbowano uprawy pieczarek na dole kopalni, ale koszty utrzymania całej infrastruktury: szybów, wentylacji, odwadniania itp. okazały się zbyt wysokie. Niepowodzeniem zakończył się także pomysł hodowli karpia w nieużywanym stawie osadowym nr 2 w Iwinach. Do tego stawu trafiały nadwyżki czystej wody pompowanej z podziemi kopalni, dalej odprowadzano je do rzeki Bobrzycy.

Badania wykazały, że mięso karpia nadaje się do spożycia, nie stwierdzono w nim obecności metali ciężkich. Ale koncepcja upadła po decyzji o zalaniu kopalni, gdyż nadwyżek wody już nie było. Do pierwszego odłowu nie doszło; za sprawą okolicznych mieszkańców ryby szybko znikały ze stawu. Kopalnia została zalana, szyb wentylacyjny K-II zasypano, w przeciwieństwie do szybu głównego K-I, który nie został zlikwidowany tylko przykryty z wierzchu płytą żelbetową. Likwidowaliśmy „Konrad” z cichą nadzieją, że kiedyś górnictwo może wróci na ten teren, bo przecież złoża nie zostało wyczerpane, tylko wydobycie przy ówczesnych cenach było nieopłacalne. Nie pomyliliśmy się aż tak bardzo, ostatnie wiercenia potwierdziły, że ciągnące się w kierunku Bolesławca zasoby rudy miedzi w przyszłości mogą być z powodzeniem eksploatowane.

■ Panie, ale tu Polska

Moja praca na „Konradzie” miała zupełnie inny charakter niż poprzednie, ale była równie odpowiedzialna, bo chodziło przecież o ludzkie losy. Najważniejszym celem było zapewnienie ludziom pracy. Wielu przeszło do nowego zagłębia, ponad 300 osób do spółki „Aquakonrad”, 220 pracowników przejęła kopalnia anhydrytu, pozostałym szukałem zatrudnienia w bardzo różnych miejscach. Np. strażników przekazaliśmy (z takimi samymi uprawnieniami płacowymi jak na „Konradzie”) do wrocławskiej firmy ochroniarskiej Zeko, która pilnowała pozostałości po kopalni w Iwinach. Gdy sprzedawałem skład węgla w Bolesławcu prywatnym osobom, to przy okazji wytargowałem zatrudnienie dla dwóch albo trzech osób do prowadzenia tego składu. A kiedy firma niemiecka produkująca bombki kupowała w Wilkowie budynek dyrekcji i łaźni („Konrad”) był spadkobiercą majątku po ZG Lena), wynegocjowałem miejsca pracy dla 19 mieszkających w okolicy naszych pracowników. Właścicielowi, Niemcowi polskiego pochodzenia, zaproponowałem spisanie odpowiedniego porozumienia, na co się oburzył: „Jak potrzebuję w Niemczech 200 tys. marek dla firmy, to załatwiam na telefon, takie mamy zaufanie do siebie”. „Panie, ale tu Polska” - uświadomiłem mu. Całe szczęście, że spisaliśmy jednak porozumienie, bo kiedy kobiety zaczęły się zgłaszać do wytwórni bombek, odsyłało je z niczym. Dyrektor - Polak nie chciał



Adolf Chyra z żoną Krystyną i dziećmi: Andrzejem - aktorem i córką Joanną - anglistką, nauczycielką w LO w Lubinie.

ich zatrudnić, ponieważ korzystniej było przyjmować kandydatki skierowane przez urząd pracy, do których firma dostawała dofinansowanie. Pojechałem do tego dyrektora i pokazałem porozumienie, o którym, jak zapewniał, nie wiedział. Wszystkie panie przyjął, ale po jakimś czasie niemieckie bombki i tak zbankrutowały.

■ **Bardzo cenny zwyczaj**

Chyba nienajgorzej spisałem się jak likwidator, skoro na pożegnanie, 1 lutego 2004 roku, od samorządu Warty Bolesławieckiej otrzymałem w podziękowaniu za dobrą współpracę szwajcarski zegarek Tissot z dedykacją. Ale być może odczucia indywidualnych osób były różne. Kiedyś w Iwinach przedstawiono mnie żonie byłego pracownika ZG Konrad, którego przekazałem do „Aquakonrad”, a wcześniej wysłałem na kurs operatorów wózków widłowych niezbędny przy obsłudze magazynu wody. Jednak po pewnym czasie został zwolniony z „Aquakonrad”, tuż przed nabyciem praw do

zasiłku przedemerytalnego i w tej trudnej sytuacji zwrócił się o pomoc. Załatwiłem mu pracę w firmie ochroniarskiej Zeko. Kobieta spojrzała na mnie z dezaprobatą, mówiąc: „Ale co to za pieniądze!” Wcale nie musiałem się nim zajmować, ale był w trudnej sytuacji i prosił o pomoc. No i tak to jest czasami z wdzięcznością. Nie miałem do niej żalu, dla mnie to raczej anegdota. Wciąż jestem zapraszany na karczmy do kopalni anhydrytu, mimo, że należy ona do firmy Atlas i nie ma związku z Miedzią. Ponadto każdego roku z żoną bywamy na składkowych przyjęciach w Iwinach z okazji Dnia Kobiet. W imieniu dyrekcji ZG Lubin, jako ostatni dyrektor „Konrada”, spotykam się z emerytami na biesiadach w Złotorzy, Iwinach i Bolesławcu. Spotkania te odbywają się dzięki niewielkim dotacjom z KGHM. To bardzo cenny, lecz coraz rzadszy zwyczaj i oby jak najdłużej się utrzymał. Warto pamiętać o starych górnikach, którzy od podstaw tworzyli miedziowy przemysł, dziś stanowiący potężną gałąź naszej gospodarki. ■

W szeregach mistrza Polski pełna mobilizacja. Niezwykle groźne strzały Bona, Marksa, Benigera - minimalnie przestrzelone lub świetnie obronione przez Macheja. W ostatnich minutach on właśnie jest głównym bohaterem meczu. Trzy razy w pięknym stylu broni „bomby” Marksa, kierowane w samo okienko...

*Franciszek Machej,
górnik szybowy
ZG Lubin, legenda
lubińskiej piłki
nożnej.
Pracował w latach
1968-1999*



Górnik z jedną żółtą kartką

Jak każdy chłopak piłkę kopał od najmłodszych lat, w rodzinnych Hażlach, wiosce w powiecie cieszyńskim.

– Już jako młodzik przychodziłem na stadion Victorii Haźle, występującej wówczas w B-klasie. Znałem wszystkich zawodników. Może to dziwne, ale lubiłem nosić piłkarzom buty i piłki. Z upływem lat, gdy kogoś brakowało na wyjazdowych meczach, wchodziłem na boisko – wspomina po latach Franciszek Machej. Ucząc się w Cieszynie, zaczął regularnie trenować w drugoligowej drużynie hokejowej Piast Cieszyn. Grał na różnych pozycjach, początkowo był nawet napastnikiem. Później trener postawił go w bramce, co miało wpływ na jego późniejszą karierę piłkarską.

■ Mundur i dres

Prawdziwa przygoda z piłką nożną zaczęła się dla Franciszka Macheja dosyć późno, bo dopiero w trakcie odbywania zasadniczej służby wojskowej w jednostce, w Sulechowie. W pułku organi-

zowano rozgrywki w piłce nożnej, a ich głównym inicjatorem był szef kompanii. Już na pierwszej odprawie pytał: kto, jaki sport uprawiał. Gdy usłyszał, że Franciszek grał w hokeja i piłkę nożną, włączył go do kompanijnej drużyny. Początkowo grał w polu, ale gdy zabrakło bramkarza, szef postawił go na bramce. Niezle się spaisał już w pierwszym spotkaniu, i tak został bramkarzem.

W tym czasie w okręgówce grała drużyna Piasta Sulechów, złożona z piłkarzy cywilnych i wojskowych. W klubie działał również szef kompanii, który namówił Macheja do występów w tym zespole.

– Już po pierwszym treningu Emil Czyżewski (trener) powiedział mi, że będę „jedyńką”. W debiucie zagrałem pod cudzym nazwiskiem. Poszło mi całkiem dobrze, wygraliśmy mecz, a ja obronięm nawet rzut karny, chociaż reagowałem bardzo intuicyjnie. Nie wiedziałem jeszcze, jak się w bramce ustawiać, bo wydawała mi się taka duża, w porównaniu do hokejowej.

■ Trener go odnalaził

Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej Franciszek Machej trafił do Lechii Zielona Góra, gdzie w 1964 r. ściągnął go trener Czyżewski. Po dwóch latach zmienił stan cywilny i na kolejne dwa lata wyjechał za żoną do Poznania. Tam bronił barw Warty.

W 1968 roku Zagłębie Lubin awansowało do klasy okręgowej, jednak nie wiodło im się na początku rozgrywek, przegrywali prawie wszystko. Ówczesny trener Zagłębia Emil Czyżewski szukał wzmocnień i jedną z opcji było zatrudnienie nowego bramkarza. Przyjechał do Poznania, porozmawiać z Franciszkiem Machejem, którego znał z czasów gry w Lechii.

– Początkowo nie chciałem słyszeć o przenosinach – mówi Franciszek Machej. – W Poznaniu miałem uporządkowaną sytuację, byłem pierwszym bramkarzem. Z żoną mieszkaliśmy u jej rodziców, ale marzyłem o własnym „M”, na

co w poznańskim grodzie były raczej małe szanse. W tym samym czasie zgłosili się do mnie działacze jeszcze jednego klubu z Górnego Śląska. Miałem trzy wyjścia: zostać w Poznaniu, przejść do Grunwaldu Halemba albo Zagłębia Lubin. Oświadczyłem rodzinie, że najchętniej wybrałbym Lubin. Jednak żona nie chciała opuścić Poznania. Mimo to lubińscy działacze nie rezygnowali. W trakcie następnego spotkania Emil Czyżewski zaofertował mi przydział mieszkania od ręki i to mnie przekonało.

■ Pierwszy sprawdzian

Pierwszy raz do Lubina przyjechał w grudniu 1968 roku na towarzyszyły mecz z pierwszoligowym wówczas Śląskiem Wrocław – rozgrywany tradycyjnie z okazji górniczego święta.

– To był pamiętny mecz – wspomina. – Na godzinę przed rozpoczęciem przyszło ledwie sześciu zawodników, na dodatek jeszcze w mocno „bar-



Rok 1968. Franciszek Machej dołączył do drużyny, która wywalczyła awans do Ligi Okręgowej. Od lewej stoją: Bogdan Okulowski, Henryk Golnik, Emil Czyżewski (trener), Edward Kiciór, Wincenty Małek (komendant SZ ZG Lubin), Rudolf Konieczny, Zygmunt Babarowski. Rząd niżej, od lewej: Wawrzyn Jamry, Kazimierz Kucharski, Alojzy Poloczek, Henryk Szendziołek, Eugeniusz Mycak, Paweł Piechaczek. Od lewej siedzą: Józef Adamczyk, Bogdan Sokołowski, Józef Nowakowski.

bólkowym stanie". Śląsk przyjechał w najmocniejszym składzie, z Leszkiem Cimoszewiczem i Jankiem Tomaszewskim na czele. Poszedłem do nich, do szatni, poprosiłem by też zagrali „barbórkowo” i dodałem, że po meczu spotykamy się na wspólnym obiedzie w restauracji „Ratuszowa” (mieściła się w pawilonie na Rynku, dzisiaj już nie istnieje). Przegraliśmy 3:0, co z „pierwszoligowcami” nie było złym wynikiem, a ja wypadłem na tyle dobrze, że przedstawiono mi już bardzo konkretną ofertę. Obejrzałem mieszkanie, które na mnie czekało, zapewniono pracę w górniczej firmie i na początek premię na urządzenie się. Takiej propozycji nie mogłem odrzucić i tak zostałem pracownikiem Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Częstochowa.

– W tamtych latach powszechnie praktykowano zatrudnianie sportowców na etacie w zakładzie pracy – nawiązuje do wspomnień. – Jednak to nie była czysta fikcja. Przez połowę dniówki pracowaliśmy, a następne cztery godziny przeznaczaliśmy na trening w klubie. PBK miała bazę na Lubinie Głównym, skąd na stadion jest niezły kawałek drogi. Nieraz pokonywałem ten dystans marszobiegami, bo autobusów pracowniczych o tej porze nie było, a ja nie miałem samochodu ani motocykla.

■ Byliśmy za mali

W Lubinie rozgrywkami piłkarskie stanowiły jedną z nielicznych dostępnych dla górników atrakcji. Na mecze ligi okręgowej, rozgrywane na stadionie przy ulicy Odrodzenia, ściągało bardzo dużo ludzi. Runda wiosenna była dla Zagłębia Lubin bardzo udana. Zostali mistrzami wiosny, ale ostatecznie zajęli w lidze trzecie miejsce, które dawało prawo gry o awans do II ligi z zespołami innych lig regionalnych (liga okręgowa była wówczas równoznaczna z III ligą). Ale niestety zakulisowe działania sprawiły, że po weryfikacji wyników spadliśmy na czwarte miejsce i nie mogliśmy walczyć o awans.

■ Zbudowali sobie boisko

Przez kolejne cztery lata Zagłębie grało w lidze okręgowej z niezłym skutkiem, ale nie mogło się przebić wyżej. Przyczynił się do tego między innymi brak własnego boiska. W 1971 roku stadion OSiR-u został oddany do remontu i lubinianie nie mieli gdzie rozgrywać spotkań ligowych. Korzystali z gościnności klubów: Chojnowianki Chojnow, Odry Ścinawa i legnickiej Miedzi.

– W Chojnowie i Ścinawie witali nas jak swoich chłopaków, pomagali dopingiem. W Legnicy było gorzej, kibice nie byli za nami, ale do takich antagonizmów jak obecnie, nie dochodziło. Z początkiem 1972 roku podjęliśmy decyzję o budowie własnego boiska w czynie społecznym i jeszcze w tym samym roku mogliśmy zacząć na nim treningi. To pierwsze boisko nie miało żadnego zaplecza, było gliniaste, dopiero później wysypaliśmy je żużlem. W 1972 r. klub przejęły Zakłady Górnicze Lubin, gdzie dyrektorem technicznym był Jan Sadecki. Pracował tam także Piotr Czaja, wielki entuzjasta piłki nożnej, późniejszy wiceprezes PZPN. Postanowiliśmy, sposobem gospodarczym, zbudować nowy obiekt sportowy. Obok boiska powstał pawilon z szatniami dla zawodników oraz węzeł sanitarny. Pomagali nam przy budowie chłopcy ze szkoły górniczej, a gdy kryliśmy płytę boiska murawą, rozjechali się po całym powiecie i wycinali darninę, gdzie się dało. W ciągu dwóch tygodni boisko miało już trawę.

Na inauguracyjny mecz z GKS Katowice w 1974 r., na stadion przyszło kilka tysięcy kibiców. Zagłębie wygrało 2:0, zapanowała ogólna euforia.

■ Pokonali mistrza

W pucharowych rozgrywkach Zagłębie zaczęło jednak skromnie. Po zwycięstwach 1:0 z Chojnowianką i Bielawianką, pokonaniu 3:1 Górnika Wałbrzych, lubinianie trafili na drugoligową Wartę Poznań. Wygrali 1:0, a decydującą bramkę strzelił w 110 minucie dogrywki Rudolf Konieczny. Los sprawił, że na mecz 1/16 pucharowych rozgrywek do Lubina miał przyjechać jedenastokrotny mistrz Polski, obrońca tytułu mistrzowskiego i Pucharu Polski - Ruch Chorzów, w którym grali m.in. Czaja, Maszczyk, Marks, Wyrobek, Bula czy Beniger, zawodnicy może nie tak znani jak Deyna, Lato lub Szarmach po Mundialu w Niemczech, ale i tak budzący respekt przeciwników.

Wówczas jeszcze mało kto w kraju wiedział, gdzie jest ten Lubin. Niektórzy sądzili, że na Pomorzu, inni na Mazowszu. Kiedy chorzowianie mieli jechać do Turcji, na mecz Pucharu Europy z Fenerbahce Stambuł, myśleli, że w drodze na lotnisko w Warszawie zagrają sparing z Zagłębiem. Rozczarowali się wtedy podwójnie, bo do Lubina musieli zboczyć na Dolny Śląsk, a doskonała postawa lubinian sprawiła, że cała piłkarska Polska dowiedziała się, gdzie ten Lubin leży. Później Ruch wywalczył mistrzostwo kraju również w sezonie

(1974/75), ale na drodze do obrony Pucharu Polski stanęła lubińska drużyna.

Zagłębie Lubin wystąpiło w składzie: Franciszek Machej, Michał Lewandowski, Janusz Kieć, Henryk Nowak, Leszek Malawski, Kazimierz Kucharski, Rudolf Konieczny, Jan Ławnik, Aleksander Światała, Ireneusz Lorenc, Ryszard Matłoka. Trener: Alojzy Sitko

Warto przytoczyć opis meczu, który obok historycznego awansu do II ligi w 1975 r., był jednym z najwspanialszych sukcesów w historii klubu, zwłaszcza w latach, gdy grał w nim Franciszek Machej (opis opracowany przez Hammers'a w cyklu artykułów „Z kart historii”):

Mecz z Ruchem Chorzów w Pucharze Polski. Na zdjęciu kolejny raz znakomicie interweniuje Franciszek Machej, atakuje go wybitny w tamtym czasie napastnik „niebieskich” Jan Beniger. Bramkarzowi pomaga w obronie Stanisław Kieć.



Lubin 1 listopada 1974 roku. Fatalna, deszczowa pogoda. Silny wiatr i przenikliwe zimno. W autobusach MPK trudno do opisanego sciscu. Ich pasażerowie spieszą na stadion „Górnicy” w Lubinie. Na trybunach ponad siedem tysięcy osób, co jak na taki dzień, stanowi swoisty rekord. Sędzia główny Stanisław Sęk w towarzystwie liniowych, krakowskich arbitrów Jana Sekundy i Henryka Szalasa, daje sygnał do rozpoczęcia meczu.

Pierwsze minuty, pierwsze sensacje. Ucieczka Światały, ostry strzał na bramkę, tuż obok słupka. Nikt nie spodziewał się takiego początku. Zagłębie przyparło przeciwnika do muru. Dochodzi szósta minuta. Zaskakująca akcja całego zespołu.

Piłkę przechwytuje Konieczny, strzela ostro i ... 1:0 dla Zagłębia. Słynny Czaja nie miał nic do powiedzenia. Zagłębie nadal atakuje. 11 minut później sytuacja się powtarza. Ewidentny błąd chorzowskiej obrony przytomnie wykorzystuje Światała. Plasowany strzał i 2:0 dla gospodarzy. Niespodziewany rezultat potęguje doping na widowni. Ruch przechodzi do kontrataków. Zagłębie dzielnie się broni. Nie zapomina o atakach. Jeden z nich mógł przynieść kolejną bramkę. W 25 minucie Lorenc sam na sam z Czają. Wyciągnął go z bramki, strzelił jednak niezbyt celnie, a mogło być 3:0! Piłkarze Ruchu pojęli groźące niebezpieczeństwo, już nie lekceważą przeciwnika. Ruszają do ataku i w 29 minucie Malcher strzela bramkę.

W ostatnich 45 minutach Ruch rozpoczyna liczne, niebezpieczne ataki. Zagłębie chce utrzymać korzystny rezultat. Broni się i nieśmiało atakuje. Mocno zdenerwowani chorzowianie stawiają wszystko na jedną kartę. W rezultacie zmasowanego naporu w 59

minucie Beniger wyrównuje na 2:2. Zagłębie gubi się, gra za krótko i ogranicza do pojedynczych wypadów. Jeden z nich przynosi sukces. W 68 min. L awnik nie marnuje idealnej sytuacji i jest 3:2 dla gospodarzy! W szeregach mistrza Polski pełna mobilizacja. Niezwykle groźnie strzały Bona, Marxa, Benigera minimalnie prze-strzelone lub świetnie obronione przez Macheja. W ostatnich minutach on właśnie jest głównym bohaterem meczu. Trzy razy w pięknym stylu broni „bomby” Marxa, kierowane w samo okienko. Lubińscy piłkarze niecierpliwie spoglądają na boiskowy zegar, chorzowianie też. Pierwsi wybijają piłkę jak najdalej od bramki, drudzy atakują z pasją. Cały Ruch na „16” Zagłębia. Po jednym z desperackich wykopów piłkę przejmują Lorenc, oddaje zaskakujący strzał i... piłka trafia w spoje-nie słupka z poprzeczką. W chwilę później donośny gwizdek sędziego. Na boisku tłum, wiwatują, śpiewają „sto lat” i znoszą zwycięzców do szat-ni. Niekończące się gratulacje, zawodnicy toną w uściskach kibiców.

■ Rekordowa liczba kibiców

W następnej rundzie Pucharu Polski na lubi-nian czekał również wicemistrz kraju, słynny Gór-nik Zabrze. Na wspomnienie tego spotkania Fran-ciszek Machej uśmiecha się, chociaż nie udało się sprawić kolejnej niespodzianki. Górnik wygrał tylko 1:0, co było głównie zasługą pana Franciszka, który skutecznie bronił bramki.

– Było to spotkanie pod wieloma względami wyjątkowe. Na stadion przyszło około 20 tysięcy widzów, co chyba jest rekordem świata na tak ma-łym obiekcie. Kibice byli wszędzie, siedzieli wzdłuż linii bocznych boiska i za bramkami. Wielu wdra-pało się na drzewa. Dziś jest to nie do pomyślenia. Górnik nie popełnił błędu chorzowian i nie zlek-ceważył nas. Po wyrównanej walce przegraliśmy tylko jednym punktem, a jedyną bramkę strzelił Kwaśny. Gdy schodziliśmy z boiska podszedł do mnie Szarmach i słaską gwarą zaciągnął: „Franek, co ty groisz! Chodź do nas!”. Było mi bardzo miło, ale pomyślałem „gdzie mi tam do Górnika”. To był wówczas 10-krotny mistrz Polski, drużyna euro-



Rok 1975. Drużyna wywalczyła awans do II ligi. Od lewej stoją: masażysta Edward Rzdokiewicz, kierownik drużyny Zdzisław Gieralczyk, Franciszek Machej, Mieczysław Bak, Eugeniusz Światała, Janusz Kieć, Kazimierz Kucharski, Michał Lewandowski, Franciszek Buczkowski, Lesław Malawski, Ryszard Sambor, kierownik sekcji Edward Kiciór. Od lewej przykucnęli: Aleksander Światała, Rudolf Konieczny, Tadeusz Tabor, Jan Ławnik, Ireneusz Lorentz.

pejskiego formatu, finalista Pucharu Zdobywców Pucharów z 1970 r., w którym przegrał 1:2 z Manchesterem City. Z Andrzejem utrzymuję przyjacielski kontakt do dzisiaj.

■ Historyczny awans

Pucharowa przegrana nie przerwała dobrej passy Zagłębia, które po rundzie wiosennej mogło cieszyć się z pierwszego w historii awansu do II ligi, chociaż nie przyszedł łatwo.

– O awans rywalizowaliśmy w grupie z Unią Tarnów, Unią Racibórz i GKS Jastrzębie – wraca do wspomnień pan Franciszek. – Zdecydowanym faworytem, nie tylko ze względów piłkarskich, ale także i zakulisowych układów, był GKS, który – jak wszyscy mówili – musi grać w II lidze. Pierwszy mecz na wyjeździe zremisowaliśmy z Unią Racibórz, potem pokonaliśmy u siebie 2:1 Unię Tarnów. Pojechalśmy do Jastrzębia i przegraliśmy 0:3. Wydawało się, że już wszystko jest stracone. W tych meczach bronił Ryszard Sambor. Przez cały okres barażów byliśmy „skoszarowani” w Złotorii i trener Alojzy Łysko nie pozwalał nam nawet na chwilę wyjść do miasta. Po tych trzech meczach przekonywał, że mamy jeszcze szansę na awans. Dokonał też kilku roszad w składzie, ja miałem stanąć między słupkami. W rewanżu wygraliśmy 3:1 z Unią Racibórz, czekał nas wyjazd na mecz z tarnowską Unią. Mój kolega z Unii Mieczysław Tutaj powiedział mi, że przyjeżdżali do nich działacze z Jastrzębia i dodatkowo mobilizowali na spotkanie z nami. Pojechalśmy do Tarnowa dzień wcześniej, zamieszkaliśmy w ośrodku za miastem, a trener pilnował, aby nikt i nic do nas nie docierało. Po rozpoczęciu spotkania szybko zorientowaliśmy się, że miejscowym pomaga arbiter, który na co dzień gwizdał na boiskach I ligi. Był bardzo tendencyjny, właśnie on poka-

nił za opóźnianie gry. Zwyciężyliśmy 2:0, a dopingowała nas duża grupa naszych kibiców. Przyjechali za sprawą kierownika kadr ZG Lubin, pana Turkiewicza, który na wyjazd zorganizował dla kibiców pięć autokarów oraz poparcie około trzystu miejscowych sympatyków innego klubu z Tarnowa – Victorii. Po końcowym gwizdku znieśli nas na ramionach z murawy, skandując i śpiewając „Sto lat!”. To były niezapomniane chwile. W ostatnim spotkaniu z GKS musieliśmy wygrać, aby awansować. Zwycięską bramkę zdobył w 72 min. Jasiu Ławnik. Znowu byliśmy znoszeni na ramionach kibiców...

■ Zapłacili frycowe

Debiutanckiego sezonu w II lidze „zagłębiacy” nie mogą dobrze wspominać. Starzy wyjadacze ligowi i działacze postanowili pokazać „prowincuszom” miejsce w szeregu.

– W wielu spotkaniach byliśmy traktowani niesprawiedliwie – uważa pan Franciszek. – Choć-



Mecz ćwierćfinałowy Pucharu Polski z Górnikiem Zabrze. W wyskoku Andrzej Szarmach z numerem 10. Pierwszy z lewej Lucjan Kwaśny, zdobywca jedynej bramki w meczu. Z prawej Franciszek Machaj.

by w Dębicy: prowadzimy 2:1, sędzia przeciąga mecz do 96 minuty i w ostatniej dyktuje rzut karny za faul daleko poza linią 16 metrów. Podobnie potraktowali nas w meczu ze Spartą Zabrze i jeszcze podczas kilku innych.

Po sezonie w II lidze Zagłębie spadło do trzeciej. Los taki często spotykał beniaminków, mówiło się, że każdy musi zapłacić frycowe, jednak nie tylko brak doświadczenia o tym decydował. Gdyby nie zmowa innych klubów, szczególnie koalicji z Górnego Śląska oraz pomoc „gwizdków” (tak nazywano sędziów) Zagłębie najprawdopodobniej utrzymałoby się w II lidze.



■ Cały czas na Wschodnim

Po tym sezonie Franciszek Machaj postanowił zakończyć karierę. Wrócił do pracy jako ślusarz na Oddziale Szybowym ZG Lubin, gdzie był oficjalnie zatrudniony na pół etatu od 1975 r. (drugą „połówkę” miał w Zagłębiu). Jako jedyny piłkarz Zagłębia nie przeszedł w 1972 r. z PBK Częstochowa do ZG, gdy kopalnia obejmowała patronat nad klubem (sam chciał zostać w PBK).

Nie zerwał jednak z futbolem, w klubie zajął się szkoleniem młodzieży. Przez dwa lata trenował piłkarski narybek, jednak w tamtym czasie w klubie zbytnio się tym nie przejmowano. Zarabiał 1200 zł, co w połączeniu z pensją w kopalni dawało mniejsze dochody niż miał przed laty, choćby w Warcie Poznań. Gdy w 1978 r. urodziło mu się drugie dziecko, wybrał pracę na pełnym etacie w ZG Lubin. Na Lubinie Wschodnim kierownikiem oddziału szybowego był Henryk Cholewa, z którym znał się od wielu lat z racji tego, że właśnie ten oddział sprawował opiekę nad stadionem górniczym.

– Poszedłem do Henryka z pytaniem, czy mógłbym pracować na całym etacie. Odpowiedział mi: „Choćby od jutra”. Zrobiłem uprawnienia szybowe i dołowe – w tym jednym miejscu, pracowałem jeszcze ponad 20 lat.

W 1999 roku przeszedł na emeryturę. Wciąż wiernie kibicuje Zagłębiu. Nie ma dnia, by go nie było w klubie. Żałuje tylko, że dzisiejsi działacze tak mało pamiętają o historii.

Mecz z okazji 70 urodzin F. Machaja, w którym Oldboje Zagłębia Lubin zmierzyli się z drużyną LKS Victoria Hażle, gdzie pierwsze kroki w futbolu stawiał solenizant.

– Niemal wszędzie w Polsce, w klubowych budynkach są sale pamięci, gdzie eksponuje się fotografie zespołów i zawodników z lat poprzednich. Jeszcze w starym obiekcie na korytarzu wisało kilka takich zdjęć, ale w nowym budynku już ich nie ma. Była tam też kawiarnia prowadzona przez Andrzeja Wierzbickiego, w której zbieraliśmy się przed i po spotkaniach ligowych, oglądaliśmy nagrane mecze. To stwarzało niepowtarzalną atmosferę i poczucie więzi z drużyną i z klubem. Pamiętam też hotel dla przyjeżdżających kibiców. W ten sposób również pozyskiwaliśmy kibiców-sympatyków z innych regionów kraju. Dzisiaj mamy jedną z najlepszych baz szkoleniowych w Polsce, obiekt jest imponujący, ale mam wrażenie, że jakiś taki bezduszny.

Aby dawne przyjaźnie i znajomości nie zagięły, Franciszek Machaj 30 lat temu stworzył klub Oldboje Zagłębie Lubin, w którym skupił piłkarzy występujących w przeszłości w pomarańczowych barwach:

– Miło spotkać się z kolegami i pograć jak za dawnych lat – podsumowuje. – Może nie mamy już takiej formy, to jednak ciągle robimy to, co kochamy i jesteśmy blisko klubu, z którym się wszyscy identyfikujemy. ■

Nie wiedzieliśmy dokładnie, jakie warunki zastaniemy w tym kraju, dlatego transportowaliśmy do Algierii nie tylko potężne maszyny, lecz zabieraliśmy ze sobą także łopaty, rękawice, koszule, a nawet proszki do prania i mydło. Na miejscu okazało się, że nie musimy otwierać kontenera z mydłem, bo Algierczycy mają go pod dostatkiem.

*Jan Hawrysz,
Kierownik Robot
Górnich w
Przedsiębiorstwie
Budowy Kopalń.
Pracował w latach
1968-1995*



Na Wigilię podano nam rekina

Z pogranicza województwa stanisławowskiego i lwowskiego wyjechaliśmy całą rodziną latem 1945 roku. Po sześciu tygodniach dotarliśmy do Skowronkowa, obecnej Gorzycy pod Lubinem, i tu się osiedliliśmy. We wsi nie było nawet sklepu, utworzył go mój ojciec w naszym domu. Lubin był w tym czasie gruzowiskiem. Na peryferiach miasta zachowały się domy w dobrym stanie, ale nawet i te rozebrano, gdy władza ludowa rzuciła hasło, że potrzebne są cegłówki na odbudowę Warszawy.

■ Menażki za gorzałkę

Byłem uczniem pierwszej klasy ogólniaka, kiedy jadąc autobusem do szkoły, zobaczyłem na polu wieże wiertnicze. Pasażerowie rozmawiali o pracujących tu geologach. Krótco potem w mojej szkole pojawili się nowi koledzy i koleżanki, których rodzice przyjechali do Lubina za pracę. Zanim zdążyliśmy zdać maturę, budowano już Szyb Wschodni Bolesław.

O Lubinie było coraz głośniejsze z powodu odkrytych pokładów rudy miedzi i chyba dlatego stacjonujących tu żołnierzy Armii Radzieckiej około 60. roku przeniesiono do Legnicy. Część lubinian z tego powodu ubolewała, bo skończył się handel z Rosjanami. Soldaci sprzedawali Polakom zegarki, nylonowe pończochy i to, co mogli wynieść z koszar - wojskowe buty czy menażki. Wszystko zamieniali na gorzałkę.

■ Pod ziemię zamiast na morze

Od 1960 roku, w baraku, na rogu ul. Kościuszki i ul. Skłodowskiej-Curie, funkcjonowała filia Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Miedzi Bolesławiec, która z czasem stała się samodzielną jednostką. W tych latach w mieście otwierano wiele jadalni, bo ściągali tu ludzie z różnych stron Polski. Wśród pracowników PBKRM najbardziej popularna była restauracja Klubowa, znajdująca się naprzeciwko dworca PKS-u.



Tuż przed pochodem 1-majowym w Związku Radzieckim. Goście z Polski z rosyjskimi dziewczętami. Jan Hawrysz (w mundurze), Henryk Kamiński (na dole w środku) - górnik z PBK i Kazimierz Kozłowski (na górze w środku) - informatyk ZBK.

Jako uczeń klasy maturalnej, stojący przed wyborem wyższej uczelni, patrzyłem na to wszystko z zaciekawieniem. Początkowo myślałem o studiowaniu w Szkole Morskiej w Gdyni. Pod wpływem Piotra Nowakowskiego, inżyniera z PBKRM, fachowca od górnictwa i wiertnictwa, wybrałem jednak studia na AGH w Krakowie, na kierunku budowa zakładów górniczych. Potem z Piotrem Nowakowskim pracowaliśmy razem przez wiele lat.

W 1962 roku, po egzaminach wstępnych, przeszliśmy swoistą selekcję. Wysłano nas do kopalni

na półroczną praktykę. Trafiałem do Sie-mianowic, w tym czasie jednej z największych kopalni w Polsce. Praktykę zaliczyłem, ale nie wszyscy koledzy szczęśliwie przez nią przeszli, niektórzy rezygnowali ze studiów.

Choć studia na wydziale górnictwa rozpoczęło aż 300 osób, o pracę nikt się nie martwił. Absolwenci zatrudniani byli „na pniu”, tak duże było wówczas zapotrzebowanie na inżynierów górnictwa. Zostałem stypendystą PBKRM, które płaciło mi więcej, niż wynosiło stypendium państwowe czy fundowane przez inne firmy.

■ Pisz podanie na fizycznego

W marcu 1968 przyjechałem do PBKRM na praktykę dyplomową. Wyjazd z Krakowa uchronił mnie przed aresztowaniem, bo po słynnym wiecu na Uniwersytecie Jagiellońskim miałem kłopoty z władzą ludową.

Gdy tylko pojawiłem się w firmie, Jerzy Lengas, główny inżynier górniczy, zaprosił mnie na rozmowę. Kiedy się dowiedział, że za każdy zjazd pod ziemię dostanę tylko 10 zł, poradził: „Chłopie, pisz podanie o przyjęcie na fizycznego, zarobisz więcej”. I tak w połowie kwietnia 1968 roku, nietypowo, bo będąc jeszcze studentem, zostałem pracownikiem PBKRM.

Pracę magisterską napisałem na temat „Technologii i organizacji wykonywania wyrobisk korytarzowych na „Polkowicach” w warunkach Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego”.

Umieściłem w niej poufne, a nawet tajne rysunki, które zdobyłem „na lewo”. Po uzyskaniu dyplomu, jeszcze w październiku tego samego roku, rozpocząłem staż w PBKRM, gdzie zatrudnionych już było wielu moich starszych kolegów ze studiów. Wówczas kończono budowę szybów i drążono korytarze poziome na „Polkowicach”.

Po jakimś czasie od podjęcia pracy w zagłębiu miedziowym, miałem okazję porównać górnictwo węglowe z miedziowym. Kopalnie węgla, według mojej oceny, raczkowały w porównaniu z naszymi. Postęp był tam widoczny tylko w urabianiu, natomiast obudowa latami pozostawała drewnia-

na, podczas gdy w zagłębiu miedziowym takiej już się nie spotykało.

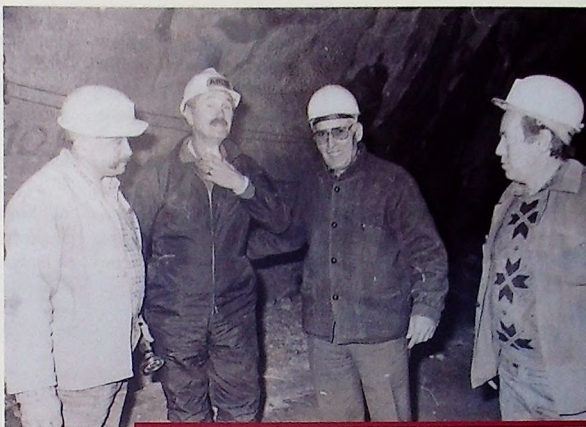
■ **Panie Ramzesie...**

Zostałem stażystą, a po dość trudnym egzaminie nadgórnikiem. Pracę zacząłem pechowo. Już na początku w kopani doszło do wypadku, w którym zginął młody górnik. Choć zatrudniony byłem wówczas w biurze i w czasie tego dramatycznego zdarzenia nie było mnie pod ziemią, jako nadgórnik odpowiadałem jednak za bezpieczeństwo ludzi i Urząd Górniczy zawiesił mnie w czynnościach. Zostałem wówczas pomagierem kierownika. Przez kilka miesięcy przygotowywałem protokoły odbioru, a po egzaminie i zatwierdzeniu mnie przez UG, awansowałem na sztygara zmianowego.

Kiedy pracowałem jeszcze na powierzchni, często odbierałem telefony od górników z kopalni. Nigdy się nie przedstawiali, lecz od razu krzyczyli do słuchawki: „Kto mówi?”. Za którymś razem zniecierpliwiony odpowiedziałem: „Ramzes XIII”. Wtedy usłyszałem jak górnik zwraca się do mnie: „Panie Ramzesie...”.

Moim szefem przez jakiś czas był Władysław Szczotka, z którym żyłem w przyjaźni. Razem z górnikami biliśmy rekordy w kopalni - jednego miesiąca wydrążyliśmy 302,4 m wyrobiska korytarzowego i to przy ręcznej robocie. Górnicy zarabiali wówczas dobrze, ale się nie oszczędzali, dlatego niektórzy w młodym wieku musieli przejść na rentę. Byli to ludzie nadzwyczaj zdyscyplinowani i zaangażowani. Jeśli w ciągu zmiany nie zdążyli wykonać zadania, zostawali po fajrancie. Z drugiej strony, gdy chcieli pojechać na sobotnią zabawę do Polkowic, a zrobili co do nich należało, wypuszczałem ich z roboty wcześniej. Sam trząsłem się wtedy ze strachu, bo jako sztygar zmianowy mogłem mieć z tego powodu niemałe kłopoty.

W 1973 roku zostałem sztygarem oddziałowym, a pięć lat później objazdowym. Ale żeby awansować na nadsztygara, musiałbym, zostać członkiem PZPR, bo w tym czasie o przejściu na wyższe stanowisko w dużym stopniu decydowała przynależność partyjna. Ja natomiast ani myślałem zapisywać się do partii, choć jej aktywiści



Turcja, 1989 rok. W budowanym tunelu, od lewej: Jan Hawrysz, angielski inspektor nadzoru, turecki opiekun pracowników kontraktowych i Józef Chmura z Przedsiębiorstwa Robót Górniczych Wałbrzych.

nalegali. Dali mi spokój dopiero wówczas, gdy zostałem członkiem Stronnictwa Demokratycznego i jednocześnie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Po jakimś czasie awansowałem na nadsztygara i to bez zapisywania się do PZPR.

■ **Na flaszkę dostaniesz**

Gdy byłem już doświadczonym szefem, podwładni, a nawet ich żony, przychodzili do mnie z różnymi problemami.

Jeden z górników strzałowych, gdy tylko odebrał wypłatę, ruszał w „tango”. Do domu wracał bez pieniędzy, bo albo wszystko przepił, albo go okradli. Któregoś dnia jego żona przyszła pożalić się na chłopca. Obiecałem jej, że jakoś rozwiążemy ten problem. Potem wraz z przedstawicielem rady zakładowej i związków zawodowych poprosiłem tego pracownika na rozmowę. Oświadczyłem mu, że jego wypłatę będzie odbierała żona. Buntował się, ale zagroziłem, że jeśli się nie zgodzi, od następnego dnia szuka nowego zajęcia i zapewniłem jednocześnie: „Na flaszkę od żony dostaniesz”. Upoważnienie dla małżonki w końcu podpisał, ale odgrażał się mi tak długo, jak długo razem pracowaliśmy. Kiedy przeszedłem na inne stanowisko, dokument stał się nieaktualny i górnik znowu osobiście odbierał pensje. Złe się to jednak dla

niego skończyło, bo dwa miesiące później został zwolniony.

Żona innego górnika przyszła do mnie bardzo wystraszona, bo znalazła w domu pod tapczanem materiał wybuchowy. Mąż zagroził, że wysadzi ją w powietrze. Zakochał się w jakiejś kuracjuszcze podczas pobytu w sanatorium i chciał rozwodu, mimo że miał z żoną zaledwie roczne dziecko. Następnego dnia wezwałem go i mówię: „Stachu, materiał wybuchowy tak szybko przynies do kopalni, jak go z niej wyniosłeś. Jeśli to zrobisz, będziemy kwita, inaczej przewiduję kłopoty”. Górnik dynamit zwrócił, pogodził się z połowicą, o sanatoryjnej miłości i rozwodzie zapomniał, a jego żona za

urlop. Od tego czasu problem jego absencji w wiadome dni obaj mieliśmy z głowy.

Za takie działania zostałem wybrany mistrzem - wychowawcą młodzieży i w nagrodę pojechałem pociągami przyjaźni do Moskwy i Leningradu.

■ Najpierw dla towarzyszy

W Lubinie jeszcze w latach 60. powstało przy ul. Kościuszki osiedle, na którym zamieszkałi głównie pracownicy PBK. Wielu ulokowano w budynkach pomiędzy ulicami: Kościuszki i Armii Krajowej. Natomiast osobom z kierownictwa kombinatu przydzielano lokale po oficerach armii radzieckiej przy ul. Skłodowskiej-Curie.



Jan Hawrysz z austriackim inspektorem nadzoru, z którym toczył „wojnę” na budowie tunelu w Turcji.

jakiś czas przyszła do mnie z podziękowaniem.

Jeden z moich podwładnych lubił wypić i gdy tylko dostał zaliczkę, 15. i 16. dnia każdego miesiąca nie pojawiał się w pracy. Jak dobry ojciec, wielokrotnie załatwiałem mu odpracowanie absencji w niedzielę, ale to mnie irytowało. Któregoś roku, w styczniu „wypożyczyłem” go sobie, mówiąc: „Pisz podanie: Proszę o udzielenie mi urlopu wypoczynkowego 15. i 16. każdego miesiąca”. W kadrach się nieco dziwili, ale pismo przyjęli. Następnego roku Mirek na kolanach prosił o normalny

W Polkowicach przez jakiś czas fachowy dostawali mieszkania od ręki. Jednak przemysł miedziowy rozwijał się szybko i ludzi do pracy przyjeżdżało więcej, niż przybywało nowych mieszkań. Kolejka do nich zaczęła się wydłużać i niektórzy nie mogli się doczekać na własny kąt, zwłaszcza że w pierwszej kolejności lokale przydzielano towarzyszom z PZPR. Mimo tych profitów niektórzy rezygnowali z członkostwa w partii. Pamiętam, że gdy wyznaczyłem mojego pracownika Franka na kurs górnika strzałowego, kierownictwo skreśliło go

z listy. Potem za dobrą pracę wytypowałem go do odznaczenia, i tym razem go pominięto. Zastanawiałem się, o co to chodzi, w końcu wydusił z siebie: „Rzuciłem legitymację partyjną, bo kiedy lokatorzy z mojego bloku popili sobie, wyzywali mnie od czerwonych świń”.

■ Postawiliśmy się szefowi

W styczniu 1980 roku, czyli znacznie wcześniej niż w kopalniach, zaczęły się w PBK strajki. Byłem nadsztygarem na Rudnej Zachodniej, kiedy ludzie nie chcieli zjechać pod ziemię. Udało się mi jednak ich przekonać, że tak nie wywalczą lepszych warunków płacowych. I chociaż moja zmiana nie strajkowała, a protestowały inne, wybuchła afera i zostałem dotkliwie ukarany finansowo. Zdegradowano też pierwszego sekretarza partii. Premię zabrano nawet koledze, który w tym czasie był na urlopie. Wyklócał się z szefostwem, ale nic to nie pomogło. Jednak po sierpniu tego samego roku zrehabilitowali nas i pieniądze oddali.

W tym samym miesiącu protesty wybuchły na dobre. W firmie zaczęła się szarpanina między Solidarnością a partią. Sekretarz z dyrektorem ds. pracowniczych wyzywali się od najgorszych, krótko potem dyrektor został zwolniony. W jednym tygodniu szefa wyrzucała partia, a w drugim Solidarność zwalniała tego, który przyszedł z nadania PZPR. Sytuacja stała się napięta.

W tym czasie pełniłem funkcję etatowego sekretarza rady pracowniczej, która wówczas zyskała większy wpływ na losy zakładu, bo nie była już zdominowana przez PZPR i mogła się postawić szefostwu. Jednego razu przetestowaliśmy taką możliwość. Dyrektor bez naszej wiedzy przystąpił do gwarectwa utworzonego w miejsce zjednoczenia w Częstochowie. Podpisany przez niego akces wrzuciliśmy do kosza, bo byliśmy przekonani, że gwarectwo, to nic innego jak pasożytniczy nawis, w którym zatrudnieni są ludzie nie znający się na górnictwie.

Rada pracownicza, wówczas instancja ważniejsza niż partia czy Solidarność, ustalała przeroby i plany działania przedsiębiorstwa, nie spełniała jednak swojego zadania. Niektórzy jej członkowie zgłaszali jakieś absurdalne, prywatne pretensje do dyrektora, a ja musiałem to łagodzić. Solidarność natomiast się upartyjniła i rozpanoszyła. W firmie sytuacja stała się trudna do wytrzymania, i w tym właśnie czasie dostałem propozycję zatrudnienia w Turowie.



Montaż szalunku w tunelu budowanym w Jerozolimie, 1994 rok.

■ Jak w sanatorium

Z początkiem grudnia 1981 roku zostałem wraz z kilkunastoma ludźmi z PBK oddelegowany do kopalni Turów. Dla odwodnienia odkrywkę mieliśmy wykonać tam komorę pomp i chodniki podziemne na głębokości 100 m. Niemal cały czas pracowaliśmy głównie kilofami i łopatami, mimo to plany wykonywaliśmy w 100 procentach. Czasami dochodziło jednak do awarii, ale zwykle były to drobiazgi w porównaniu z tym, co zdarzało się w zagłębiu miedziowym. Dlatego starzy górnicy, którzy przyjechali tu ze mną z Lubina, mawiali: „Panie inżynierze, pan nas tu do sanatorium przyzwól”. Jednak po tym jak trafiliśmy na kurawkę i woda zalała wszystko, co zrobiliśmy w ciągu roku, o sanatorium zapomnieli.

Zdążyliśmy przepracować w tej kopalni zaledwie kilka dni, gdy wybuchł stan wojenny. Ponieważ Turów leży w strefie przygranicznej,

musieliśmy mieć specjalne pozwolenie, by tam przebywać.

Staraliśmy się o nie na Komendzie Milicji w Lubinie, ale tam w pierwszych dniach stanu wojennego nie było z kim gadać. Ludzie w mundurach polowych, nie wiadomo za czym, biegali po budynku, komendant natomiast głośno się zastanawiał: „Co mam z wami zrobić, co ja mam zrobić?”. W końcu przystawił nam pieczętkę na dokumencie, z którym pojechaliśmy do Turowa. Po drodze nikt nas jednak nie zatrzymał. Pierwszą, dość nietypową kontrolę, przeszliśmy dopiero 28 grudnia. Kiedy rezerwista, który wszedł do naszego samochodu w Zgorzelcu, dowiedział się,

wykonanie w Algierii, w kooperacji z Francuzami, kilku tuneli, którymi miała przebiegać linia kolejowa. Wyjechałem tam w październiku 1984 r.

■ Z mydłem do Afryki

Nie wiedzieliśmy dokładnie, jakie warunki zastaniemy w tym kraju, dlatego transportowaliśmy do Algierii nie tylko potężne maszyny, lecz zabieraliśmy ze sobą także łopaty, rękawice, koszule, a nawet proszki do prania i mydło. Na miejscu okazało się, że nie musimy otwierać kontenera z mydłem, bo Algierczycy mają go pod dostatkiem.

W Afryce przywitał nas polski inżynier, przedstawiciel francuskiej firmy Bouyques, która była



Jan Hawrysz (pod oknem) prowadzi międzynarodową Karczmę Piwną, zorganizowaną podczas kontraktu w Izraelu.

że wieziemy sporą butlę piwa, klęknął i pociągnął z niej pół litra tego trudno dostępnego wówczas alkoholu: „No to jesteście po kontroli” - odprawił nas.

W Turowie pracowałem do 1984 roku. Wówczas kończyły się roboty w kraju i firma zabiegała o kontrakty zagraniczne. Wygrała przetarg na

głównym wykonawcą tuneli. Zakwaterowano nas jakieś 450 km na wschód od Algieru. Przyjechaliśmy akurat w porze deszczowej i okolica tonęła w błocie. Na szczęście już następnego dnia woda szybko wsiąknęła w pagórkowaty teren. Zimą temperatury spadały tu tylko do 2 stopni, ale wilgotność powietrza była tak duża, że łatwiej nam

było znieść w Polsce minus 15. Natomiast latem w Algierii temperatura dochodziła nawet do 53 stopni Celsjusza. Na szczęście w kampach zainstalowano klimatyzatory. Były to dwupokojowe, białe blaszaki, wyposażone w łazienki. Wspólna praca i zamieszkiwanie, sprawiło, że bardzo żyłem się z kolegami z Polkowic Zachodnich. Razem uczestniczyliśmy nawet w pasterce, w kościele w Skigdzie, gdzie liturgia odprawiana była w 6 językach, razem też jedliśmy kolację wigilijną, na której zamiast karpia, podano rekina.

■ Szli na łatwiznę

Inwestorzy zagraniczni przed rozpoczęciem robót nie przeprowadzali dokładnych badań geologicznych, bo były kosztowne. Wymagali jednak od nas, byśmy zadeklarowali, że znamy geologię całego terenu, przez który będziemy przekopywać tunele. Dlatego, kiedy przystępowaliśmy do drążenia, niejednokrotnie zaczynał się „cyrk”.

Jednego razu Francuzi zastosowali w tunelu kombajn, który urabiał zbyt szybko. Nie nadążaliśmy z obudową słabutkiego zlepkę żwiru i w rezultacie tunel się zawalił. Innym razem, natrafiliśmy na bardzo twardą skałę. Chciałem użyć materiału wybuchowego, Francuzi znowu się jednak uparli na zastosowanie kombajnu. Żeby wjechać nim do tunelu, musieliśmy podnieść rury doprowadzające powietrze. Wykonaliśmy kawał roboty, kombajn pracował całą dobę, skruszył skałę na mąkę, zakurzył tunel i nie posunął się w głąb nawet o metr.

Potem dostałem jeszcze trudniejsze zadanie. Inny 300-metrowy tunel zawalił się w odległości 70 m od wlotu. Nie udało się odbudować zniszczonej części. Musieliśmy ją zabetonować, ominąć i połączyć ze sobą dwa skrajne fragmenty tunelu. W diabelnym upale, zgodnie z zaleceniem, zaczęliśmy ręcznie urabiać beton, ale to nie zdało egzaminu. Kiedy proponowałem użycie materiału wybuchowego, francuski inspektor nadzoru popukał się w czoło. Pomyślałem wtedy: „Czekaj skurczybyku, jeszcze wrócisz i poprosisz, żebym strzelał”. Gdy na drugi dzień zobaczył, że cały urobek mieści się w helmie, zapytał: „No to jak chcesz strzelać...?”. Podłożyliśmy materiał wybuchowy i po eksplozji weszliśmy do tunelu. Francuzi kiwali tylko głowami i mówili, że cuda się zdarzają.

By zyskać na czasie, mój przełożony Andrzej Ulbrych zdecydował, że teraz roboty pójdą

z dwóch stron. Wtedy dostałem do pomocy sztygarów, którzy do Algierii przyjechali chyba w „nagrode”. Jeden był szefem wentylacji w kombinacie, drugi lektorem wojewódzkiego komitetu partii, w PBK pracował jako behapowiec, trzeci - doktorem nauk górniczych, takim, który bał się wejść do tunelu. Wy tłumaczyłem im, jak solidnie zakotwić. Przy laniu betonu działają bowiem tak ogromne siły, że o niedoróbkach nie może być mowy, bo zabezpieczenie nie wytrzyma. „Dobra, dobra...” - odpowiedzieli moi pomocnicy. Krótco potem przybiegł do kampu młody francuski stażysta, trzymał się za głowę i krzychał: „Awaria!!!”. Pojechałem do tunelu, patrzę, a moi „pomocnicy” schrzaniili robotę. Francuza wysłałem do domu, a sam wziąłem się za rozmontowanie szalunku. Ucieliśmy kotwy, zrobiliśmy nowe otwory i raz jeszcze zakotwiliśmy. Potem, gdy następował jakiś ważny etap robót, zawsze byłem przy nich obecny, a moim „pomocnikiem” pozostawiałem sprzątanie.

W Algierii nauczyłem się porządnie wykonywać roboty betonowe. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tunel zrobiony przez Włochów, pomyślałem: „Kurczę, jaki piękny beton”. Potem sam robiłem jeszcze ładniejsze. Pracowałem w tym kraju do lipca 1987 roku.

■ Dolar w dół

Po powrocie do Polski, zatrudniono mnie w kopalni Sieroszowice. Tuż przed Wigilią zadzwoniła do mnie sekretarka dyrektora Stanisława Szczepaniaka i poprosiła, żebym zaraz po Bożym Narodzeniu czekał na niego na lubińskim przystanku. Przez całe święta główkowałem, co też dyrektor może ode mnie chcieć. A szef zabrał mnie do Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Wałbrzychu na rozmowy dotyczące kontraktu w Turcji.

Koledy z Wałbrzycha prosili o pomoc w opracowaniu oferty na wykonanie tuneli na trasie autostrady łączącej Istanbül z Ankarą. Potrzebowali też naszych ciężkich samojedźnych maszyn i operatorów z uprawnieniami. Polska oferta została przyjęta. Nie paliłem się do kolejnego kontraktu, bo jeszcze nie zdążyłem odpisać po Algierii. Tłumaczyłem dyrektorowi, że dopiero co dostałem zatwierdzenie z Urzędu Górniczego i przepracowałem w Sieroszowicach zaledwie 3 miesiące. A on odpowiedział: „I wystarczy.”. I tak w kwietniu 1988 roku znalazłem się w Turcji.

Tam zaczęliśmy roboty „od trawnika”. Budo-
waliśmy dwa równoległe tunele o wys. 9 i szer. 11
m każdy, dzieliło je 30 m „mięsa”. Harowaliśmy
niekiedy 24 godziny na dobę. Tymczasem w Pol-
sce spadł znacznie kurs dolara i moje zarobki,
w porównaniu z algierskimi, bardzo się pogor-
szyły. Ponadto przysyłali mi z kraju do „pomo-
cy” byłych dyrektorów, na zatrudnienie których
w Polsce z jakichś powodów nie godziła się So-
lidarność. Ludzie ci nie mieli zielonego pojęcia
o robocie, ani kierowaniu nią. Z każdą decyzją
dzwonili do Wałbrzyska albo do Katowic.

Będąc kierownikiem budowy, przyszło mi się
handryczyć z austriackim inspektorem nadzoru.
Jeden z nich polecił ludziom wykonywać prace
niezgodnie z przepisami, w ten sposób wykoń-
czyłby maszyny. Nie dałem wcisnąć sobie „kitu”
i zatrzymałem robotę do czasu, aż zastosują od-
powiednią technologię. Mój kierownik lamen-
tował: „Co teraz będzie, co będzie!?”. „Albo mnie
wyrzucą, albo robota będzie szła jak należy” - od-
powiedziałem. Wieczorem przyjechali Austriacy,
zabrali mnie do eleganckiej restauracji, gdzie
przy kolacji obgadaliśmy wszystkie kontrower-
sje. Od tej pory nie mieliśmy ze sobą konfliktów
i robota szła sprawnie. Z nikim nie współpraco-
wało mi się jednak tak dobrze, jak z Marianem
Zadroznym ze zjednoczenia, którym wcześniej
nas straszono: „Jak przyjedzie, to was wszystkich
poustawia”.

W Turcji wypijałem hektolitry mocnej herba-
ty. Częstoował nią turecki inspektor, mużulma-
nin, z którym się skumplowałem. Zanim przystą-
piliśmy do picia, mój współpracownik modlił się,
kłęcząc na sklejce, którą mu do tego celu skom-
binowaliśmy.

■ Tunel w piasku

Od lipca 1993 roku do maja 1995 roku dąży-
liśmy 900-metrowy tunel, w górze znajdującej
się na obrzeżu Jerozolimy. Tu też nie mieliśmy
dobrego rozeznania co do warunków geologicz-
nych. Kiedy odśloniliśmy kawałek góry, posypał
się żółty piach. Budowanie w nim tunelu było
jednym z najtrudniejszych zadań, z jakimi przy-
szło się mi zmierzyć. Poznałem wówczas wielu
Żydów z Polski, ale współpracowałem głównie
z Żydami rosyjskim - okazało się, że mój rosyjski
jest całkiem niezły.

W Jerozolimie mieszkaliśmy w domu Pol-
skiego Pielgrzyma, który prowadziły zakon-

nice. Z wdzięczności za zakwaterowanie nas,
wykonywaliśmy im różne remonty, przy któ-
rych pomagała nam korpka 70-letnia siostra.
Po znajomości załatwiliśmy wtedy wejściówki
na pasterkę w Bazylice Narodzenia Pańskiego
w Betlejem. Żeby tam wejść, musieliśmy przejść
siedem punktów kontrolnych armii izraelskiej,
służb palestyńskich i służb kościelnych.

Przed wyjazdem do Izraela, uzgodniłem
z prezesem PeBeKa, że po powrocie, będę mógł
nadal pracować w firmie. Ale ostatecznie oka-
zało się, że powracających z kontraktu firma
już nie potrzebuje. Napisałem więc podanie
o zwolnienie i przeszedłem na emeryturę, choć
miałem wówczas zaledwie nieco powyżej pięć-
dziesiątki.

■ W czwarty czwartek miesiąca

Wypomniałem to szefowi na spotkaniu
emerytowanych pracowników PeBeKa: „Bolek
ty jesteś jak Eryka Stein, szefem związku wy-
pędzonych”. „Co? Jakich wypędzonych? O co
chodzi?” - pytał. „Wypędziłeś nas na emeryturę”
- wyjaśniłem.

Niestety, coraz częściej spotykaliśmy się na
pogrzebach kolegów, a po nich na stypach. Na
jednej z nich ktoś zapytał: „Dlaczego mamy wi-
dywać się tylko na smutnych uroczystościach,
a tak zwyczajnie nie możemy?”. I w ten sposób
jako emeryci PeBeKa stworzyliśmy nową trady-
cję górniczą.

Teraz widujemy się regularnie na mojej po-
sesji, w czwarty czwartek miesiąca, żeby było
łatwiej zapamiętać. Przyjeżdża co najmniej 30
osób, a bywają i takie miesiące, że 60, głównie
byłych pracowników PBK. W okresie Barbórki,
czytamy listę zmarłych kolegów, idziemy na
mszę, a 4 grudnia odwiedzamy cmentarze i za-
palamy lampki na grobach zmarłych kolegów.
Ktorego roku po pogrzebie jednego z nich,
zwiadzałem cmentarz w Polkowicach i gdy
przeczytałem napisy na nagrobkach, zaskocz-
ony stwierdziłem, że widnieją na nich te same
nazwiska, które umieszczałem na obłożeniu
w kopalni. Wtedy łzy same pociekły mi z oczu. ■

Na drzwiach gabinetu wisiała tabliczka: doradca ministra. Zapukałem, wszedłem, w małym pokoiku siedział sam. Jednym tchem wyrecytowałem: „Panie ministrze, pana stażysta melduje się z zaproszeniem do KGHM”. Dyrektor Włodzimierz Mięśowicz wzruszył się bardzo i potraktował mnie jak syna. Od tego momentu każdego roku wspólnie spędzaliśmy okres Barbórki, i różne inne rocznice w KGHM.

Andrzej Banaszak,
geolog rejonowy w ZG Rudna, główny inż.
geolog ZG Polkowice,
główny inż. gospodarki złożem
w Biurze Zarządu KGHM, dyrektor Oddziału Robót Górniczych w Kongo, dyrektor departamentu Gospodarki Zasobami i Ochrony Powierzchni. Pracował w latach 1972-2010



Wciąż goni mnie po świecie

Mój ojciec wpoił mi wielkie zamiłowanie do geografii. Jak sięgam pamięcią, od zawsze prenumerował „Poznaj Świat” a ja, już jako dzieciak, wertowałem to pismo od deski do deski. Ojciec - urzędnik państwowy, aby uniknąć nagabywania o przynależność do jedynie słusznej partii, wstąpił w szeregi Stronnictwa Demokratycznego. Ja natomiast od dziecka należałem do harcerstwa - takiego skautowskiego. Na obozy jeździliśmy zawsze ciężarówkami, siedzieliśmy na deskach, a po przyjeździe na miejsce wyciągaliśmy z plecaków pokrowce na sienniki i w najbliższym PGR napychaliśmy je słomą. Potem targaliśmy je do obozowiska, stawialiśmy namioty i na końcu przygotowywaliśmy jedzenie.

W ostatniej klasie liceum miałem już stopień podharcmistrza, ale dalsze awanse nie były mi pisane. W dziesiątej klasie liceum, w związku ze słynnym listem biskupów polskich do biskupów

niemieckich z 18 listopada 1965 roku, zaliczyłem pierwszą polityczną wpadkę. W szkole z powodu orędzia biskupów zorganizowano masówkę. Po odczytaniu protestu licealistów przeciw słynnemu orędziu podniosłem rękę i powiedziałem, że chciałbym, aby nam ktoś przeczytał cały list, a nie tylko to jedno zdanie wyrwane z kontekstu. Z tej uwagi zrobiła się ogromna afery. Gdyby ojciec nie był przewodniczącym komitetu rodzicielskiego, pewnie by mnie wyrzucili ze szkoły. W końcu sprawa się jakoś rozeszła, zdałem maturę i bez problemów dostałem się na Wydział Geologiczno-Poszukiwawczy krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Na studiach aktywnie działałem w Zrzeszeniu Studentów Polskich, byłem również prezesem uczelnianego PTTK. Zawsze chciałem poznawać okolice, te bliższe, z perspektywy Krakowa Beskidy, Bieszczady a także te dalsze, związane z poznawaniem Europy i świata. A w tam-

tych latach wyjazdy za granicę, po powrocie mogły przysporzyć kłopotów. Pamiętam, jak w 1971 roku przywiozłem sobie, z praktyki studenckiej we Francji, ukrytą w walizce książkę Mariana Kukieła „Generał Sikorski”. Kiedy w końcu dotarłem z nią do domu, gdzieś zaginęła. Domyślałem się, że to tato mi ją schował. Uznał, że posiadanie tej nielegalnej pozycji może mi zaszkodzić, akurat kończyłem studia.

■ Nie chciałem do barakowozów

Geologia jest w dużym stopniu pracą w terenie, uświadomiłem to sobie podczas pierwszej praktyki wiertniczej w Przedsiębiorstwie Geologicznym. Zrozumiałem, że jako geolog będę spędzał większość życia w barakowozach jeżdżących za wiertnią. Takiego życia nie chciałem. Dlatego zrezygnowałem ze stypendium kieleckiego PG i udało mi się uzyskać stypendium z KGHM. W 1971 roku odbywałem praktykę dyplomową już w ZG Polkowice. Rok później, po obronie pracy magisterskiej, przyjechałem do Lubina i zgłosiłem



Andrzej Banaszak z „nagannymi” włosami.

się do działu szkolenia. Powiedziano mi: „Pójdzie pan na ZG Lubin”. Bez trudu dotarłem „detką” do kopalni i odnalazłem inż. Teofila Kowala - głównego geologa. Ten przeczący człowiek od progu przywitał mnie: „Z takimi włosami, to pan do pracy przyjść nie może. Musi się pan ostrzyć!”. „Tak jest!” - odpowiedziałem i uzgodniliśmy, że 20 listopada zgłoszę się do roboty w odpowiedniej fryzurze. Kiedy kilka dni później przyjechałem do działu szkolenia po skierowanie, usłyszałem: „Czy musi pan na „Lubin”, bo jest wolny etat na „Rudnej”? Odpowiedziałem: „Czemu

nie, mogę iść na „Rudną”! Po dwóch tygodniach mojej pracy na „Rudnej” inżynier Kowal połapał się, że zaginął geolog, który miał się zgłosić. Rozgniewany przyjechał na „Rudną” do głównego geologa inż. Stanisława Woźniczki i zrobił mu awanturę z powodu podebrania mu człowieka. Ale klamka zapadła, byłem już zatrudniony i zostałem na „Rudnej”.

Do Lubina przyjechałem jako kawaler, więc nie mogłem od razu otrzymać mieszkania. Po roku ożeniłem się z poznaną w Lubinie geodetką Anną. Klucze do mieszkania przy ul. Legnickiej otrzymaliśmy w dniu narodzin naszego syna. Za sąsiadów mieliśmy m.in. pochodzących z okolic Jarocina państwa Rzeskich, którzy również pracowali w KGHM.

■ Do zjazdu przez „Polkowice”

Pierwsze miesiące w nowo budowanej kopalni Rudna były trochę męczące, ale ciekawe. Oprócz nadzorowania robót w wyrobiskach podziemnych prowadzonych od strony „Polkowic”, zjeżdżaliśmy także na obsługę głębinowych szybów. Dzięki temu widziałem na bieżąco, jak powstaje kopalnia. Skierowano mnie na Rejon Zachodni. Mój dział zajmował dwa niewielkie pokoje. Urzędowaliśmy w kilka osób, oprócz mnie drugi geolog Ryszard Zimoch oraz inspektor nadzoru górniczego Kazimierz Rączka, potem doszedł inż. Ryszard Tomalik. W początkowym okresie, kiedy jeszcze szyby „Rudnej” nie funkcjonowały, załogę rudnowską wożono w roboczych ubraniach do zjazdu na

1973 rok. Młodzi geolodzy na tle szybu.

Andrzej Banaszak pierwszy po lewej.





Algieria, 1987 r., Andrzej Banaszak na placu, przed tunelem T-8.

Polkowice Zachodnie, a po szychcie z powrotem przewożono na Rudną Zachodnią.

■ Koleiny mnie prowadziły

Początkowo, gdy kopalnia Rudna miała pojedyncze nitki wyrobisk, szło się od szybu bez problemu jedną z trzech upadowych w dół. W miarę rozbudowy, niezbędna była znajomość topograficzna pola i całej kopalni. Kilka lat później, już jako osoba wyższego dozoru, znalazłem się stosunkowo daleko w polu i niestety zgasała mi lampa. W pierwszym momencie nie wiedziałem, gdzie jestem. Posuwałem się w totalnej ciemności, macając nogami koleiny wozów odstawczych. Te koleiny były dla mnie jedynym realnym wyznacznikiem drogi powrotu na oddział. Po przejściu w ciemnościach półtora kilometra, doszedłem do kraty (punktu wypowowego rudy), gdzie pracow-

nik sterował młotem hydraulicznym do rozbijania brył urobku. Wymieniłem się z nim lampą, bo on po skończonej robocie schodził ze stanowiska z całym oddziałem, a ja z pożyczoną lampą musiałem iść do podszybia i wyjeżdżać na powierzchnię jeszcze przed końcem zmiany.

■ Nigdy jej nie miałem

Jako jeden z najmłodszych inżynierów na „Rudnej” (miałem wówczas 27 lat), po zdobyciu uprawnień WUG i zatwierdzeń na osobę wyższego dozoru ruchu, zostałem szefem rejonu Rudnej Głównej. W miarę nabywania doświadczeń, obok zawodowej satysfakcji pojawiło się poczucie ograniczenia, jednostajności a nawet nudy. Zmęczyła mnie dość monotonna budowa geologiczna złoża: dolomit (z trzema jego odmianami), łupek, piaskowiec, a także to ciągłe pobieranie próbek i wyliczanie zawartości miedzi. Czulem, że znajduję się na prostej drodze do wtórnego analfabetyzmu geologicznego. Chciałem nowych wyzwań. W 1984 roku bezskutecznie starałem się wyjechać do Algierii na kontrakt Polserwisu. Jednak dwa lata później dostałem telefon, by się zgłosić do PeBeKa, bo potrzebują geologa ze znajomością języka francuskiego do Algierii. „No to ty nie wieszysz przyszłości z Rudną!” – nie kryjąc rozczarowania, wyciągał wnioski naczelny dyrektor Jerzy Jarmużek. Kolega Gienek Zarecki, pierwszy sekretarz zakładowej POP, pytał: „Andrzej, kiedy ty rzuciłeś legitymacją?”. Mówię: „Gienek, masz burdel w papierach, bo powinieneś wiedzieć, że nigdy jej nie miałem”. Odpowiedział: „No to masz szczęście, bo inaczej byś nie pojechał!”. A ja odparłem: „Gienek, to już na wyższych szczeblach rozegrano, że za tydzień mam startować do Algierii”. I tak się też stało.

■ Pracownicy sprzedają żwir?

Francuska firma Bouygues budowała między dwoma miastami dużą linię kolejową, którą w przyszłości miała być dostarczana do huty ruda żelaza. Na tej linii zaplanowano osiem tuneli. Sześć z nich przypadło nam do budowy. Było to trudne przedsięwzięcie. Głównie ze względu na zupełnie inną budowę geologiczną skał, a także z powodu nieznanego nam klasyfikacji geotechnicznej skał według prof. Zdzisława Bieniawskiego. W Polsce nie uczono nas tej klasyfikacji, gdyż prof. Bieniawski na początku lat 60. wyjechał z kraju, toteż jego metody zostały „wyklęte”. Współpra-

cując z miejscowymi fachowcami musieliśmy się dostosowywać do całkowicie innej kultury, co też sprawiało pewne problemy.

Pracowaliśmy w trudnych warunkach, w tunelach T-5, T-4, T-8, z powodu kruchości zwietrzałych skał mocno się sypało. W T-8 natrafiliśmy na płynące ropy, które całkowicie zaciśniły wyrobisko.

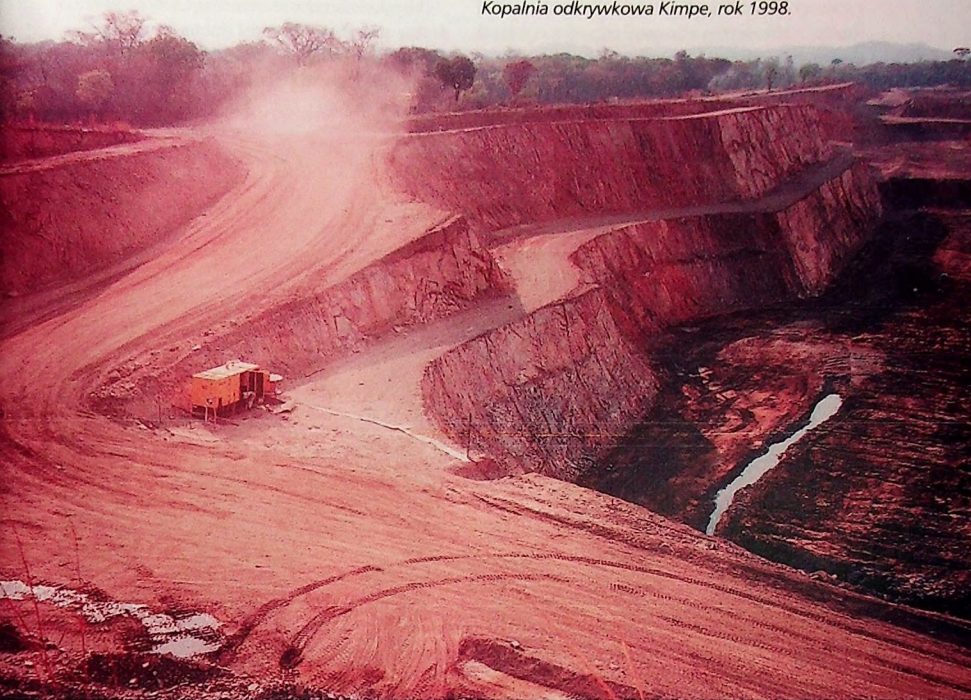
objeżdżaliśmy z kolegą inż. Wiesławem Kosydo-rem poszczególne budowy. On kontrolował kierunki i niwelację robót, a ja budowę geologiczną przodków. Raz w tygodniu jeździłem również na budowy z francuskim geologiem, który sprawdzał wszystkie moje rysunki i je akceptował, a co pewien czas przyjeżdżał na kontrolę przedstawi-



Algieria. Urlop. Na szczycie Hoggar (w głębi Sahary) w oczekiwaniu na wschód słońca. Od prawej: Roland Szczepaniak (lekarz), Andrzej Banaszak, Wiesław Kosydor (mierniczy górniczy) i inni turyści.

Prace zostały zatrzymane, dokumentację tunelu przeprojektowano i budowaliśmy go od nowa, obok i w dużo mocniejszej obudowie. Na szczęście nie miałem żadnych problemów językowych, gładko wszedłem we współpracę z Francuzami. Oczywiście nie zawsze chcieli zapłacić za wszystko, a nawet pisali do firmy osobliwe listy: „Szanowny panie dyrektorze, wasza kadra jest wspinała, ale wasi pracownicy sprzedają żwir. Proszę przyjąć wyrazy najwyższego uznania i zapanować nad sytuacją”. W ten sposób Francuzi z kurtuazją informowali kierownictwo budowy o problemie w związku z istnieniem lokalnego „złodziejowa”. Sprawa sprzedaży żwiru została z załogą omówiona, choć nie wiem do dzisiaj, czy i w jakim stopniu nasi ludzie maczali w tym palce. Moim zadaniem było przede wszystkim sporządzanie dokumentacji geologicznej budowanych tuneli. Codziennie

ciel inwestora. Wtedy robiliśmy objazd we trójkę. Z mojego punktu widzenia prace przebiegały płynnie. Również nasze stosunki z ludnością układały się więcej niż poprawne. Wszyscy handlowaliśmy z Algierczykami, czym się dało. Gdy jechaliśmy na urlop do domu, woziliśmy wóczkę i kupowane za bezcen olbrzymie ilości klocków Lego, które u nas w Peweksie kosztowały horrendalne pieniądze. Z kraju natomiast przywoziliśmy do Algierii kremy Nivea, radzieckie radyjka przenośne i aparaty fotograficzne. Dokładnie pół roku po wyjeździe z Polski zapadłem na żółtaczkę i na 3 tygodnie wylądowałem w algierskim szpitalu. Później tydzień pozostawałem na zwolnieniu lekarskim, a następnie wyjechałem na miesięczny urlop do domu. Kiedy wróciłem z kraju, oczywiście byłem na ścisłej diecie, kucharze krzywili się. W tym czasie problemy zdrowotne miał również



dyrektor budowy inż. Andrzej Ulbrych, więc kuchnia przygotowywała dietetyczne dania dla dwóch rekonwalescentów. Niestety, to się skończyło w dniu, kiedy dyrektor Ulbrych pojechał do kraju na urlop. Wtedy kucharze postanowili skorzystać z moją dietą. No trudno, jakoś przetrzymałem do końca kontraktu, który trwał prawie dwa lata. Jego ukoronowaniem była, za zgodą dyrektora, wycieczka w głąb Sahary w składzie: Roland Szczepaniak, Wiesiek Kosydor, Edek Bernat i ja. Poleciliśmy z Constantyny do Tamanrasset, tam wynajęliśmy samochód z kierowcą i kucharzem, przez tydzień jeździliśmy po piaskach Sahary oraz po górach Hoggar, dzisiaj wyerodowanych bazaltowych pozostałościach po dawnym wulkanie.

■ Powrót przez pół Europy

Był rok 1988. Nie przeczuwając, że w Polsce niebawem tak wiele się zmieni, załatwiliśmy sobie z kolegą Wiesławem Kosydorem zgodę na powrót

do kraju częściowo na własną rękę. Samolotem dolecieliśmy do Marsylii, a stamtąd zaplanowaliśmy powrót samochodem już z naszymi małżonkami. Wcześniej wysłaliśmy im zaproszenia do Algierii, by na ich podstawie wyrobiły sobie wizy do Niemiec i Francji. Dzielne kobiety wsiały w dużego fiata i przyjechały po nas do Marsylii. Bez znajomości francuskiego, bez nawigacji GPS dojechały na lotnisko, gdzie oczekiwaliśmy na nie po przylocie z Constantyny. Wróciliśmy do kraju razem, zwiedzając część Europy. Byliśmy w Carcassonne, Tuluzie, w Lourdes, a potem zachodnim wybrzeżem dotarliśmy do słynącego z najlepszych win Bordeaux. Dalej zwiedziliśmy zamki nad Loarą, dwa dni spędziliśmy w Paryżu, gdzie rozbiliśmy namioty na polu namiotowym w Las-ku Bulońskim. Na koniec pojechaliliśmy do Hamburga. W prowadzonych przez Żydów wolnocłowych sklepach kupiliśmy telewizor i magnetowid, i wróciliśmy do kraju.

■ Pokażę, że potrafię

Po powrocie do kraju stawilem się w ZG Rudna". Nie mamy etatów, bo pan nie wiązał swojej przyszłości z nami" - usłyszałem znowu. Choć było mi przykro tego słuchać, później

ra gospodarki złożem przedsiębiorstwa-spółki.

Uzyskałem też uprawnienia CUG do sporządzania projektów badań i dokumentacji geologicznych w zakresie poszukiwania i rozpoznawania złóż kopalin stałych.



Wrzesień 2007 r., spotkanie z okazji 50-rocznicy odkrycia złóż rud miedzi. Od prawej: Andrzej Banaszak, prof. Mariusz-Orion Jędrysek, prof. Stanisław Speczik oraz dr Andrzej Rydzewski.

okazało się że ten brak propozycji, był dla mnie zbawienny. Znalazłem pracę geologa oddziałowego na Polkowicach Zachodnich, oddział G-31 i G-33, gdzie prowadzono roboty przygotowawcze w kierunku podtrzęciorządowych wychodni. Rok później przeszedłem do pracy w sekcji Polkowice Wschodnie, gdzie objąłem obsługę oddziału G-21, a kiedy główny geolog Kazimierz Gąsior poszedł na emeryturę, awansowałem na zastępcę głównego inżyniera geologa kopalni Polkowice. Pod koniec 1992 roku zaproponowano mi pracę w Biurze Zarządu, na stanowisku naczelnego inżyniera gospodarki złożem, a po zmianach organizacyjnych - głównego inżyniera

W 1997 roku, w związku z uruchomieniem przez zarząd KGHM projektu Kimpe w Zairze (później Demokratyczna Republika Kongo), zaproponowano mi: „Andrzej, może byś to wziął? Znasz francuski, może spróbujesz tam pojechać?”. Pomyślałem: „Dobra, skoro stawiają takie wyzwanie, to ja pokażę, że potrafię”. Oczywiście w domu dyskutowaliśmy trochę na ten temat. Byliśmy już zaprawieni w rozłące, ale też mieliśmy świadomość, że kolejny wyjazd odbije się na rodzinie, bo choć starsze dzieci były już na studiach, to jednak najmłodsza córka dopiero kończyła podstawówkę. Z drugiej strony mówiło się, że to będzie projekt mały, szybki, tylko na rok.

■ A gdybym miał miliard?

Wyjechałem pod koniec stycznia 1997 roku, a wróciłem z końcem listopada 2000 roku. Podczas 4 lat spędzonych w Kongo pełniłem funkcję dyrektora Oddziału Robót Górniczych Kongo, a następnie prezesa zarządu KGHM Congo SPRL. Dziś pozostały mi z tego okresu opasłe albumy z fotografiami a także lokalne gazety wydane w języku francuskim.

W firmie chyba nie ma nic o Kongu. Może dlatego, że o nieudanych inwestycjach nie chce się pamiętać. Czemu kongijska nie wyszła? Na pewno były błędy w umowie, aczkolwiek nie decydowały one o niepowodzeniu przedsięwzięcia, to jednak totalnie zmieniły spojrzenie na kontrakt.

Po tygodniu pobytu w Kongu, razem z panem wiceprezesem Jerzym Dobrzańskim i dyrektorem ds. hutnictwa Włodzimierzem Koźmińskim musieliśmy przemodelować cały projekt. Ograniczyliśmy ilość maszyn do odstawy urobku z trzydziestu do dziesięciu. Zeszliśmy z siedmiu koparek na trzy, z dziesięciu samochodów wywrotek na trzy, bo okazało się, że nie była nam potrzebna tak wielka moc górnicza. Powodem był drastyczny brak możliwości przetopienia wydobytej rudy w hutach kongijskiej firmy Gecamines.

Eksploatację złoża Kimpe rozpoczęliśmy już w lutym 1997 roku. Oficjalnie kopalnię uruchomiliśmy w tym samym roku na Barbórkę. Jednak od początku przerabiana była niewielka część rudy, a większość trafiała na hałdy. Na trudności przerobowe nałożył się drastyczny spadek cen miedzi, a przede wszystkim w 1998 roku kobaltu. Dodatkowo na losy projektu wpływały cykliczne, powyborcze zmiany w zarządzie Polskiej Miedzi. W grudniu 1999 roku kopalnia Kimpe została zatrzymana. Jesienią 2000 roku złożyłem rezygnację z funkcji prezesa zarządu i wróciłem do kraju i pracy w Biurze Zarządu.

W latach 2002-2007 w dalszym ciągu byłem zaangażowany w projekt Kimpe jako członek rady nadzorczej spółki oraz kierujący pracami nad przygotowaniem nowej technologii hydrometalurgicznej dla projektu. Prace były mocno zaawansowane, a wyniki bardzo obiecujące. Potrzeba było tylko decyzji inwestycyjnej. Pamiętam jedno posiedzenie rady nadzorczej KGHM. W imieniu zarządu referowałem przygotowanie projektu Kimpe. W którymś momencie jeden z członków rady nadzorczej zadał mi pytanie: „Czy pan uważa, że ta inwestycja się opłaca?”. Odpowiedziałem:

„Zostałem wyznaczony przez zarząd do przedstawienia stanu przygotowania inwestycji (budowy zakładu hydrometalurgicznego) i uważam, że nie mam prawa na tym posiedzeniu wyrażać swoich własnych poglądów”. Jednak pod naciskiem rady nadzorczej prezes Szczerbiak pozwolił mi na odpowiedź, więc stwierdziłem: „Moim zdaniem cała inwestycja powinna się zwrócić, a nawet, przy odpowiednim księgowaniu, również tzw. koszty utracone”. Zapytano: „A gdyby pan miał 30 milionów dolarów, wydałby je pan na projekt Kongo?”. Bo taki był planowany koszt inwestycji. Odrzekłem: „Gdybym miał 30 mln dolarów, to bym ich na ten projekt nie wydał. Ale gdybym miał miliard, jak to jest w przypadku KGHM, to bym wydał, bo wtedy miałbym tylko 3 procent środków inwestycyjnych obciążonych inwestycją wysokiego ryzyka. A gdybym miał prywatny milion złotych, to za 30 tysięcy kupiłbym ryzykowne akcje, bo albo bym zyskał, albo je stracił, ale całego miliona nie zainwestowałbym w ryzykowne akcje”. Na tym polegał problem inwestycji w Kongo. Potem przyszły wybory, powołano nowy zarząd i projekt upadł.

■ Pamięci odkrywców

Już w latach 90., pracując w Biurze Zarządu, bardzo mocno zaangażowałem się w sprawy związane z odpowiednim uhonorowaniem historii Polskiej Miedzi i pamięci o jej odkrywach. Wtedy wszedłem w bliższe kontakty z panią Kazimierą Wyżykowską i z panem Andrzejem Rydzewskim. Przy okazji został „odnaleziony” dyrektor Włodzimierz Mięśowicz. Któregoś dnia odwiedziłem go w Warszawie. W ministerstwie na drzwiach jego gabinetu wisiała tabliczka: doradca ministra. Zapukałem, wszedłem, w małym pokoiku siedział sam. Jednym tchem wyrecytowałem: „Panie ministrze, pana stażysta (dyr. Mięśowicz) przyjmował mnie do pracy” melduje się z zaproszeniem do KGHM”. Wzruszył się bardzo i potraktował mnie jak syna. Od tego momentu każdego roku wspólnie spędzaliśmy okres Barbórki i innych świąt w KGHM. Niestety w ostatnim czasie dotarła do nas wiadomość o jego tragicznej śmierci, uczestniczyłem w ostatniej drodze dyrektora. Dobrze się stało, że prezes Speczik w 2002 roku zapoczątkował kultywowanie historii odkrycia złoża i honorowanie jego bohaterów. Dzięki temu mocno zacieśniłmy kontakty z panią Kazimierą Wyżykowską, bratem odkrywcy - Stanisławem Wyżykowskim oraz z Andrzejem Rydzewskim. Mia-



2003 r. Wśród gości po prawej: Włodzimierz Mięrowicz, obok Kazimiera Wyżykowska i Stanisław Wyżykowski. Niżej: Krystyna Filon, Andrzej Banaszak, Krystyna Pawlinow, Bożena Małek i Andrzej Rydzewski. Od lewej stoją: Jan Kurasz, Ryszard Jelonek i Danuta Petry.

łem przyjemność opiekowania się tymi osobami pod czas ich wielokrotnych pobytów w zagłębiu miedziowym. Wspólnie uczestniczyliśmy w wielu uroczystościach nadania szkołom im. Jana Wyżykowskiego i Odkrywców Polskiej Miedzi.

Bliskość pionierów KGHM zainspirowała mnie do zorganizowania, razem z doktorem Stanisławem Downorowiczem, konferencji w 50-rocznicę KGHM. Z tej okazji powstało wydawnictwo „Geolodzy w służbie Polskiej Miedzi”, prezentujące wszystkich geologów zatrudnionych w KGHM. Jak dotąd żadna branża w KGHM nie doczekała się takiego wydawnictwa. Jeszcze przed konferencją, w grudniu 2010 roku przeszedłem na emeryturę.

■ **Odwiedziłem 72 kraje**

Trafiając do KGHM miałem okazję współpracować z najlepszymi geologami w Polsce. To była doskonała nauka i zawodowa przygoda.

Jednak nie wszystko w życiu ułożyło się zgodnie z planami. W 2005 roku odeszła po długiej chorobie moja żona Anna. Nie tak wyobrażałem sobie nasz drugi etap życia. Każde z naszej trójki dzieci ukończyło studia. Jakub i Dorota odna-

leżli swoje miejsce w Warszawie, a najmłodsza córka Iwona znalazła pracę w KGHM. Dzieci mają swoje rodziny, a ja jestem już dziadkiem dla sześciorga wnucząt, którym staram się poświęcać sporo czasu. Kilka lat temu, na zjeździe koleżeńskim, spotkałem koleżankę ze studiów, która również została osamotniona. Teraz razem z Ewą żyjemy między Kielcami i Lubinem, a nasze wnuki corocznie część wakacji spędzają razem.

Wciąż znajduję czas na swoje pasje, czyli przede wszystkim podróże. Odwiedziłem 72 kraje naszego globu. Doliczyłem się 103 lotnisk, przez które przeszły moje nogi. Mam ogromną potrzebę poznawania. Ciągle chciałbym coś jeszcze zobaczyć, ciągle goni mnie po świecie.

Moją drugą pasją jest „zabawa w piwem” - zbieram szklanki firmowe browarów piwnych z Polski i świata. Mam ich kilkaset. Niektóre mają prawie 50 lat. Zajmuję się też kapslami od piwa (to taka nowość), ludzie na giełdzie potrafią za kapsel trochę zardzewiały zapłacić nawet 1000 złotych. Najlepsze zbiory w kraju przekraczają trzydzieści tysięcy kapsli. Moje liczą ponad siedem tysięcy i cały czas kolekcja się powiększa. ■

Awarię urządzeń chłodniczych trudno było zlokalizować. Pan Lech domyślił się, gdzie tkwi problem, ale przy okazji chciał pożartować.

– Miałem taki zakrzywiony śrubokręt, wszyscy na oddziale o nim wiedzieli – opowiada. – Pokazałem go Niemcom, mówiąc, że ten specjalny „czarodziejski” śrubokręt potrafi wszystko błyskawicznie naprawić. Fakt, urządzenie po chwili ruszyło, ale tylko dlatego, że znałem jego działanie, jak własny palec. Ależ miałem frajdę, patrząc na ich miny.

Lech Świerszcz,
nadsztygar ds.
energomaszynowych
w PeBeKa. Pracował
w latach 1972-2004



Najtrudniej powiadomić rodzinę o nieszczęściu

Bardzo chciał zostać leśnikiem. Niestety, jako najstarszy spośród dziesięciorga dzieci (sami chłopcy), nie mógł liczyć na materialne wsparcie rodziców, by uczyć się z dala od domu. Musiał jak najszybciej zarabiać, by pomóc rodzinie. Trudne warunki skazały go na górnictwo, jednak potem nigdy tego nie żałował. W 1969 roku został uczniem Zasadniczej Szkoły Górniczej przy ul. Kościuszki w Lubinie.

Już w pierwszej klasie górniczej zawodówki płacono uczniom po 360 zł miesięcznie, w kolejnych klasach o 100 zł więcej. Mieszkał co prawda

niedaleko – w Żabinie w gminie Niechlów, ale zdecydował się na internat, który początkowo zajmował część hotelu D-26, przy ul. Skłodowskiej-Curie. Dopiero w późniejszym okresie przeniesiono młodzież do nowego internatu przy ul. Legnickiej. Szkoła zapewniała pełne utrzymanie, ale gdy chciało się pojechać np. na wycieczkę lub pójść na zabawę, trzeba było zarobić dodatkowe pieniądze.

– Najpewniejszy zarobek był na PKP przy rozładowywaniu wagonów – wspomina Lech Świerszcz. – W każdej wolnej chwili, także w czasie wakacji, chwytalem się jakiegogo zajęcia czy to

u rodziców, czy u kogoś. Nie byłem wyjątkiem. Większość młodzieży wiejskiej wakacje spędzała na gospodarstwie, przy pracach polowych, a nie na koloniach czy obozach. A gdy we wrześniu przychodziły wykopki, jechało się na wieś, by pomagać rodzicom, sołtys podpisywał usprawiedliwienie honorowane przez szkołę.

■ Mięśnie zastępowały maszyny

Tuż po ukończeniu zawodówki, 13 lipca 72. roku, poszedł do pracy w Samodzielnym Oddziale Wykonawstwa Inwestycyjnego. Przekonali go do tej firmy werbunkowi; przyjeżdżali do szkoły z różnych zakładów górniczych i namawiali absolwentów, by zatrudnić się akurat u nich. Część ko-

iedy dał mi dołączenia lampy żarowe - to już była fachowa robota, a nie łopata i kilof. U niego lubiło się pracować, bo traktował nas poważnie - chwalił instruktora pana Lecha. - Z kolei na Polkowicach Wschodnich opiekował się nami pan Miłek, ten „narwaniec” - tak go nazywaliśmy, bo był narwany na robotę. Mówiliśmy, że jak się zdarzała chwila spokoju, to go serce zaczynało boleć. Wymagał bardzo wiele, ale dużo nas nauczył.

Grupę absolwentów, która zdecydowała się zatrudnić w SOWI, przydzielono na Rejon Wschodni „Lubina”, do brygady montażowej na oddziale energomaszynowym M-5. Ale faktycznie adepci górnictwa pracowali jako robotnicy transportowi; taszczyli w rękach blachy, kozły, rolki, taśmy



Państwo Świerszczowie wzięli ślub w 1976 roku, w Jemielnie. Po lewej rodzice pani Anny, po prawej - pana Lecha. Dzieci to bracia pana młodego: Robert i Tadek.

legów z klasy elektryków wybrała właśnie SOWI. Kopalnię poznał podczas praktyki na szybie Boleśław, na tzw. polach ryżowych (było tam bardzo mokro) i na szybach polkowickich (P3/P4), które potem, będąc już na emeryturze, przygotowywał do likwidacji.

- Na Lubinie Wschodnim miałem praktykę u pana Bogusza. Pamiętam, jaki byłem dumny,

do przenośników, silniki, reduktory, pompy do odwadniania w całości lub w elementach. Wtedy jeszcze na oddziale nie było maszyn do przewożenia materiałów, zastępowały je ludzkie mięśnie.

- Nasza sześciuosobowa brygada pod przewodnictwem Henryka Cieślaka - opowiada pan Lech - dostawała np. na dniówkę zadanie przetransportowania stumetrowej rolki taśmy do przenośnika.

To była ciężka, wyczerpująca praca. Po powrocie do domu coś się zjadło, spało, i znowu do kopalni. Pracowałem tak do czasu pójścia do wojska. A po wyjściu do cywila, dałem się „uwieść” Annie, która do dziś jest moją małżonką.

■ Czysty mundur, bez dekoracji

Po wojsku został skierowany na oddział energomaszynowy, a tam już była konkretna robota dla elektryka. Z czasem został brygadziwą. Dobrze się czuł w tym fachu, a do tego interesował się elektroniką i automatyką - sam się dokształcał, wertując poradniki i podręczniki. Ale gdy brał się za ambitniejsze zadania, napotykał na problemy techniczne, dlatego poszedł do technikum; po jego ukończeniu i zdobyciu doświadczenia awansował na młodszego sztygara. Będąc w dozorze chętnie włączał się w różne prace związane z zaawansowaną techniką, np. przy uruchamianiu przenośników, czy poszukiwaniu przyczyn awarii urządzeń elektroenergetycznych. Początkowo sami pracownicy tworzyli potrzebne rozwiązania, bo nie było tak rygorystycznych przepisów jak teraz, np. żeby zrobić projekt, należy wykazać się odpowiednimi uprawnieniami. Kiedyś tych formalności było mniej - jeśli projekt czy koncepcję akceptował kierownik i główny energetyk, to były wdrażane.

- Do wniosków racjonalizatorskich nie przykładałem wagi - mówi pan Lech. - Czasem nawet nie odbierałem świadectw, dyplomów, odznaczeń, bo krępowało mnie, gdy byłem wyczytywany po nazwisku na jakiejś oficjalnej uroczystości. Zwykle to co mi przyznano, odbierałem po imprezie, w biurze u szefa lub w kadrach. Mój mundur zawsze był czysty, bez dekoracji, bo nie lubiłem się obwieszzać, choć mam wiele różnych odznaczeń.

■ Zabijają mnie i ciebie...!

Pierwszym dyrektorem Lecha Świerszcza był Zbigniew Ziomek a kierownikiem - Eugeniusz Włogiewicz („Anioła”), potem Bogdan Różański, Ryszard Matykievicz, Marian Spólnik, Janusz Urbanowicz. Z uznaniem mówi o sztygarze Andrzeju Napierale, który pasjonował się nowoczesnymi rozwiązaniami. Przyznaje, że bardzo dużo nauczył się od swoich zwierzchników, m.in. od Ryszarda Matykiewicza, który zachęcał podwładnych do zdobywania wykształcenia. Ta wiedza i umiejętności przydały się, gdy sam znalazł się w dozorze. Jednak po pewnym czasie, doszedł

do wniosku, że to mimo wszystko nie wystarcza, dlatego rozpoczął studia na Politechnice Wro-



2001 rok. Pan Lech z żoną na Górbabniku w Świeradowie Zdroju.

clawskiej, na kierunku elektroenergetyka przemysłowa - ukończył je w 1991 roku.

Przez większość lat pracował w dozorze, w oddziałach: montażowym i utrzymania ruchu. - Budowaliśmy przenośniki, pompownie, rozdzielnie, różnego rodzaju komory: paliw, materiałów wybuchowych i innych. Mogły być ich setki - szacuje inż. Świerszcz. - Po jakimś czasie, jak już były niepotrzebne, część z nich się likwidowało, przenosząc urządzenia w inne rejony górnicze.

Na rejonie ZG Lubin pod ziemią nadzorował budowę jednego z największych wentylatorów w kombinacie, o mocy 1,5 megawata/6kV. Zaangażowany był przy rozpoczęciu budowy centralnej klimatyzacji na „Rudnej”. Pracował na wszystkich kopalniach i szybach, oprócz „Głogowa Głębokiego”. Brał udział zarówno przy ich budowie, remontach, jak i przy początkach likwidacji szybów P-3 i P-4. Zajmował się wyposażaniem szybów sierszowickich: SG-I, SG-II a na Rudnej (szyby R-IX i R-XI) odpowiadał za ich kompleksowe uzbrojenie w całą infrastrukturę. Nadzorował prace przy urządzeniach szybowych od strony mechanicznej i elektrycznej.



ZAKŁAD ROBÓT GÓRNICZYCH LUBIN

KOMISJAT GÓRNICZO-HUTNICZY MIEDEI

LUBIN 59-301 ul. Wojska Polskiego 45
 Telefon 410-01
 Nr Telexu 038402 ZRG-PL
 Konto bankowe: NBP Oddział Lubin
 Nr 39130-97

Lubin, dnia 14.10. 1980 r.
 Ob. Świerasz Lech
Oddział MS-5

Wasze pismo: _____ z dnia _____

Nasz znak: _____

Dyrekcja, Komitet Zakładowy PZPR
 i Rada Zakładowa Zakładu Robót Górniczych
 KGHM w Lubinie udzielają Obywatelowi
 pochwały z wpisaniem do akt osobowych
 za sumienną i ofiarną pracę przy realizacji
 zadania pt. "Zbicie poziomu 700 z szybam
 SW-3".

PRZEWODNICZĄCY
 Rada Zakładowa Zakładu Robót Górniczych w Lubinie
 Edzisteo Rukliński

KOMISJAT GÓRNICZO-HUTNICZY MIEDEI
 ZAKŁAD ROBÓT GÓRNICZYCH
 NACZELNIK INŻYNIER
 mgr inż. Ryszard Smolarka

WZGraf. Wobów Zam nr. 006-79 8000

szybko i bezpiecznie. Miał też swój sposób motywowania; tak starał się kierować pracami brygad, by byli w stanie samodzielnie wykonać powierzone im zadanie i by ludzie nie mogli się doczekać poniedziałku, gdy przyjdą, uruchomią urządzenia a one zadziałają.

■ Czarodziejski śrubokręt

W SOWI szkolono pracowników i kadry górnicze dla siebie, jak i dla nowo powstającej kopalni Sieroszowice. Pan Lech mówi, że niektórzy jego podopieczni skarżyli się, że łatwiej było im zdać maturę, niż praktykę u niego. Przyznaje, że był wymagającym szkoleniowcem:

– Przydzielałem im zadania domowe, żeby pogłównkowali, jak podejść do problemu, jak go uniknąć, jakie warianty przyjąć. Pewnie z tego powodu niektórzy nie byli zadowoleni, że szkolą się akurat u mnie. Nie pobrażalem nawet bratu Wieskowi, który również u mnie praktykował, był zawzięty, starał się udowodnić, że w każdej sytuacji sam da sobie radę.

Nawet, gdy Lech Świerasz był w dozorze, nie unikał bezpośredniego udziału w robocie. Kiedy wchodziły nowe rozwiązania techniczne, z regu-

ły były zlecane właśnie jego oddziałowi montażowemu. Bo zawsze starał się być na bieżąco w swojej branży.

Pewnego razu na „Polkowicach” z Niemcami uruchamiali urządzenie do chłodzenia wyrobisk. Nie chciało ruszyć, okazało się, że ktoś ukradł czassowe przekładniki. Trzeba było coś wymyślić w ich miejsce. Inż. Świerasz pokombinował i opracował takie samo urządzenie ale na tranzystorach - i to zadziałało. Niemiec tylko głową pokręcił z niedowierzaniem. Innym razem doszło do awarii urządzeń chłodniczych, którą trudno było zlokalizować. Pan Lech domyślił się, gdzie tkwi problem, ale przy okazji chciał pożartować.

– Miałem taki zakrzywiony śrubokręt, wszyscy na oddziale o nim wiedzieli - opowiada. - Pokazałem go Niemcom, mówiąc, że ten specjalny „czarodziejski” śrubokręt, potrafi wszystko błyskawicznie naprawić. Fakt, urządzenie po chwili ru-

Jeden z licznych dyplomów za solidną pracę.

– Niemiałym wyzwaniem – wspomina pan Lech – była również budowa na Lubinie Wschodnim nowej rozdzielni. Stawialiśmy ją obok starej. Mieliśmy 20 godzin na ich podmiangę; likwidację starej i przemieszczenie w jej miejsce nowej. Przeciagaliśmy ją po szynach za pomocąciągarek. Pamiętam zaniepokojenie głównego energetyka Ryszarda Smolarka. Chodził koło nas tam i z powrotem, poganiając: „Lechu, jak nie zrobisz na czas, zabijają nas; mnie i ciebie!”. Obawiał się, że nie zdążymy przed rozpoczęciem eksploatacji. Zdążyliśmy! Współpraca z panem Ryszardem Smolarkiem układała się wzorowo; interesował się organizacją, technologią wykonania, postępem robót i ich jakością.

Natomiast pan Lech - jak sam zapewnia - do każdego zadania podchodził ze spokojem, nawet najtrudniejsze traktował zwyczajnie, jako polecenie, które należy wykonać dokładnie, w miarę

szło, ale tylko dlatego, że znałem jego działanie, jak własny palec. Ależ miałem frajdę, patrząc na ich miny.

■ Zapuszkowany za puszkę

Ale i jemu zdarzały się potknięcia. Miał jakąś robotę w rozdzielni o napięciu 500 volt, a żeby przypadkiem jej ktoś nie załączył, na trzech fazach i obudowie położył klucz. Niestety, potem zapomniał go zabrać, sam załączył prąd i rozwalił odpływ rozdzielni. Wściekał się sam na siebie, bo to była robota na pół godziny, a naprawa uszkodzenia pochłonęła 2,5 godz. A niekiedy figla płała im sama natura.

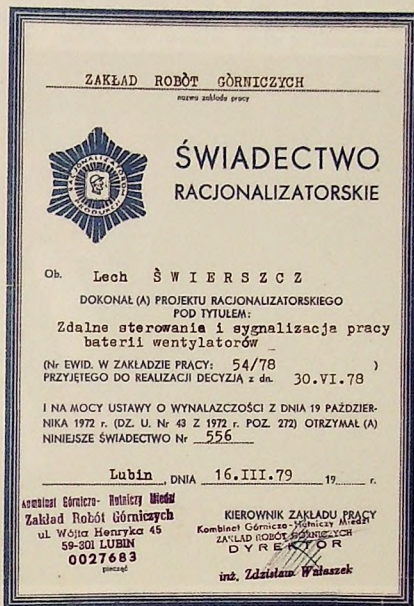
– Kończymy robotę, a tu zawał – wspomina. – Wszyscy w nerwach, bo cała robota poszła na darmo. Eksploatacja wstrzymana, kopalnia nie chciała wyłożyć dodatkowych pieniędzy, nasza firma broniła się, że nie wykona tego gratis. No i niesnaski gotowe.

Wiadomo, że nie zawsze wszystko szło gładko, od czasu do czasu zdarzały się wpadki. Pan Świercz z trudem daje się namówić, by o nich opowiedział. Kiedyś np. na PW załóż im oddział, bo strzelano w wodonośnym złożu; skała nie wytrzymała i wdarła się woda. Nikomu nic się nie stało, tylko niektóre urządzenia uległy awarii, ale żeby nie było afery, sami szybko uporali się z odwodnieniem.

– Wówczas w PRG na Polkowicach Wschodnich pracowała wspólnia, zgrana załoga i kadra pod kierownictwem Ryszarda Rutki – wspomina. – Oprócz mnie nadsztygarzy: Marek Miller i Edward Gałązka. Trzymaliśmy się razem, dlatego w sposób dyskretny mogliśmy sami rozwiązywać niektóre problemy. Nie brakowało ich również z ludźmi. Jeden z elektryków przyszedł na rauszu (kiedyś przymykało się oko na takie incydenty). Wysłaliśmy go do komory, żeby doszedł do siebie. Podczas przerwy na posiłek przebudził się i nikomu nic nie mówiąc, chciał załączyć uziemione pola. W porę został zauważony i nie doszło do tragedii. Gdybym w raporcie napisał co się stało – dyscyplinarka muirowana i na dodatek miałby zabrane uprawnienia. Od tego czasu przyjąłem zasadę: Żadnego poba-

zania dla skacowanych pracowników! Lekkie podejrzenie i natychmiast – wynocha, nie masz co robić na dole! Teraz inne czasy, do pracy w kopalni jest kolejka chętnych, no i w każdej chwili, na bramie, w szatni, czy na dole, mogą alkomatem sprawdzić trzeźwość.

Niemąło kłopotów przysparzali więźniowie, pracujący na „Polkowicach”. Odkręcali szklane klosze od lamp i robili sobie parzącą z czarnej



Pana Lecha zawsze pasjonowała zaawansowana technika.

herbaty. Te czaje działały pobudzająco, więźniowie stawali się agresywni i dochodziło do utarczek.

– Kiedyś zapytałem więźnia – elektryka, za co siedzi – mówi pan Lech. – „Za puszkę” – odpowiedział. Kazano mu w szkole wymienić starą instalację na nową, a on tylko puszkę pomalował a instalacji nie ruszył. Ci porządniejsi po wyjściu z więzienia zatrudniali się w firmach górniczych, trzech miałem takich w brygadzie.

■ W roli sanitariusza

Na kursie ratownictwa górniczego dla dozoru zdobył uprawnienia sanitariusza, te umiejętności niejednokrotnie mu się przydawały.

– Na „Polkowicach”, podczas strzelania przodka, górnik za blisko się schował, a jak gruchnęło, to powaliło go na spąg – opisuje tragiczne zdarzenie. – Gdy go zobaczyłem, sam się przeraziłem; był cały zabrudzony i pokrwawiony. Zatałowałem krwotok, ułożyłem w bezpiecznej pozycji i szybko wywieźliśmy rannego na górę, gdzie czekała karetka. Młoda pani doktor zaniemowała, widząc

siałem powiadomić żonę; podjeżdżam pod dom, wychodzi kobieta i małe dzieci. Zbliżam się do nich, a oni wszyscy w płacz. Nie wiem, czy ktoś ich wcześniej powiadomił, czy też przeczuwali, że coś złego się stało. Górnicze rodziny wiedziały, że wizyta nieznajomych w domu, gdy ktoś bliski pracuje w kopalni, niczego dobrego zwiastować nie może. Nie nadawałem się do takich misji, bo mi zaraz gardło ścisnęło, lzy same cisnęły się do oczu i trudno było wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo. Warto zaznaczyć, że rodzina poszkodowanego zawsze mogła liczyć na pomoc i opiekę zakładu.



Pożegnanie emeryta. Od lewej: Andrzej Dobrzyński - sztygar, Stanisław Dąbrowski - członek zarządu firmy, pan Lech, operator (Jan - nazwisko uleciało z pamięci), Jerzy Cieleśzczyński - sztygar oddziałowy, Józef Małędziak - oddziałowy i Jan Berg z firmy wykonującej montaż.

tak strasznie poranionego człowieka, dopiero po dłuższej chwili przejęła inicjatywę. Przekazałem jej tylko, żeby odnotowała, że go z dymów strzałowców wyciągnęliśmy, bo na pewno miał je w płucach. Jednak najtrudniejsze było powiadamianie o nieszczęściu rodziny.

Pewnego razu, gdy miałem dyżur domowy, doszło do wypadku w kopalni. Brygada montowała dozownik zsyłu urobku, jeden z górników podszedł zbyt blisko i parę ton wiszących na udźwigu, uderzyło go, ale przeżył i trafił do szpitala. Mu-

Kiedyś, gdy pracował na „Rudnej”, wybuchł pożar - zapaliło się SWT. Musiał szybko zebrać swoich ludzi, wycofać z przenośników w bezpieczne miejsce i powiadomić dyspozytora gdzie się znajdują. Takich przykrych i niebezpiecznych sytuacji było wiele, ale starał się ich nie rozpamiętywać i jak najszybciej wyprzeć ze świadomości. Niektórzy pod wpływem takich zdarzeń nie zjeżdżali już więcej do kopalni, nawet gdy sami nie ucierpieli, lub gdy tylko znali przypadek ze słyszenia. Nie każdy się nadaje do pracy w kopalni

- uważa pan Świerszcz - część przyjętych bardzo szybko rezygnowała. Średnio na trzydziestu nowych, po kwartale zostawało niewielu, i to z nich tworzył się stabilny trzon załogi.

■ Jak wypiją, to fedrują

Praca w SOWI, które potem zmieniano nazwę (ZRG, PRG i na koniec PeBeKa), to były szczególnie lata, człowiek się związał z kopalnią, z ludźmi, poprzez ciężką pracę; zaczynałem od dołka, kilofem trzeba było umieć robić, młotem, łomem i łopatą a kończyłem jako nadsztygar. Do partii nie należałem, ale nawet od towarzyszy dostawałem wyróżnienia. W 80 r. komitet zakładowy PZPR i rada zakładowa ZRG udzieliły mi „pochwały z wpisaniem do akt osobowych za sumienną realizację zadania zbiccia poziomu 700 z szybem SW3”.

Lech Świerszcz mówi, że z okresu pracy najlepiej wspomina te chwile, gdy wspólnie bawili się na jakiejś imprezie. Ale musieli sami sobie ją zorganizować. Teraz zamawia się salę z wyżywieniem i po kłopotcie, nie to co kiedyś. Ktoś na wiosce po znajomości i za grosze wynajmował świetlicę, kupowali np. świnię i sami ją obsprawiali, albo zamawiali kurczaki, a żony pomagały w przygotowaniu. Jak było ciepło, zbierali się na pikniku w Lubinie za Katangą albo koło ciepłowni. Nieraz imprezowali z małżonkami.

- Nie wiem - dodaje pan Lech - czy nasze panie były zadowolone, bo u górników jest tak, że w czasie pracy mówią o kobietach, o miłości a po piwku czy kielichu - o pracy. To już standard; kiedy gwarkowie wypiją, to zaczynają fedrować. Przynajmniej raz w roku razem z żonami wyjeżdżaliśmy do Świeradowa Zdroju lub do Cieplic Zdroju, czy innych miejscowości. Zwykle były to imprezy tematyczne: cygańskie, hawajskie, połączone z konkursami - nasze panie bardzo chwaliły sobie te eskapady.

■ Siódme - nie kradnij!

W pracy lubili robić sobie różne kawały:

- Ktoś się zdrzemnął na podszybiu, przed wyjściem, to związywało się mu sznurówki; klatka się otwiera, on wstaje i nie może się ruszyć. Albo do teczki wrzucało się po kryjomu jakieś śruby lub coś innego ciężkiego - chwytą ten ktoś za teczkę i nie daje rady podnieść. Jednemu wsadziliśmy do teczki damskie galoty znalezione w czyściwie. Na drugi dzień wściekły pyta nas, czyja to sprawa. Ten kolega to był taki wielki chłop,

ślazak, a u nich w zwyczaju bywało tak, że teczką zajmowała się żona; porządkowała ją, wkładała śniadanie. Musiał się ciężko tłumaczyć w domu z jej zawartości.

Wyczynialiśmy różne psoty nie tylko pod ziemią. Kolega kiedyś mi opowiada: „Wracam z pracy a żona do mnie: tobie Maciej to już chyba odbiło, jaki wstyd wobec sąsiadów..., co o nas pomyślą? Pytam o co chodzi, a ona pokazuje na drzwi wejściowe. Wychodzę na korytarz, a na drzwiach nowa wizytówka z miedzi a na niej moje nazwisko poprzedzone dopiskiem brygadzista. No i popatrz, co mi te barany zrobiły” - zżymał się na swoich kolegów.

Albo wysyłało się koledze do domu paczkę z psikusiem, np. gadżetami erotycznymi. Podobne prezenty nieraz dostały nasze dziewczyny z oddziału na Dzień Kobiet. Niekiedy bały się rozpakować prezent, bo wiedziały na co stać naszych chłopaków. Sam brałem udział w różnych hecach i wiele razy padłem ich ofiarą. Przez zapomnienie zostawiłem gdzieś narzędzia czy hełm, wracam, szukam - nie ma. A koledzy rechoczą: „Jak Lechu teraz będziesz chodził po kopalni, czym będziesz robił?” - śmiali się.

Kiedyś naprawdę ktoś Lechowi Świerszczowi ukradł narzędzia. Postanowił dać złodziejaskowi nauczkę. Zastawił pułapkę: w gumowej taśmie zrobił otwór, na wierzch położył klucze i od spodu podłączył z kondensatora prąd o niskim napięciu. W pobliżu zajmował się swoją pracą i czekał, co będzie. A kiedy usłyszał krzyk, zawołał tylko: Siódme nie kradnij!

■ Twardy dysk Leszka

Jako kierownik często był w sądzie w sprawach dotyczących pracowników, zdarzały się bowiem różne przypadki naruszania dyscypliny. Ale szczególnie zapamiętał rozprawę dotyczącą przywrócenia do pracy Władysława Grockiego, działacza Solidarności, wyrzuconego za organizowanie strajków pod koniec lat 80.

- Władkowi zależało, by rozprawę nagrywać, ale sam nie mógł wnieść magnetofonu, bo go obszukiwano, więc mnie wciskał taki mały magnetofonik - opisuje zdarzenie pan Świerszcz. - No i nagrywałem mu te rozprawy, a czy jakoś nagranie wykorzystał - nie wiem. Władek Grocki (też elektryk) zaliczał się do tych pracowników, których się nie zapomina. Był strasznie gorliwy w robocie. Pilnował, żeby jego brygada nie odstawała

od najlepszych. Jak trochę mniej zrobiła, to był wkurzony - na powierzchni potrafił za bety złapać opieszałego delikwenta, potrząsnąć i wykrzyzczyć słowa o wymownej treści. Stara bracia górnicza miała swoją ambicję, żeby powierzone zadanie porządnie wykonać.

Na emeryturę Lech Świerszcz odchodził w lutym 2004 roku jako nadsztygar energomaszynowy; na imprezie pożegnalnej wręczono mu na pamiątkę „twardy dysk Leszka”.



Medale przyznane Genowefie Świerszcz - przez straż pożarną (po lewej) a drugi przez wojsko.

- Miałem takie sztywne okładki, wkładałem w nie dokumenty, kiedy np. w jakiejś sprawie wybierałem się do dyrekcji - opisuje pożegnalny epizod pan Lech. - Na wewnętrznych stronach zapisywałem różne numery telefonów. Przed emeryturą ci cholernicy podprowadzili mi te okładki, oprawili w ramkę i na koniec uroczystie wręczyli.

Pamiątką po pracy na Miedzi są też liczne dyplomy, odznaczenia zakładowe, resortowe i państwowe w tym od ministra przemysłu maszynowego za wzorową dbałość o maszyny górnicze.

■ Górniczy klan Świerszczów

Alé nie on jeden z rodziny był odznaczany. Eugenia Świerszcz, matka dziesięciu synów, również wielokrotnie była honorowana. Dziękowała jej straż pożarna - wszyscy synowie byli ochotnikami, dziękował Minister Obrony Narodowej (ośmiu służyło w wojsku), a także mi-

nister górnictwa, gdyż z tą branżą związało się sześciu synów. Lech jest na emeryturze, Janek przez kilka lat pracował w górnictwie, Wiesiek i Tadek pracują w ZG Rudna, Robert w HM Głogów. Mirek (zmarł rok temu) był zatrudniony w ZG Rudna, a Bogdan (już nie żyje) - na węglu.

Z drugiego pokolenia pięciu chłopaków trafiło do górnictwa: dwóch synów Wieśka - Dawid i Przemek (ZG Rudna), jeden Bogdana - Mariusz (ZG Rudna), i dwóch Lecha (ZG Lubin); Darek jest strzałowym a Maciej zajmuje się podsadzką. Na początku tego roku Marek, syn Mirka, zatrudnił się w PeBeKa Lubin. Ponadto córka Wiesława - Paulina pracuje w Zanamie a jej mąż Łukasz w ZG Lubin.

Rodzina Świerszczów jest tak rozległa, że można uznać ją za największy górniczy klan w miedziowym zagłębiu. Pani Eugenia ma 26 wnuków (większość to chłopcy) i bodaj 16 prawnuków - pan Lech z trudem ich licza. Jeszcze w tym roku dojdzie troje prawnucząt. Ale oczywiście na tym nie koniec.

- Nie przesadzę, mówiąc, że drugą moją rodziną był „kombinat” - podsumowuje wspomnienia nadsztygar Świerszcz. - Do końca pracowałem w KRM PeBeKa Lubin. To była wspaniała, zgrana, załoga. Z ogromną sympatią wspominam: kierownika Działu Robót Montażowych Ryszarda Lindmajera, nadsztygara Zbigniewa Szweđa, również Wiesława Szkoździńskiego - gdy odchodziłem na emeryturę był na stanowisku głównego inżyniera. Łączyły nas nie tylko sprawy zawodowe, ale również więzy towarzyskie. Wspólnie jeździliśmy na wycieczki, zwiedziliśmy całą Polskę, od Augustowa, po Tatry. Angażowaliśmy się w prace społeczne, w Lubinie pomagaliśmy w urządzaniu ścieżki zdrowia.

Mimo emerytury jeszcze na dwa lata wrócił do górnictwa. Macierzysta firma poprosiła inż. Świerszcza o udział przy opracowaniu technologii likwidacji szybów P-3 i P-4 oraz w rozpoczęciu robót likwidacyjnych. Później przez kolejny rok pracował w Zanamie przy organizowaniu dołowych oddziałów montażowych.

A po zakupie łódki i wyposażeniu jej w sprzęt wędkarski zajął się rybkami. Wypoczywa i cieszy się wnukami. Karolina, Kuba i Błażej chodzą już do szkół podstawowych.

A całej załodze kombinatu życzy tyle zjazdów co wyjazdów! ■

Kolejny prezes Krzysztof Sędziowski miał bardziej radykalną wizję dla CKK; utworzenie spółki pracowniczej bez udziału KGHM i bez prawa używania logo firmy. Trochę mnie to ubodło, ale od razu pomyślałem sobie: ale słowa „miedziowe” - nikt nie zabro- ni mi używać.

Tadeusz Borysiak:
specjalista obróbki
ciepłno-chemicznej
metali w Zakładzie
Doświadczalnym,
główny inżynier ds.
energomechanicznych
w Zakładzie Transportu,
dyrektor Centrum
Kształcenia Kadr
KGHM, obecnie - prezes
zarządu Miedziowego
Centrum Kształcenia
Kadr. Pracował
w KGHM od 1973 do
1993 roku



Od wymiany żarówki po remont lokomotywy

Do końca życia nie zapomnę swojej pierwszej Karczmy Piwnej na Miedzi w 1973 roku. Dopiero zaczynałem pracę w Zakładzie Doświadczalnym, a tradycje górnicze znałem tylko ze słyszenia. Galowe mundury, niezwykła oprawa i nastrój barbowego spotkania, odbywającego się w pałacu w Bolanowie sprawiły, że poczułem się jak w innym świecie. Siedzieliśmy przy długim siermiężnym stole, przez jego środek przeciągnięty był łańcuch, którym thukiliśmy, wyrażając aplauz lub niezadowolnienie, gdy np. brakowało piwa.

W pamięci mam też karczmę, która odbywała się trzy lata później - prowadził ją Irek Bujak. To właśnie wtedy prezentowano słynny eksponat - maszynę „urwę”, kpiąc z jej pomysłodawcy dyrektora Jana Stosiaka, znanego z poszukiwania niekonwencjonalnych rozwiązań, np. próby strzelania przodków przy pomocy armaty; dużo było przy tym kurzu, hałasu, a urobku, co kot napłakał. Z tego powodu organizatorzy karczmy nie szczędzili dyrektorowi ironii i złośliwości, ale

jak to na karczmach, nikt się nie obrażał. Dyrektor Stosiak był mądrym i cenionym fachowcem, dbał też o pracowników, o czym sam się przekonałem.

■ Po miesięczny - do ministra

O możliwości zatrudnienia się w KGHM dowiedziałem się od kolegi, który już tam pracował. Powiedział mi, że Zakład Doświadczalny pilnie poszukuje kogoś, kto się zna na obróbce ciepłno-chemicznej metali. A ja właśnie po ukończeniu Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze pracowałem jako technolog tej specjalności, w Koźuchowie. Miałem ciekawą pracę w nowoczesnym zakładzie, wytwarzającym sprzęgła do licencyjnego fiata 125p, ale niestety prawie żadnych perspektyw na własne mieszkanie. A było nas już troje i zajmowaliśmy służbowy pokój, przyznany żonie - nauczycielce. Pojechałem więc do Lubina na rozpoznanie. Przyjął mnie dr Wojciech Waszewski, Zastępca Głównego Inżyniera



Jedna z Karczm Piwnych w Zakładzie Doświadczalnym. Po prawej: Tadeusz Borysiak, Bogdan Lange i Ryszard Newelski.

ds. Mechanizacji Górnictwa i niemal od razu oświadczył: „Możemy pana przyjąć, choćby od jutra”. Wrócić do domu w euforii, tym bardziej, że obiecano mi zarobki dwa razy wyższe, czyli blisko 6 tys. zł.

Ale pojawił się problem wynikający z odległości (50 km) - dzielącej Lubin od Nowego Miasteczka, gdzie mieszkaliśmy. Tygodniowej rozłęki z rodziną nie brałem pod uwagę, więc uzgodniliśmy z żoną, że będę codziennie dojeżdżał. Przewozy pracownicze do Nowego Miasteczka jeszcze nie kursowały, musiałem zdać się wyłącznie na komunikację międzymiastową, co wcale nie było takie oczywiste, bo na przeszkodzie stały przepisy. Dopiero po interwencji dyrektora ZD Jana Stosiaka w Zjednoczeniu PKS w Zielonej Górze wydano mi bilet miesięczny na linię pociągową, a na linię lux należało uzyskać zgodę... ministerstwa! Później, gdy z Nowego Miasteczka na Rudną Zachodnią zaczęły jeździć przewozy, korzystałem z tej możliwości. Z szybu musiałem jeszcze przedostać się przez ogródki działkowe na przystanek autobusu nr 45 w Polkowicach, który dowoził mnie do Lubina. Te kombinowa-

ne dojazdy sprawiały, że mój dzień zaczynał się po godzinie trzeciej w nocy. Jednak uciążliwości rekompensowała mi fascynująca praca.

■ Średniowieczną metodą

Dobrze pamiętam pierwsze zadanie otrzymane od dra Waszewskiego. Miałem opracować konstrukcję i technologię narzędzi wiertniczych (koronka, żerdź, tuleja, łącznik do wiertarki BBC-120F) dla miedziowych kopalń. Chodziło o to, by w procesie obróbki cieplno-chemicznej poprawić właściwości wytrzymałościowe narzędzi. Co prawda, tego rodzaju narzędzia można było kupić, ale jedynie za dewizy z importu zachodniego; oferowały je Atlas Copco, Secoma i Fagersta. W kraju były wtedy duże naciski na tzw. produkcję antyimportową. I to moje zadanie miało właśnie taki charakter, ale warunki w jakich je realizowałem okazały się zaskakujące.

Pracując w Koźuchowie miałem do czynienia z najnowocześniejszą zachodnią technologią i urządzeniami do obróbki cieplnej. Aby uzyskać nasycenie węgla na powierzchni metalowych części, używaliśmy gazu propan-butan. Elementy

sprzęgła, ułożone na specjalnej tacy, automat podawał do pieca. Tutaj, w LGOM, obróbka termiczna odbywała się w ZG Lena, bo tylko tam istniały ku temu warunki, ale takie niemal średniowieczne. Narzędzia były układane w metalowych skrzynkach i zasypywane węglem drzewnym (z niego pochodziła warstwa węgla wzmacniająca narzędzie), skrzynki zaklejano gliną, po czym ręcznie wkładano je do pieców hartowniczych.

Tak wyglądały nasze pierwsze próby wytwarzania narzędzi dla górnictwa. Dopiero po latach „Lena” zafundowała sobie takie same piece, jakie były w Koźuchowie, gdzie cały proces przebiegał w atmosferach regulowanych.

Mimo tych dość prymitywnych warunków, ulepszone tym sposobem narzędzia zdawały egzamin w praktyce, choć oczywiście cały czas je poprawiano i modernizowano. Następnym zadaniem - również w ramach programu antyimportowego - było uruchomienie produkcji węzłów do wozu zawalowego SWZ. (Dla niezorientowanych: węzły to ramy przewodnicze dla żerdzi wiercących z chwytakiem pneumatycznym do wiercenia długich, nawet 30-metrowych, otworów w stropie). O ile wcześniej stale kursowało do Wilkowa, to w tym przypadku współpracowaliśmy z Fabryką Urządzeń Mechanicznych w Chocianowie. Również i tym razem można mówić o sukcesie, a osobom

które się do niego przyczyniły, w nagrodę przypięto odznaczenia Zasłużony dla LGOM. Pieniężnych gratyfikacji nie było, ale też nie liczyliśmy na nie, bo naprawdę przyzwoicie zarabialiśmy.

Gdy pracowałem w Koźuchowie, musieliśmy z żoną skrupulatnie kontrolować bieżące wydatki; wypłatę wkładaliśmy do czterech kopert (po jednej na tydzień), a jeśli coś zostało, pozwalaliśmy sobie na odrobinę szaleństwa, idąc do kina albo kawiarni. Gdy przeniosłem się na Miedź, koperty już nie były potrzebne.

■ Planowałem doktorat

W ZD miałem, jak mi się wydaje, opinię dobrego pracownika, mimo to nie doczekałem się docelowego mieszkania. Co prawda dwukrotnie składano mi propozycje, ale za pierwszym razem było to mieszkanie z tzw. odzysku z ciemną kuchnią, a za drugim - w Legnicy, a ja nigdy tego miasta nie lubiłem, sam nie wiem dlaczego.



Chocianów, 1975 rok. Wizyta w Fabryce Urządzeń Mechanicznych, gdzie na potrzeby kopalni uruchomiono produkcję węzłów do maszyn zawalowych. Od prawej: Jan Kopeć - Główny Inżynier ds. Mechanizacji Górotworu, jego zastępca - dr Wojciech Waszczewski i Tadeusz Borysiak.

W Lubinie, na Przylesiu, budowano już mieszkania ładne i w miarę komfortowe, jak na tamte czasy. Żona zdecydowała, że będziemy czekać na takie, które spełni nasze oczekiwania. Z tego powodu znalazłem się na dywaniku w zakładowym Komitecie partii, mimo iż nie byłem jej członkiem. „Co wy Borysiak sobie myślicie? - usłyszałem reprimendę. - Dostaliście dwie propozycje i obie odrzuciliście...!”

Z pracy w Zakładzie Doświadczalnym byłem bardzo zadowolony, spełniałem się zawodowo;

był to najbardziej twórczy okres w mojej zawodowej karierze. Obróbka cieplna mnie pasjonowała, prowadziłem badania, eksperymentowałem, zmieniałem parametry, dokonywałem pomiarów, np. przekroju, grubości, warstwy nasycenia, dużo się uczyłem. Do tego atmosfera wśród pracowników, a także w relacjach z przełożonymi, układała się bez zarzutu.

Wielu znakomych fachowców przeszło w tamtych latach przez ZD, który miał również zadanie przygotowywania kadr do pracy w zagłębiu miedziowym. Zwierzchnicy zachęcali nas do zawodowego rozwoju, sporo się w tym okresie nauczyłem, przymierzałem się nawet do zrobienia doktoratu. Nie sądziłem, że po czterech la-

Dyrektor Guzek zadzwonił do mnie i zakomunikował: „Kolego, wysłał na parking pod ZD samochód, proszę przyjechać do mnie”. Pytam, o co chodzi, a on na to, że dowiem się na miejscu. Pojechałem, przedstawił swoją propozycję. Od razu powiedziałem: „Nie, mnie to nie interesuje. Nie chcę zmieniać pracy, mam wspaniałych kolegów, mądrych szefów, takich jak: dr Wojciech Waszewski, Jan Kopeć czy dyr Jan Stosiak. Prowadzę prace badawcze i chcę je dokończyć”. Szukałem argumentów, które zniechęciłyby go do dalszego kaperowania, ale dyrektor Guzek miał dość twardy, wręcz trochę despotyczny, charakter. Uciął moje tłumaczenie się jednym zdaniem: „Niech mi pan nie opowiada takich rzeczy, od jutra lub pojutrze

pracuje pan u mnie!”. Perswadował, że wszystko co trzeba załatwi z dyrektorem Stosiakiem, będę mógł nawet kończyć swoje badania, ale już jako pracownik Zakładu Transportu.

Jeszcze przez jakiś czas broniłem się, unikając kontaktów z dyrektorem Guzkiem; bywało, że dyrektor przysyłał po mnie auto, a ja nie wsiadałem. W końcu uległem, i wcale nie pieniądze były tu najważniejszym argumentem, mimo że znowu miałem dostać drugie tyle co w ZD, tylko gwarancja przydziału mieszkania od zaraz - akurat ZT otrzymał dla swoich pra-

cowników klatkę w bloku nr 35 przy ulicy Sokolej. Dyrektor rozłożył przede mną plany mieszkań i ka-zał wybierać - wskazałem na drugie piętro. Przyzna-no mi M-4; żonie jako nauczycielce przysługiwał dodatkowy pokój.

■ Alkoholu i lenistwa nie tolerowałem

O ile praca w Zakładzie Doświadczalnym sprawiała mi radość, to w Zakładzie Transportu okazała się harówką. Stanowisko głównego inżyniera ds. energomechanicznych uchodziło za prestiżowe, ale moje obowiązki ograniczały się



Impreza integracyjna pracowników MCKK - połowa lat 90.

tach w „doświadczalnym” będę niemal przymuszony do zmiany zakładu.

■ Od jutra pracuje pan u mnie!

Jeden z moich kolegów zatrudnił się w Zakładzie Transportu. Któregoś razu dyrektor ZT Stefan Guzek zapytał tego kolegę, czy nie zna kogoś, kto nadawałby się na stanowisko głównego inżyniera ds. energomechanicznych. Kolega bez wahania odpowiedział, że zna takiego gościa i wymienił moje nazwisko, nie uprzedzając mnie o tej rozmowie. No i wtedy zaczęły się korowody.

do utrzymania ruchu w sferze: mechanicznej, energetycznej, wodnej, telefonicznej, cieplnej, remontowej itd. Zakres tak rozległy, że ciężko było temu wszystkiemu poddać.

Po dwóch miesiącach wezwał mnie dyrektor i pyta: „Kolego, czy tam da się pracować, czy nie?”. Ja na to, że da się, tylko trzeba spełnić określone warunki. „Jakie to są warunki?” - wypalił jak z karabinu, w nerwowym tonie. Spokojnie wytłumaczyłem, że chodzi mi o warunki: organizacyjne, techniczne i ludzkie. „Wszystkie są spełnione - zagwarantowałem z góry - proszę je spisać”. Przyznając, spełnił je od początku do końca.

Najbardziej trudne okazały się sprawy personalne - musiałem zmierzyć się z tym, co zastałem. W pierwszym dniu mojej pracy o czternastej przyszedł do mnie pracownik w stanie wskazującym na spożycie: „Panie, jak tu ku...wa teraz będzie? Bo wie pan, tu było tak, że jak myśmy zaczęli wódkę pić, to kierownik wyjeżdżał. A jak będzie z panem?”. Nabrałem głęboko powietrza, bo mnie zatkało i powiedziałem: „Proszę pana, będzie tak, że jutro o godzinie siódmej przyjdzie pan do mnie, wszystko panu wytłumaczę”. Wyczuł, że się zagalopował i zmieszany wyszedł. Drugiego dnia rano zjawił się pod moim biurem. Spokojnie ale stanowczo oświadczyłem mu: „Jeśli jeszcze raz zobaczę pana pod wpływem alkoholu, wyrzucę na zbity pysk. Upprzedzam, żeby pan wiedział, co pana czeka”. Dopiero po jakimś czasie udało się mi to towarzystwo opanować. Byłem znany z tego, że alkoholu i lenistwa w pracy nie tolerowałem.

■ Torby pełne „argumentów”

Zakład rozlokowany był na terenie trzech województw: legnickiego, zielonogórskiego (HM Głogów) i jeleniogórskiego (ZG Konrad w Iwinach). Musiałem ciągle się przemieszczać, bo choć w terenie miałem podległe służby, m.in. mechaniczne i energetyczne, to nie polegałem wyłącznie na ich raportach. Trzymałem się zasady, że sam muszę zobaczyć, ocenić, dopilnować, sprawdzić, zabezpieczyć; wtedy jestem spokojny i pewny, że wszystko idzie jak należy.

Dużo psychicznej odporności wymagały ode mnie codzienne dyspecerki, które dyrektor prowadził w formie telekonferencji. Lista życzeń z każdej strony pod moim adresem była tak długa i rozległa, że z trudem znosiłem te obciążenia. Do spraw technicznych byłem przygotowany, ale

np. przepisów dotyczących przeglądu obiektów budowlanych musiałem się dopiero nauczyć. Mimo że pozycję w zakładzie miałem wysoką, po śmierci Michała Kosiorowskiego, dyrektora technicznego (przez pewien czas pełniłem nawet po nim funkcję), to trafiały do mnie tak banalne interwencje jak wymiana żarówki w pokoju pani Krysi, obok tak istotnych, jak remont lokomotywy, a to już wymagało wielu zabiegów i działań mniej lub bardziej pokretnych.

Generalnie, jeśli chodzi o gospodarkę remontową, to była katastrofa! Radzieckie ziły, których mieliśmy bardzo dużo i które - jak się mówiło - paliły sto na sto, a po przejechaniu 150 tys. km, musiały przejść generalny przegląd i w rezultacie zazwyczaj kapitalny remont. W Polsce takimi przeglądami i remontami zajmowały się jedynie zakłady wojskowe w Głownie. W roku miałem np. 40 takich ziół do remontu; a tam odpowiadali mi, że z ośwsem mogą zrobić, ale... pięć. „A ja naprawdę potrzebuję tych 40 ciężarówek” - przekonywałem, bo za to mnie rozliczano. Niestety, takie argumenty nie robiły na nikim wrażenia, więc pakowałem do torby argumenty innego rodzaju (alkohol, wyroby wędliniarskie lub inne dobra) i jechałem na rozmowy. Zdrowie nie pozwalało mi osobiście angażować się w takie pertraktacje, mimo to były - przynajmniej częściowo - skuteczne, gdyż w efekcie mogłem usłyszeć: „No dobra, zrobimy - 20”.

■ Glazura za ładowarkę

Ciężko mi było w ZT, ale jestem przekonany, że podołałem obowiązkowi. Kiedy moja praca w tym zakładzie dobiegała końca (o czym zresztą nie miałem wtedy pojęcia), wezwał mnie pan dyrektor Garnarczyk i powiedział: „Słuchaj Tadeu, musimy dokończyć ten dom wczasowy w Świeradowie, bo mi on całkiem zdrowie zabierze”. Zakład nasz był inwestorem zastępczym Malachitu - został zobowiązany do wybudowania tego obiektu, i to w najgłębszym kryzysie końcowych lat 80. Wykonawcy zewnętrzni zawiadli, budowa porzucona w stanie surowym otwartym, niszczała. Dyrektor postanowił w końcu uporać się z tą inwestycją własnymi siłami zakładu. Utworzyliśmy dwie brygady: jedną z więźniów z Wołowa, drugą z naszych pracowników. Wpadłem na pomysł, żeby na placu budowy zorganizować magazyn z prawdziwego zdarzenia, i ta przezorność prawdopodobnie uchroniła mnie

od więzienia. A pewnie i to, że nauczony doświadczeniem zadbałem o właściwy obieg dokumentacji magazynowej.

Składowaliśmy w tym magazynie różnego rodzaju materiały, takie jak: armatury, grzejniki, rury, glazurę. Zdobyć 22 tys. metrów kw. glazury w sytuacji, gdy na rynku nie było ani metra, graniczyło z cudem. Dyrektor Garnarczyk, świetny organizator, który miał już wcześniej doświadczenie w budowaniu domu wczasowego Barbarka w Świnoujściu, znalazł jednak na to sposób. „Pojedziesz do kopalni - polecił mi - kupisz jakąś ładowarkę złomową, która w Zanimie przejdzie remont, potem zawieziesz ją do Opoczna, a my stamtąd przywieziemy wagon glazury”. Tak się też stało. Oczywiście wszystkie operacje finansowe między zakładami były prowadzone na bieżąco, ponieważ wówczas nie brakowało pieniędzy tylko towaru. Pojawił się problem z magazynowaniem takiej ilości glazury, w końcu złożyliśmy ją w Polkowicach, przy naszych magazynach, w pomieszczeniu zaprojektowanym jako bunkier na wypadek wojny atomowej. W miarę potrzeby dowoziliśmy glazurę partiami do magazynu w Świeradowie. Budowę zakończyliśmy w 1989 roku i niemal natychmiast po dojściu do głosu Solidarności, na wniosek związkowców, Małachitem zainteresowała się Najwyższa Izba Kontroli. Wezwał mnie inspektor i zażądał rozliczenia materiałowego budowy. Tłumaczyłem, że budowę prowadziliśmy systemem gospodarczym, że nie zajmuję się służbowo inwestycjami i nawet nie wiedziałem, że są takie wymogi. Usłyszałem, że przepisy obowiązują wszystkich jednakowo i jeśli w ciągu 2 tygodni nie przedłożę rozliczenia, kieruje sprawę do prokuratury. Nie było innego wyjścia, jak odtworzyć całą dokumentację na podstawie stosów magazynowych kwitów. 140 pozycji materiałowych rozliczaliśmy przed dwa lub trzy tygodnie, niemal dzień i noc. Dzięki temu szczęśliwie unikałem spotkania z prokuratorem.

■ KGHM - nie, ale miedziowe - tak

Wkrótce dużą ilością głosów zostałem wybrany do Rady Pracowniczej KGHM. Atmosfera w trakcie tej kadencji była niezwykle gorąca, gdyż wielu członków rady postawiło sobie za cel totalną wymianę na stanowiskach dyrektorskich. Wielu usunęło niesłusznie, m.in. dyrektora ds. pracowniczych w KGHM Edwarda Rippela. Moim zdaniem był to człowiek - dusza, wręcz ideał, bardzo

dbał o sprawę pracowników, tymczasem stawiano mu różne bezpodstawnie zarzuty. Stara kadra dyrektorska w tym czasie została wymieciona w 90 proc. Miałem wiele uwag do wprowadzanych zmian.

Po zakończeniu kadencji w radzie, w 1991 roku, prezes Polskiej Miedzi Jan Sadecki zaproponował mi kierowanie Centrum Kształcenia Kadr, które było wówczas w strukturach biura zarządu spółki. Akurat w kombinacji zaczął się proces restrukturyzacji, doszło też do zmiany prezesa. Nowy szef Polskiej Miedzi Paweł Ofman zapowiedział konieczność prywatyzacji CKK; uznał, że tę niewielką firmę łatwo będzie można przekształcić w samodzielny podmiot, najlepiej z udziałem zagranicznego kontrahenta. Polecił potencjalnych partnerów. Rozmawiając z nimi, zorientowałem się, że niewiele mają do zaoferowania, za to liczą na dobry interes dla siebie. Po wielu dyskusjach prezes Ofman zgodził się, by prywatyzację przeprowadzić z udziałem pracowników, ale z zapewnieniem 51 proc. udziału KGHM.

Te ustalenia szybko okazały się nieaktualne. Kolejny prezes Krzysztof Sędzikowski miał bardziej radykalną wizję dla CKK; utworzenie spółki pracowniczej bez udziału KGHM i bez prawa używania logo firmy. Trochę mnie to ubodło, ale od razu pomyślałem sobie: ale słowa „miedziowe” - nikt nie zabroni mi używać.

■ Pomogła Fundacja Pracownicza

Wcale nie byłem pewny, czy podejmę się tego zadania, zastanawiałem się, czy dam radę bez kombinatu. Obieciał mnie strach, zadawałem sobie pytanie: brnąć dalej, czy zostawić to wszystko i poddać się? Co prawda, będąc w radzie sporo wiedziałem o spółkach pracowniczych, ale nie miały one najlepszej opinii. Wiele z nich szybko upadało, ponieważ udziałowcy nastawiali się głównie na konsumpcję zysku, a nie na rozwój firmy - tego się przede wszystkim obawiałem.

Najpierw zadzwoniłem do dyrektora Zakładu Transportu z pytaniem, czy przyjmą mnie z powrotem. Kiedy dowiedziałem się, że tak, poczułem się pewniej, mając zapewniony odwrót. Na kartce, po jednej stronie, napisałem „za” a na drugiej - „przeciw” (zawsze tak robię przed podjęciem ważnej decyzji), przeanalizowałem i doszedłem do wniosku, że musi się udać pod warunkiem, że zdobędę kapitał założycielski. Byłem jednak dobrej myśli, a to z tego powodu, że rada, gdy jesz-

cze byłem jej członkiem, powołała Fundację Pracowniczą, która miała pomagać załogom w okresie restrukturyzacji.

Kiedy upewniłem się, że dostaniemy nisko oprocentowane pożyczki na kapitał założycielski, spotkałem się z podwładnymi. W CKK pracowało wówczas około 30 osób a nasz majątek nie stanowił wielkiej wartości. Zaproponowałem, by udziały przyznawać zależnie od hierarchii stanowisk; im wyższe tym większa pula udziałów. Każdy z nas pisał podanie do fundacji, która udzielała indywidualnych pożyczek na wykup udziałów. W ten sposób zgromadziliśmy ówczesnych 300 mln zł kapitału założycielskiego, a dzierzawiony majątek (budynki, maszyny) spłaciliśmy w trakcie samodzielnej działalności gospodarczej.

W naszym przypadku nie potwierdziły się negatywne opinie o spółkach pracowniczych. Przekształcenie odbyło się bez najmniejszych problemów, co uważam za ogromny sukces całego zespołu pracowników. Każdy rok zamykaliśmy wynikiem dodatnim, przez kolejne 10 lat nie wypłacaliśmy sobie ani złotówki, a wypracowany zysk walne zgromadzenie przeznaczało na rozwój. Jako prezes Miedziowego Centrum Kształcenia Kadr jestem największym udziałowcem, ale na tle udziałów nie ma żadnych zatargów, a jeśli ktoś chciał swoje sprzedać, dzieliliśmy je między sobą w demokratyczny sposób.

■ Szkolimy operatorów i uczymy studentów

Od początku pracujemy na rzecz KGHM, przygotowując kadry dla przemysłu miedziowego. Sprzedajemy na rynek miedziowy ok 46 proc. naszych usług szkoleniowych; a na początku działalności naszej spółki, Polskiej Miedzi sprzedawaliśmy ich 100 proc. Odkąd weszły przetargi, nie każdy udaje nam się wygrać. Zdarza się, że wygrywająca firma okazuje się niewiarygodna, wtedy znowu wracamy do gry. Na szczęście dzisiaj mamy również innych klientów - 54 proc. naszej sprzedaży pochodzi spoza KGHM.

Jesteśmy profesjonalnie przygotowani do szkolenia zawodowego; mamy odpowiednią in-



Tadeusz Borysiak od ponad dwudziestu lat z powodzeniem prezesuje spółce MCKK.

frastrukturę, aparaturę, programy, i narzędzia, od plansz do symulatorów maszyn górniczych. Staramy się nadążać za postępem technicznym w KGHM, obecnie w nowo postawionym budynku organizujemy laboratorium hydrauliki siłowej do szkolenia operatorów maszyn górniczych.

KGHM jest dla nas istotnym partnerem, ale nie jedynym; od początku rozwijamy rynek usług zewnętrznych, takich jak: szkolenia zawodowe i wszelkiego rodzaju kursy, szkoły zawodowe, policealne, językowe. Od 13 lat działa pod naszym szyldem Uczelnia Zawodowa Zagłębia Miedziowego, uruchomiona dzięki przychylności władz Lubina - szczególnie ówczesnego prezydenta Dariusza Milki, który wydzierżawił nam budynek po Sądzie Rejonowym. Trzy lata temu, również w porozumieniu z władzami miasta, utworzyliśmy dzienny publiczny Zespół Szkół Górniczych, w którym nauka odbywa się bezpłatnie. Mamy doskonałe warunki do praktycznej nauki zawodu, m.in. na naszym poligonie na Szybie Wschodnim kopalni Lubin, a także zatrudniamy doświadczoną kadrę górniczych instruktorów zawodu. Nasz cel jest prosty - chcemy nie tylko utrzymać się na rynku szkoleniowym ale i dalej rozwijać firmę. ■

Maryla Rodowicz była wówczas w ciąży, poprosiła o przyciemnione światła, by jej stan nie rzucał się w oczy. Kiedy kończyła śpiewać i ludzie bili brawo, musiałem zapalić reflektory. Zrobiłem to zbyt wcześnie i jasno oświetliłem to, co artystka chciała ukryć. Usłyszałem potem od niej: „Cholera, źle to wyszło”.

*Jan Plewczyński,
kierownik
Międzyzakładowego
Domu Kultury „Hutnik”
w Legnicy. Pracował
w latach 1974-1986*



Hutnicy dla Satyrykonu

Kiedy 13 kwietnia 1977 roku otwieraliśmy pierwszy Satyrykon, przed wejściem do „Hutnika”, bo tak popularnie legniczanie nazywali Międzyzakładowy Dom Kultury „Hutnik”, rozwiesiliśmy papierową imitację muru. Osoba otwierająca wystawę przebiła ją głową, co miało wówczas symboliczną wymowę. Nikt z dyrekcji huty i legnickich vipów, jak nazwalibyśmy ich dzisiaj, na imprezę nie przyszedł z obawy przed narażeniem się partyjnej władzy.

■ Miedziane kluczyki

Któregoś dnia odwiedził mnie młody działacz kultury Andrzej Tomiałojć. Przyszedł w towarzystwie blondyna z długimi włosami. „Jasiu, to jest rysownik - satyryk, Robert Szczówka. Chcieliśmy porozmawiać z tobą” - przedstawił mi kolegę. Obgadaliśmy wówczas organizację pierwszego Satyrykonu. Tak się szczęśliwie złożyło, że miałem w klubie sporo stelaży i szkła wystawowego, a tym samym dobre warunki do ekspozycji rysunków. Był tylko jeden mankament, w ówczesnych warunkach politycznych impreza mogła okazać się

„śliską sprawą”. Mimo to zaangażowałem się w jej organizację, bo miałem przekonanie, że nie robię nic złego. Andrzej wręcz zacierał ręce i powtarzał: „Będzie fajnie, będzie baaaardzo fajnie”. Oczywiście musiałem poprosić dyrektora zakładu o zgodę na organizację wystawy w klubie. Żeby nie skupił nadmiernej uwagi na Satyrykonie, prośbę o pozwolenie położyłem na jego biurko wśród wielu innych pism. Szef zgodę podpisał, niewykluczone, że z rozpadu.

Impreza była jeszcze w powijkach, gdy zaczęły dochodzić do mnie złe wieści od policjantów i pracowników służb czuwających nad prawomyslnością organizatorów i satyryków. Pewne podejrzenia, że rysownicy mogą śmiać się z ówczesnego ustroju, dotarły do dyrektora, dla którego temat PZPR był drażliwy. Kiedy więc zwróciłem się do niego, by zlecił hutnikom wykonanie satyrykonowych kluczyków, wziął mnie na rozmowę. „Panie! Co znowu za Satyrykon?! Kto panu dał pozwolenie na jego organizację?!” - zapytał nieco nerwowo. „Pan, panie dyrektorze” - spokojnie odpowiedziałem i wyciągnąłem podpisane przez

niego pismo. Łagodziłem obawy szefa, jak tylko mogłem. Uspokajałem, przekonywałem, że nie ma w tym nic groźnego, że to tylko takie wygłupy kabaretu Elita, a wszystkie rysunki będą ocenzone i o napaści na jedynie słuszny ustrój nie ma mowy.

„Noooo, doooooobrze, ale jeśli pan wpakuje nas w jakieś kłopoty, to wyrzucę z pracy na zbity pysk” - usłyszałem na koniec. Tym razem wyszedłem od dyrektora nieco zestresowany, ale ze zleceniem na wykonanie kluczyków satyrycznych. Tę piękną prowizorkę z miedzianej blachy hutnicy robili jeszcze w następnym roku.

Wszystkie zgromadzone prace rysowników wziął pod lupę cenzor. Oglądał je wiele razy i gdy nic podejrzanego ideologicznie nie znalazł, impreza ruszyła. Przetarliśmy tym samym szlak. W kolejnych latach organizowaliśmy w klubie wystawy rysunku satyrycznego i imprezę dla artystów-satyryków pod znaną legniczantom nazwą „Imieniny Bazylego”. Próbowali wcisnąć się na nią pracownicy „najważniejszych służb”, ale ich nie wpuszczaliśmy.

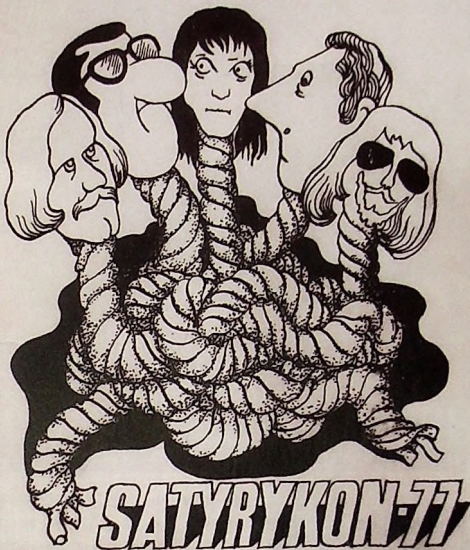
Satyrykon zaowocował rozległymi kontaktami i potem gościliśmy u siebie: Jana Kaczmarka, Andrzeja Waligórskiego, Włodzimierza Plaskotę, Wojciecha Manna, Krzysztofa Maternę czy Krzysztofa Daukszewicza. Z czasem impreza zadomowiła się na dobre, przestała być podejrzana i dla relaksu wpadali na nią, a raczej dyskretnie wchodzili, nawet sekretarze PZPR.

Choć w drugim roku główną wystawę przeniesiono do Muzeum Miedzi, do końca mojej pracy w klubie, obok Wojewódzkiego Domu Kultury, „Hutnik” miał niemały udział w organizacji tej imprezy.

■ Trudno było się wcisnąć

Zaczynałem pracę w klubie jako dwudziesto-kilkuletni chłopak z zapałem do działania. Moje plany znalazły uznanie związków zawodowych,

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY W LEGNICY MIĘDYZAKŁADOWY DOM KULTURY „HUTNIK” W LEGNICY



rysunek satyryczny, karykatura, żart rysunkowy
LEGNICA 13 - 23. IV. 1977 MZDK „HUTNIK” UL. ZŁOTORYJSKA 84

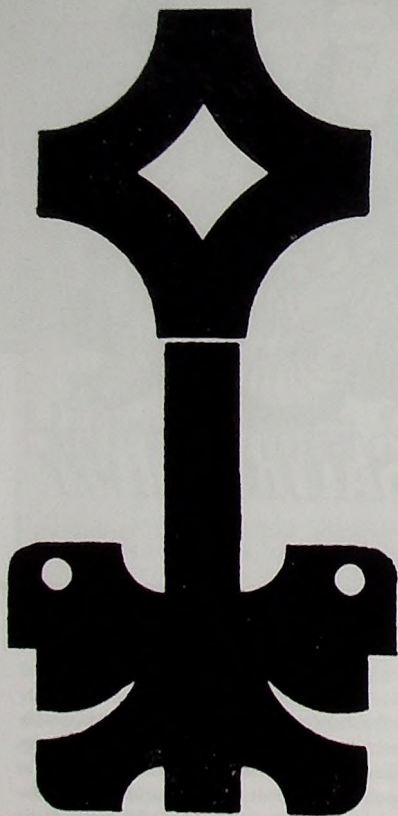
Okładka pierwszego katalogu Wystawy Rysunku Satyrycznego Satyrykon 77.

które wówczas miały w statucie zapis o upowszechnianiu kultury. Ich przewodniczący, Tadeusz Janiszewski, powiedział na jednym ze spotkań: „Panowie, dotąd zmienialiśmy w klubie kierowników jak rękawiczki, teraz dajcie temu młodemu człowiekowi popracować”.

Z przygotowanym planem poszedłem do dyrektorów huty Bartłomieja Zalewskiego i Władysława Jaśkiewicza. Usłyszałem wtedy coś, co trochę ostudziło mój zapał: „Wiemy, wiecieśmy proszę pana, co to jest kultura, ale hutnik musi mieć, gdzie się napić piwa”.

Choć potem nowy dyrektor i Społeczna Rada Działalności Kulturalnej, której przewodniczący Bolesław Dyduch, dyrektor Zespołu

Szkół Hutniczych, popierali moje pomysły, nie pozostało mi nic innego, jak pogodzić upowszechnianie kultury z piciem piwa. Ograniczyłem jednak jego sprzedaż do godziny 18, ale bufetowi i miłośnicy tego napoju szukali sposobu na obejście mojego zarządzenia. Któregoś dnia



Hutnicy przez pierwsze dwa lata Satyrykonu wyrabiali miedziane kluczyki - nagrody dla artystów.

przyszedłem do pracy i nie mogłem uwierzyć własnym oczom - w kawiarni, pod większością stolików stały skrzynki z piwem. Przed godziną 18 bywalcy kupili je na zapas, by móc potem pić

do późnego wieczora. A bufetowi przypominali mi, że nie są od kultury, lecz od handlowania alkoholem. Rozstałem się chyba z sześcioma z rzędu, bo nie mogłem przekonać ich, że picie piwa można ucywilizować. Przyznam jednak, że w niektóre dni „odpuszczałem”. Wtedy piwo lało się strumieniami, choć w mieście nie można go było uświadczyć. Z tego powodu ściągali tu nie tylko pracownicy huty, ale i wielu mieszkańców Legnicy. Pewne święta jak 1 Maja czy Dzień Hutnika, mieliśmy wręcz obowiązek obchodzić szumnie, wtedy trudno było się wcisnąć pod dach klubu.

Z drugiej strony muszę przyznać, że stali bywalcy powoli przekonywali się, iż alkohol nie zawsze być musi i z czasem nawet długiego koncertu śpiewaka operowego, Kazimierza Kowalskiego, potrafili wysłuchać bez sączenia piwa.

■ „Międzyzakładowy” tylko z nazwy

Klub, w którym pracowałem, cieszył się wśród mieszkańców Legnicy większą popularnością niż wśród pracowników Legmetu. A przecież Międzyzakładowy Dom Kultury Hutnik pod koniec lat 60. otwierano także z myślą o ludziach tej firmy. Okazało się jednak, że przedsiębiorstwo to nie włączyło się do współpracy, potem otworzyło własny klub. Funkcjonował on jednak dość krótko.

Szefostwo, zgodnie z nazwą „międzyzakładowy”, szukało chętnych, którzy chcieliby współfinansować działalność placówki. Wtedy zgłosiły się Zakłady Wyrobów Papierowych, opłacając etat pracownika gospodarczego. W zamian organizowały dla swoich pracowników zabawy choinkowe i uroczystości związane z Dniem Kobiet. Na tym nasza współpraca właściwie się kończyła. Tak więc Dom Kultury choć, miał w nazwie „międzyzakładowy”, przez długie lata służył głównie Hucie Miedzi.

Zakład utrzymywał niemały budynek klubu i opłacał prawie wszystkich pracowników. Na działalność kulturalną większość funduszy musieliśmy zdobyć sami i jednocześnie myśleć o zmniejszeniu kosztów. I w tym sensie już w głębokim socjalizmie zaznałem smaku kapitalizmu, choć nie byłem wtedy tego świadomy. Zarabialiśmy głównie na wynajmie pomieszczeń klubu na wesela i inne uroczystości. Pieńiądze przeznaczaliśmy na organizację imprez. Żeby zmniejszyć koszty występów artystów,

zapraszaliśmy ich wspólnie z Klubem Parnasik i z Empikiem.

■ Szarpidruły i filmowcy

W „Hutniku” zawiązały się sekcje muzyczna i filmowo-fotograficzna, obie były dość prężne. W pierwszej działały dwa zespoły Cuprum I i Cuprum II. Instruktorami ich byli: Walenty Makućewicz i Leszek Wawrzków, pracownicy huty. W Cuprum I, który przygrywał głównie na imprezach tanecznych dla pracowników zakładu, muzycy grali na organach, saksofonie i gitarze. Rockowy Cuprum II skupił się na udziale w konkursach i przeglądach.

Do klubu zgłaszało się wiele „bezdomych” zespołów. Przygarniałem wszystkie szarpidruły. W tym czasie nie było w mieście grupy muzycznej, która nie przewinęłaby się przez naszą placówkę.

Trudno też było w Legnicy o drugą tak dobrze wyposażoną sekcję filmowo-fotograficzną, jaka funkcjonowała wówczas w klubie. W naszej ciemni wywoływało zdjęcia wielu hutników, wśród nich Bogusław Kubicki, pracownik BHP, który robił zdjęcia na wszystkich ważnych zakładowych spotkaniach. Sekcję prowadził natomiast Józef Klenc, pracownik huty. Czasami o klućze do niej prosił znany legniczanom, nieżyjący już profesor Franciszek Pałka, który bawił się tym rodzajem sztuki, by później prezentować swoje zdjęcia na wystawach.

Sporo osób zajmowało się filmowaniem, zwłaszcza że firma finansowała zakup sprzętu, filmów, odczynników, na co nie było stać młodzieży z miasta, która tu chętnie ściągała. Uczyla się fotografować i filmować pod opieką instruktorów - Ryszarda Kwasińskiego, pracownika Legnetu i Józefa Krokoszyńskiego, pracownika huty.

Nie tylko zatrudnieni w zakładzie, lecz także wielu legniczan korzystało z naszej biblioteki, która liczyła około 5 tysięcy tomów. Pod koniec mojej



W Klubie „Hutnik” działało wiele zespołów muzycznych. Na zdjęciu zespół rockowy Cuprum II. Na środku Małgorzata Makućewicz solistka i Walenty Makućewicz (po prawej), kierownik zespołu. Rok 1982.

pracy, księgozbiór został przekazany do innych placówek, a bibliotekę zamknęto.

■ Comby i fajfy

W klubie, z założenia służącym integracji hutników, organizowaliśmy wydziałowe wieczorki taneczne, które rzadko kończyły się przed północą. Zapewnialiśmy nie tylko dobrą muzykę, ale i niezły bufet. Stoły nie świeciły pustkami, nawet w trudnych dla handlu czasach. Gdy towaru na półkach sklepowych było niewiele, u nas zawsze można było zjeść znakomity bigos i flaki - dyżurne potrawy polskiego stołu.

Trudno zliczyć comby i karczny odbywające się w „Hutniku”. W trakcie jednej z imprez ledwo ocaliłem drzwi wejściowe. Tradycyjnie na Comber Babski wstępu panowie nie mieli. Mimo to jednego roku gromadnie usiłowali na imprezę wtargnąć uczestnicy Karczny Pivnej, odbywającej się w tym samym czasie w Hucie Miedzi. Wówczas



Do ciemni fotograficznej „Hutnika” ściągala młodzież z Legnicy.

niewiele brakowało a kilkunastu chłopca, wyrwałoby drzwi do klubu. Na szczęście panie zgodziły się je otworzyć, inaczej impreza drogo by nas kosztowała.

Z organizacji popularnych, tak zwanych fajfów, a potem dyskotek mieliśmy niemałe, jak na tamte czasy, wpływy. Chętnie przychodzili na nie także Rosjanie, zwłaszcza że w bliskim sąsiedztwie klubu mieściła się radziecka straż pożarna. Wpadali do nas po cywilnemu oficerowie radzieccy, żeby „paguljat”. Obawialiśmy się ich trochę, bo nigdy nie było wiadomo, czy któryś nie ma przy sobie broni, i co może im przyjść do głowy po wypiciu kilku piw. Szeregowych żołnierzy w ogóle nie wpuszczaliśmy do środka, oglądali imprezy przez szyby, stojąc na tarasie klubu.

W Dzień Kobiet, obchodzony w tamtych czasach obowiązkowo i uroczyście, panie szalały u nas do woli. Tylko trochę spokojniejsze były pożegnalne imprezy organizowane tu przez hutników odchodzących na emeryturę. Do historii przeszła wystawna impreza, którą zorganizował kolegom dyrektor Bartłomiej Zalewski.

■ Rodowicz na Miedzi

Choć największa sala klubu mieściła powyżej 90 osób, zwykle na spotkania autorskie i koncerty przychodziło znacznie więcej chętnych. Żeby wpuścić wszystkich, otwieraliśmy drzwi na taras, tak jak na koncercie Maryli Rodowicz, będącej wówczas u szczytu sławy. Zamówiliśmy u niej aż dwa koncerty z rzędu, mimo to publiczności nie sposób było zmieścić pod dachem.

Piosenkarka była wówczas w ciąży i zależało jej na przyciemnionych światłach, by nie rzuciło się to w oczy. Kiedy kończyła śpiewać i ludzie bili brawo, musiałem zapalić reflektory. Niestety zrobiłem to zbyt wcześnie i jasno oświetliłem to, co artystka chciała ukryć. Usłyszałem potem od niej: „Cholera, źle to wyszło”.

Gościliśmy też u siebie Polę Rakę, wówczas słynną Marusię z filmu „Czterej pancerni i pies”. Odwiedziła hutników Beata Tyszkiewicz, o swoim życiu i pracy opowiadał Jan Stanisławski od „mniemanologii stosowanej”. Sporo osób przyszło na spotkanie ze Stanisławem Mikulskim, czyli J23 ze „Stawki większej niż życie”, a także z Krzysztofem Kolbergerem. Ale chyba największej przyjemności sprawił pracownikom koncert Janusza Laskowskiego. Przyjechał do nas z pamiątkowymi „Kolorowymi jarmarkami”, a na jego występ nawet dyrekcja huty pofatygowała się w komplecie.

Andrzej Kopiczyński, czyli przystojny inżynier Karwowski z „Czterdziestolatka”, zgromadził - jak pamiętam - głównie damską publiczność. Kiedy przed nocą zbierał się do odjazdu, okazało się, że kierowca zatrzasnął drzwi samochodu, w którym zostawił kluczyki do „garbusa”. Nijak nie mogliśmy ich otworzyć. Po dwóch godzinach zmagani zadzwoniłem na milicję z prośbą o pomoc. Mundurowi trochę się zdziwili, przysłali jednak specjała od zamków, dopiero on wybrał nas z kłopotu.

Tym sposobem Kopiczyński „już” koło północy wyjechał z Legnicy.

■ Miedź dla teatru

Współpracę z legnickim Teatrem Dramatycznym nawiązałem zaraz po tym, jak huta tej instytucji oddała nieocenioną przysługę. Zakład

deonistów, czasem orkiestry górnicze. Każdego roku hutnicy przyprowadzali swoje dzieci na zabawy choinkowe i imprezy z okazji Dnia Dziecka.

Po kilkunastu latach mojej pracy, w dyrekcji pojawił się człowiek rodem z milicji, który miał odmienną od mojej wizję kultury - znowu najważniejsze stało się piwo. Wtedy zacząłem



Jedną z form rozrywki były przedstawienia teatralne dla dzieci.

przekazał sporo miedzianej blachy na pokrycie, remontowanego wówczas budynku. W tym czasie bliżej poznałem ówczesnego dyrektora teatru Janusza Sykutere, wpadliśmy na pomysł zorganizowania spotkania hutników z aktorami. Jedni opowiadali, jak pracują nad przedstawieniami, drudzy w rewanżu pokazali jak z rudy otrzymuje się miedź. Potem długo jeszcze dostawaliśmy od teatru zaproszenia dla pracowników zakładu na premiery i ulgowe bilety na przedstawienia, także dla dzieci i młodzieży. A ówczesny pracownik teatru Włodzimierz Kaliski, systematycznie organizował dla nich spotkania i zapoznawał z pracą aktorów na scenie.

Ludzie związani zawodowo z hutą chętnie przychodzili na imprezy, które nazywałem „spotkaniami bez fajerwerków”. Były to spokojne formy rozrywki dla emerytów. Regularnie koncertowali u nas uczniowie legnickiej szkoły muzycznej, klubowego dziecięcego zespołu akor-

deonistów, czasem orkiestry górnicze. Każdego roku hutnicy przyprowadzali swoje dzieci na zabawy choinkowe i imprezy z okazji Dnia Dziecka.

Gdy jakiś czas potem zająłem do „Hutnika”, w kawiarni nie było już bufetu, a na środku sali stał tylko stół do ping-ponga. Najładniejszym pomieszczeniem w budynku stała się utworzona w piwnicy piwiarnia, sądząc po wystroju, kosztowała hutę немало. Po 1986 roku, to jest po moim odejściu, klub funkcjonował jeszcze kilka lat, potem zaczął świecić pustkami. Dzisiaj budynek popada w ruinę.

Jestem już na emeryturze, uczę gry na akordeonie dzieci z mojego spółdzielczego osiedla. Przy sprzyjającej pogodzie spotykamy się pod chmurką, w pobliżu domów. Z działalnością kulturalną nie zerwałem. W bibliotekach i przedszkolach nieodpłatnie organizuję dla dzieci spotkania pod hasłem „Moje małe muzykowanie”, na których zapoznają je z różnymi instrumentami. ■

Zdarzały się sytuacje dramatyczne. Pamiętam górnika, któremu kotwa niemal urwała nogę. Lekarze jakoś mu ją uratowali, ale ten człowiek do dziś nie odzyskał pełnej sprawności. Podczas mojej pracy w górnictwie nie zdarzyło się, żeby w razie wypadku ktoś odmówił koledze pomocy. To się robi instynktownie.

*Mirosław Zbieroń,
szygar zmianowy
górnico-maszynowy
ZG Polkowice. Pracował
w latach 1974-1999*



To więcej niż zwykły szyb

Miał montować samochody ciężarowe „stary” w słynnej Fabryce Samochodów Ciężarowych „Star”, w Starachowicach. Z tą myślą skończył technikum mechaniczne o specjalności - obróbka skrawaniem. Po szkole przyjęli go do „Stara” - przed wojną była to fabryka zbrojeniowa, potem powstawały tu polskie samochody ciężarowe. Ale gwiazda „Stara” gasła z każdym rokiem - nie obiecywała świetlanej przyszłości. W Starachowicach nie miał też widoków na mieszkanie, na które czekał w spółdzielni mieszkaniowej. Szanse na przydział ledwie się rysowały i to dopiero po odczekaniu dwudziestu lat. Dwadzieścia lat życia dla kogoś, kto ma niewiele więcej, znaczyło niemal całą wieczność.

- Miałem dość tego ciągłego czekania - wspomina Mirosław Zbieroń. - Byłem już żoną, potrzebny był nam własny kąt.

W tym czasie, w zachodniej Polsce, powstawało zagłębie miedziowe. Potrzebowano tam takich, jak on. I dawali to, czego mu było brak

- mieszkania. Ale nie od razu. Może by tak było, gdyby przyjechał tu z dziesięć lat wcześniej.

Zbieroń przyjechał do Polkowic w 1974 roku. Na ponad dwa lata, do czasu otrzymania własnego lokum, zamieszkał z żoną w hotelu robotniczym. Ale wprawdzie wcześniej sam przyjechał, żeby urządzić przydzielony im pokój. Znalazł też pracę dla żony w biurze głównego mechanika na „Rudnej”, gdzie miała się zajmować zezwoleniami i uprawnieniami dla spawaczy.

■ Pomaga się instynktownie

Od pierwszego lutego podjął pracę w ZG Polkowice. Został mechanikiem maszyn dołowych na Szybie Głównym. Pamięta swój pierwszy zjazd na dół.

- Obyło się bez jakichś specjalnych emocji - opowiada. - Nie obawiałem się o bezpieczeństwo, ale przytłaczał mnie półmrok, brak światła, brak słońca. Jednak szybko przywykłem do pracy przy sztucznym świetle, często tylko z lampą górniczą.

Rok 1978. Mirosław Zbieroń (po prawej) na wycieczce zakładowej w Warszawie oraz kierownicy: Jan Zańko i Zbigniew Szabla.



Na dole mechanicy muszą być wszędzie tam, gdzie górnicy. Wkraczają do akcji, kiedy się coś zaczyna albo całkiem przestaje działać.

– Byłem mechanikiem od maszyn wierzących – wspomina. – Stykałem się nie tylko z uszkodzonymi czy zepsutymi maszynami i urządzeniami, ale także z powypadkowymi. Niekiedy było się przy maszynie tuż po zdarzeniu. To oczywiste, że nie myślało się wtedy o maszynie, tylko o człowieku, który uległ wypadkowi. Byliśmy przeszkoleni w udzielaniu pierwszej pomocy. Robiliśmy, co trzeba, a potem przewoziliśmy rannego pod szyb. Zdarzały się sytuacje dramatyczne. Pamiętam górnika, któremu kotwa niemal urwała nogę. Lekarze jakoś mu ją uratowali, choć do dziś nie odzyskał pełnej sprawności. Przez lata pracy w górnictwie nie zdarzyło się, żeby w razie wypadku ktoś odmówił koledze pomocy. To się robi instynktownie.

W górnictwie tak jest, że każdemu może się coś zdarzyć. Dlatego w takich trudnych chwilach nikt się nie oszczędza.

■ Autobusem do komory

Zbieroń jeździł na dół najpierw na poziom 810 a potem na 850 szybem P-1 (Polkowice Główne). Kawał drogi trzeba było przejechać do „podziemnego warsztatu”. Wcześniej – samojednym wozem transportowym (SWT), później autobusem – było już szybciej i znacznie wygodniej.

Awarii było sporo, toteż na jednej zmianie pracowało 30-40 osób, które zajmowały się ich usuwaniem. Zdarzały się na oddziałach, ale czasem i w samym przodku. Na dole odbywały się też przeglądy techniczne maszyn, wtedy operatorzy przyprowadzali je do komory remontowej.

- Tu już mogliśmy robić wszystko, łącznie z wymianą silnika - wspomina M. Zbieroń. - Po tem te zadania przejął „Zanam”, bo już Polkowice Wschodnie nie było. Od początku chcieliśmy tam ustawić choćby jakiś kamień z odpowiednim napisem w miejscu dawnego szybu. Była nawet petycja w tej sprawie.

Dziś dawny szyb upamiętnia kopalnia wózek opatrzonego tablicą informacyjną.

- Dla nas to było coś więcej niż zwyczajny szyb - dodaje pan Mirosław. - Tam, na powierzchni, spotykaliśmy się również towarzysko, na strzelnicy. Robiliśmy zawody w strzelaniu z wiatrówki. Wiele wspomnień wiąże się z tym miejscem.

■ Szwedzkie wyparły radzieckie

Zmieniają się kopalnie - jedne szyby powstają, inne znikają, ale największy skok dokonał się w sferze techniki wydobywczej. Dzisiejsze nowoczesne wyposażenie i maszyny ani trochę nie odstają od poziomu światowego.



Szttygar Zbieroń był mechanikiem od maszyn wiercących - pamięta jeszcze pierwsze wiertnice SBU produkcji radzieckiej.

- U nas 90 proc. robót górniczych, a może nawet więcej, jest zmechanizowanych - mówi M. Zbieroń. - Tu się ręcznie prawie niczego nie robi.

Szttygar Zbieroń pamięta, że pierwsze wiertnice SBU pochodziły jeszcze ze Związku Radzieckiego. Nie grzeszyły wydajnością, ale w tamtych czasach innych po prostu nie było. Przynajmniej tutaj, w zagłębiu miedziowym. Z czasem wiertnice radzieckie zastąpiły szwedzkie albo te produkowane przez firmę Boart z Południowej Afryki.

Później KGHM zakupił nowoczesne kruszarki z Niemiec, które kruszą urobek a dalej podawany jest on przenośnikami taśmowymi. Podziemny park maszynowy to wciąż żywa historia zagłębia miedziowego. Zmieniały się marki, modele. Coraz więcej, w coraz krótszym czasie. Mechanicy od maszyn musieli je wszystkie poznać, by potem naprawiać, jak coś się zacinało.

- Kiedy korzystaliśmy z francuskich wiertnic firmy Secoma - mówi pan Zbieroń - to początkowo do napraw przyjeżdżał serwis z Francji. Zawsze był wśród nich jeden pracownik polskiego pochodzenia, z którym mogliśmy się dogadać.

■ Zamawialiśmy oddziałowe kufle

- Zawsze mieliśmy fajną brygadę - wspomina. - Na oddziale było nas kilkadziesiąt osób. Potrafił się zorganizować i razem jeździliśmy na wycieczki, do Rzeczek albo do Jeleniej Góry. Nie potrzebowaliśmy do tego żadnych związków zawodowych ani działów socjalnych. Pracował z nami masarz. Zrezygnował ze swojego zawodu, bo bardziej się opłacało pracować w górnictwie. Ach, jakie on robił na nasze imprezy kielbasy, kaszanki i inne wyroby! Palce lizać!

Nie znaczy to, że z kolegami wszystko zawsze układało się gładko. Zdarzały się zgrzyty i kłótnie. Najczęściej o urlop.

- Każdy chciał gdzieś wyjechać w czasie wakacji, szczególnie, gdy się miało dzieci - wspomina Zbieroń i przyznaje, że kawalerowie byli poszkodowani. Musieli jechać na urlop w czwartku.

- Na Karczmie Piwne zamawialiśmy sobie kufle z napisem: „ZG Polkowice G-14” (GM-14 działał w jego ramach - red.). Tego w innych oddziałach nie było - przekonyuje pan Mirosław.

■ Coraz rzadziej huśta

Po tych wspólnych wyjazdach pozostały wspomnienia i spotkania, dziś już w gronie emerytów i rencistów. Na emeryturę Mirosław Zbieroń przeszedł w lipcu 1999 roku.

– I tak jakoś zleciało te 40 lat w Polkowicach! – mówi uśmiechając się. – Do dziś mieszkamy z żoną w tym naszym pierwszym mieszkaniu na osiedlu Krupińskiego. Tu się wychowały nasze dzieci. Od czasu do czasu trochę nas tutaj „po-huśta”, zachwieją się żyrandole, ale w ostatnich latach już coraz rzadziej się to zdarza. Widać na dole robota odchodzi od głównego filaru, na którym leży miasto. Zawsze w takich momentach, gdy zatrzęś się, myślę o tych, którzy pracują pod ziemią, czy tam się coś złego nie stało. Ja miałem szczęście – mnie ominęło tąpnięcie. Nie przydarzył się mi też żaden groźny wypadek.

■ Związek wciąga

Mirosław Zbieroń mocno zaangażował się w działalność Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów byłych Pracowników KGHM PM S.A. Od 2006 roku pracuje w nim społecznie, a od 2010 (również społecznie) kieruje rejonem polkowickim związku.

– Organizujemy imprezy dla emerytów – mówi. – Przeważnie są to spotkania na pożegnanie lata, wycieczki rowerowe, zawody na kręgielni. Ale też wczasy i wyjazdy czysto turystyczne. A przed świętami Bożego Narodzenia dzielimy się opłatkiem. Przychodzi około 100 osób – tyle, ile się zmieści w naszej sali w Polkowicach.

Biesiady przyciągają znacznie więcej osób, bo nawet i z 500 przyjeżdża, czasem do Głogowa, a czasem do Lubina czy Polkowic. Działalność związku wspomaga Fundacja Polskiej Miedzi i „1 procent” odpisu od podatku.

Przewodniczący polkowickiego oddziału „kombinackich” emerytów przyznaje, że ta praca społeczna mocno go wciągnęła.

– To taki mój wolontariat – żartuje i dodaje: – Ale mam jeszcze jedną pasję. Od dziecka interesowałem się elektroniką; sam montowałem kie-

dyś radyjka, a potem przyszedł czas na elektronikę cyfrową. Po pierwszy komputer Commodore 64 jechałem aż do Berlina.

Z czasem zaczął sam składać swoje kolejne komputery (już „pecety”).

– Wszystkie części można było wtedy kupić na giełdzie, na Politechnice Wrocławskiej – mówi. – Dzisiejsze telefony komórkowe przewyższają je



Na emeryturze Mirosław Zbieroń zaangażował się w działalność Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów byłych Pracowników KGHM PM S.A.

pod względem pamięci. Ale wtedy, to było coś!

Ale to „coś” okazało się też potrzebne. Najpierw dla tych z Polkowic założył stronę internetową, a potem dla całego związku.

– I do dzisiaj nią administruję – przyznaje Mirosław Zbieroń. – Jest tam sporo zdjęć, są bieżące informacje o działalności związku i historia.

– Ale na tych zdjęciach mnie nie ma – uśmiecha się. – Dlaczego? Bo zazwyczaj jestem po drugiej stronie obiektywu. Ktoś przecież musi „pstrykać” fotki.

Zainteresowanych zaprasza na <http://emeryci-kghm.com.pl/>

Po latach Mirosław Zbieroń stwierdza, że w ciągu tych czterdziestu lat „jakoś wrastało się w tę miedź”. Jedna z córek osiedliła się pod Wrocławiem, jest fotografem, a druga, związana z „Mercusem”, mieszka w Głogowie. Jej mąż pracuje na „Rudnej”, na przeróbce. ■

Kiedy w 1974 roku zatrudniłam się w KGHM, dyrektorem kombinatu był Tadeusz Zastawnik. Gdy odchodziłam na emeryturę w 2007 r., wiceprezesem, a potem prezesem Polskiej Miedzi był Herbert Wirth. Współpracowałam więc ze wszystkimi szefami firmy. Zaczynałam pracę w dwupiętrowym budynku, a kiedy po latach kończyłam, siedziba była o dwa piętra wyższa.

*Krystyna Kędroń,
Główny Inżynier
w Departamencie
Górnictwa KGHM.
Pracowała w Biurze
Zarządu w latach
1974-2007*



Nie byłam bezimienna

Krystyna Kędroń niemal od urodzenia mieszka w Lubinie. Pamięta miasto liczące zaledwie kilka tysięcy mieszkańców, w którym na każdym kroku spotykało się kogoś znajomego. Kiedy po studiach, w 1974 roku, wróciła z Krakowa do rodzinnego domu, w Lubinie żyło już około 47 tysięcy ludzi; przyjeżdżali tu z całej Polski za mieszkaniem i dobrze płatną pracą.

Zatrudniła się w KGHM, który po jakimś czasie, przydzielił jej, a raczej, jak to określa - wciśnął niewielkie mieszkanie z ruchu ludności. Nie była nim usatysfakcjonowana, po latach jednak zrekompensowała to sobie z nawiązką. Dziś mieszka w domku jednorodzinnym, w podlubińskimie wsi i z upodobaniem pielęgnuje ogród.

– Kiedy zabierałam się do budowy domu, mój szef, wiceprezes Tadeusz Szelaż powtarzał: „Nie dasz sobie rady kobieto”. Natomiast kolega z pracy Andrzej Katulski zachęcał: „Buduj się Krystyna. Nie martw się, poradziś sobie”. Zaczęłam więc stawiać dom z moich tylko poborów, na szczęście była to pensja „kghm-owska”. Gdybym

pracowała w innej firmie, nie porwałabym się na takie wydatki – przekonuje Krystyna Kędroń.

Na piętrze domu ma pokój, który można by nazwać kombinackim. Pełno tu dokumentów i pamiątek z czasu jej studiów, przede wszystkim jednak z okresu pracy zawodowej i działalności w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Górnictwa. Wśród nich jest szpada za zasługi i kordzik, który dostała na 40-lecie pracy zawodowej.

■ Pasowana na górnika

Studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie rozpoczęła w 1968 roku. Na Wydziale Górniczym, wśród 320 studentów było 40 kobiet, w tym cztery z Lubina. Niektórzy wykładowcy przygadywali im, że wybrały tę uczelnię, tylko po to, by znaleźć męża.

Studentek Wydziału Górniczego nie rozpieszczali też przyszli pracodawcy. Kiedy z firm przychodziły na AGH propozycje stypendiów fundowanych, w tabeli płeć zawsze widniało M, czyli męczyzna. Nic dziwnego, że niektóre ab-

solwentki nie mogły znaleźć pracy, zwłaszcza że nie obowiązywał już system nakazowy. Dlatego, jako starościna roku, pani Krystyna walczyła o ograniczenie liczby studentek przyjmowanych na ten wydział.

W krajach zachodnich kobiety studiujące górnictwo budziły w tamtych latach jeszcze większe zdziwienie, o czym Krystyna Kędroń przekonała się, kiedy w nagrodę za pracę społeczną i dobre wyniki w nauce pojechała na wycieczkę po Europie Zachodniej. W niemieckiej prasie podkreślano wtedy, że wśród komunistów, którzy ich odwiedzili, są kobiety studiujące górnictwo.

Na Barbórcie, jako jedna z nielicznych, została pasowana na górnika, co było niemałym wyróżnieniem. Po drugim roku studiów wybrała specjalizację inżynieryjno-ekonomiczną, którą zwano dyrektorską. Wtedy budowa nowego zagłębia miedziowego szła już pełną parą, liczyła więc na to, że gdy wróci do Lubina, będzie na nią czekał etat. Pracę dyplomową poświęciła ZG Lubin, na początek szukała jednak zajęcia w ZG Rudna, które wówczas budowano.

■ Ostatnie vademecum podała

- Wracałam do Lubina pełna energii, a tu od razu doznałam porażki. Dyrektor ZG Rudna Włodzimierz Mięśowicz nie przyjął mnie do kopalni, choć studiowałam z myślą o pracy w tym miejscu. Wychodząc z jego gabinetu, spotkałam dyrektora Jasińskiego, który zaproponował mi etat w zaopatrzeniu. Nie widziałam tam siebie, pojechałam więc do Biura Zarządu, do dyrektora do spraw pracowniczych Erazma Orzechowskiego. Ten mnie wysłuchał i uspokoił: „Dziecko nie denerwuj się, przyjmujemy cię do nas” – wspomina Krystyna Kędroń.

Została zatrudniona na stanowisku specjalisty w wydziale planowania produkcji, gdzie naczelnikiem był Zbigniew Częścik. Na korytarzu nieraz miała okazję widywać najważniejszego szefa, dyrektora Tadeusza Zastawnika, który pierwszy kłaniał się nawet stażystkom. Na towarzystwo w pracy nie narzekała, bo siedziała biurko w biurko z Alicją Wójcik i Zoją Furmaniak - z pochodzenia Rosjanką, żoną polskiego inżyniera, który studiował w Moskwie. W tym czasie - jak pamięta - takie mieszane małżeństwa w zagłębiu miedziowym nie należały do rzadkości.

Zaczynała pracę godzinę wcześniej niż zatrudnieni w zjednoczeniu, tak by przekazywane



Barbórka na AGH. Pani Krystyna przygotowuje się do skoku przez skórę podczas pasowania na górnika. W trakcie ceremonii potknęła się, ale przed upadkiem uchronił ją obecny na uroczystości ówczesny wicepremier Mitręga. 1969 rok.

im codziennie meldunki, były gotowe, zanim w Katowicach otworzą biuro. Gromadziła dane z kopalń i hut, wpisując ołówkiem do tabel miesięczne plany produkcji w układzie dobowym.

- Pod koniec każdego miesiąca robiłam kopię tego dokumentu, a z oryginału wymazywałam zapisane ołówkiem dane. W ten sposób odyskiwałam „druk”, bo przygotowywanie nowego było żmudne. Na tym samym dało się pracować jednak tylko przez trzy miesiące – opowiada dzisiaj z rozbawieniem pani Krystyna.

Raz na kwartał dostawała bilanse produkcyjne z hut. Przez jej ręce przechodziła cała statystyka

ka produkcji: plan, wykonanie, wskaźniki ekonomiczne i kosztowe. Analizowała dane ukazujące, ile miedzi ubywa na każdym etapie produkcji albo, ile pozyskuje się pierwiastków towarzyszących. Jeśli górnicy zgłaszali zmiany w planie, konsekwentnie wprowadzała je w hutnictwie. Dopadała ją niekiedy rutyna, ale urozmaicheniem pracy był kontakt z wieloma górnikami i hutnikami, między innymi z Bolesławem Banasiem, Jackiem Cwynarem, Alfredem Wolczyńskim.



Krystyna Kędroń, (po prawej) na studenckiej biesiadzie piwnej, (w środku Bożena Kaplińska, była pracownica KGHM). 1971 rok.

Kiedy zaczynała staż, w wydziale pracowano na „kręciolkach”. Zanim wykonała na nich jakieś działanie, musiała ręcznie ustawić cyfry. Potem zakupiono niemałych gabarytów maszyny do liczenia, które włączone robiły niemiłosierny hałas.

– Teraz naciskasz klawisz i wszystko masz – zachwyca się komputerami pani Krystyna, tym bardziej, że przez lata sporządzała ręcznie dla dyrektorów tak zwane vademecum. Pokazywało ono nie tylko comiesięczną produkcję, ale też jakie były koszty, zatrudnienie i zysk pięć lat wstecz.

– Któregoś dnia okazało się, że to co robię, nie ma już racji bytu, bo moją żmudną pracę zastąpiły dane z komputera. Pamiętam, że ostatnie opracowane przeze mnie vademecum podarłam i wyrzuciłam – Krystyna Kędroń przytacza sytuację sprzed wielu lat.

Z czasem planowanie przeniesiono z pionu ekonomicznego do technicznego. Kompeten-

cje pani Krystyny się nie zmieniły, zmienił się natomiast szef, bo jej bezpośrednim przełożonym został Kazimierz Mrozek. W planowaniu produkcji zatrudniona była około 15 lat. Później, pod wpływem ówczesnej wiceprezes zarządu Katarzyny Muszkat, zajęła się planowaniem sprzedaży, analizą ekonomiczną i sprawozdawczością. Pracowała tam do roku 1996 pod kierownictwem Aleksandry Stępień. Ale jej najbardziej ulubiona działka, jak mówi z perspektywy lat, była jeszcze przed nią.

■ Tu czułam się potrzebna

Zanim w 1996 roku została głównym inżynierem do spraw szkoleń i środowiska pracy, przeszła półroczne szkolenie w Państwowej Inspekcji Pracy. Swojego szefa Jana Michałowskiego, wieloletniego głównego inżyniera ds. BHP, wspomina bardzo dobrze.

– Świetnie się z nim pracowało, bo był twórczym, konkretnym człowiekiem, który rzucił hasła i zaraz je realizował we współpracy z oddziałami górniczymi i hutniczymi. Potrafił też stworzyć dobrą atmosferę pracy. Kiedy non stop śleczeliśmy nad księgą bezpieczeństwa, która do dzisiaj funkcjonuje w kopalniach, zabrał nas na trzy dni do ośrodka poza miastem i zadbał nawet o pełną lodówkę – wspomina Krystyna Kędroń.

Przez lata reprezentowała KGHM, uczestnicząc w licznych konferencjach tematycznych, jeździła na wystawy związane z BHP, także zagraniczne. Była członkiem Dolnośląskiej Komisji Ochrony Pracy i przedstawicielką Polskiej Miedzi na Forum Liderów Bezpiecznej Pracy przy Centralnym Instytucie Ochrony Pracy w Warszawie.

Jedno z takich posiedzeń odbyło się we Wrocławiu. Uczestnicy spotkania na jeden dzień zjechali do KGHM. Zaprezentowała im stosowane w kombinacie rozwiązania, ratownicy natomiast dali pokaz swojej sprawności i pochwalili się doskonale wyposażoną karetką pogotowia górniczego.

– Było to pamiętne spotkanie, bo goście byli zachwyceni, a ja wreszcie poczułam się ważna – śmieje się pani Krystyna.



Po meczu piłkarskim rozegranym między ekonomistami a technikami z Biura Zarządu. Panie udzielały zawodnikom pomocy medycznej. Na dole, od lewej: Małgorzata Parchimowicz (Pytlarz), Elżbieta Cwynar (Pyka), Krystyna Kędroń. Na górze od lewej: Jan Zbieroń - kadrowiec, Bożena Koniczyńska, Ewa Dziadach (Miller), Mirosława Rolnicka, Zdzisława Kraśkiewicz (Tursa), Elżbieta Rot. II połowa lat 80.

W BHP otarła się o ulubione zagadnienia techniczne, pracowała jednak głównie nad przepisami. Stare trzeba było dostosowywać do zmieniających się warunków, uwzględniając jednocześnie prawo górnicze, geologiczne, budowlane, energetyczne i Kodeks pracy.

– Nie zawsze było łatwo, bo przepisy czasem okazywały się niespójne. Mimo to lubiłam swoje zajęcie, bo tu czułam się potrzebna, wcześniej nie zawsze miałam takie przeświadczenie. Opracowywałam też przepisy dotyczące szkoleń behawioralnych w całej spółce i zarządzenia związane z doszkalać zawodowym. Jestem jednym z autorów przepisów wewnętrznych o praktykach uczniów i studentów – wyjaśnia.

– Na emeryturę przeszedłam ze stanowiska głównego inżyniera w Departamencie Górnictwa. Kiedy w 1974 roku zatrudniłam się w KGHM, dyrektorem kombinatu był Tadeusz Zastawnik. Gdy odchodziłam na emeryturę

w 2007 roku, wiceprezesem Polskiej Miedzi był Herbert Wirth, który potem został jej prezesem. Współpracowałam więc ze wszystkimi szefami kombinatu. Zaczynałam pracę w dwupiętrowym budynku, a kiedy po latach kończyłam, siedziba była o dwa piętra wyższa – podsumowuje Krystyna Kędroń.

■ Combrzy i barbórki

Choć z czasem odnalazła się w BHP, długo ubolewała nad tym, że nie pracuje w kopalni, bo panująca tam atmosfera bardziej ją pociągała. Po wysłuchaniu niejednej opowieści o Combrach Babskich organizowanych w zakładach górniczych, skrzyknęła do tej zabawy panie zatrudnione w Biurze Zarządu.

Pierwszy ich comber odbył się w ratuszu miejskim, w którym mieścił się klub Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa. Wejść tam można było tylko po okazaniu karty wstępu, ale



Forum Liderów Bezpiecznej pracy przy CIOP. Na zdjęciu: Krystyna Kędroń (druga od lewej), goście i ratownicy z Jednostki Ratownictwa Górniczo-Hutniczego w Sobinie. Lubin 1999 rok.

pani Krystynie Kędroń, wieloletniemu sekretarzowi i skarbnikowi Oddziału Lubin, SITG chętnie użyczyło swojej siedziby.

– Prowadziłam pierwszy comber z pomocą szefowych dwóch ław: Henryki Tobiasz i Ewy Miller. Żeby panować nad rozbawionymi damami, zabrałam ze sobą „dyscyplinujący” tłuczek i patelnię. Były to lata, w których o mikrofon było niełatwo, więc tak zdarzyłyśmy sobie gardła, że jeszcze trzeciego dnia po imprezie nie mogłyśmy wydobyć z siebie głosu – wspomina pani Krystyna.

Od tego czasu stara się być obecna na wszystkich combrach i nie stroni od barbórkowej biesiady dla członków SITG, która zawsze odbywa się w styczniu na Rudnej Główniej.

Nie sposób było bowiem wcisnąć tej imprezy do kalendarza w „zapchanym” spotkaniach grudniu, zwłaszcza że zjeżdża na nią około 400 osób z piętnastu kół działających w firmach związanych z KGHM.

– Przez wszystkie lata pracy i współpracy energicznie działałam i nie byłam bezimienna; nie tylko uczestniczyłam niemal we wszystkich zakładowych imprezach, w seminariach, spotkaniach pokoleń, ale byłam też ich współorganizatorką, prawą ręką Andrzeja Katulskiego – przypomina.

Nie odpuszczała też wspólnych wyjazdów. W pierwszą zagraniczną podróż z KGHM pojechała do Algierii, kiedy PeBeKa drażyło w tym kraju tunele. Koledzy z tej firmy, w tym Stefan Furmaniak, Zbigniew Warczewski urządzili im przyjęcie i przenocowali w pracowniczym hotelu. W rewanżu dostali trochę polskiej wódki. Zanim pani Krystyna wróciła do kraju, zaliczyła jeszcze podróż po pustyni i wybrzeżu. Z Polską Miedzią zwiedziła też w 1998 roku Włochy, rok później Wielką Brytanię, a na koniec pojechała z KGHM na 10-dniowe wczasy do Izraela. Natomiast z SITG wybrała się do Chile. Tam gościła ich bliźniacza organizacja, której szefem przez

długie lata był Polak z pochodzenia. Wtedy zwie-
dzili też Wyspę Wielkanocną, bo słusznie prze-
widywali, że taka okazja może się nie powtórzyć.

■ Ciągnęło ją do „papierków”

Od szkoleń i dokształcania nigdy się nie
uchylała, dlatego oprócz zajęć etatowych za-
wsze miała coś dodatkowego do roboty. Prowa-
dziła w kombinacie kasę PKO, której była ajen-
tem. Przez jej ręce często przechodziła niemała
gotówka.

– Czasami znajomi pytali, czy nie kusi mnie,
by sobie wziąć kilka banknotów. Nigdy nie przy-
szło mi to na myśl, dla mnie był to zwykły pa-
pier, pieniądze to było
dopiero to, co miałam
w portfelu – zapewnia
pani Krystyna.

Ten „zwykły pa-
pier” wozila do banku
„maluchem”, na któ-
ry dostawała z firmy
przydział paliwa, co
w stanie wojennym
było przywilejem.
A kiedy gotówki było
sporo, do samochodu
wsiadał z nią strażnik.
Podróżowanie z pie-
niężdmi się skoń-
czyło, gdy przelewy
zaczęto robić przez
Internet.

Po latach pracy
w kombinacie, zrobiła
kurs samodzielnych
księgowych w Mie-

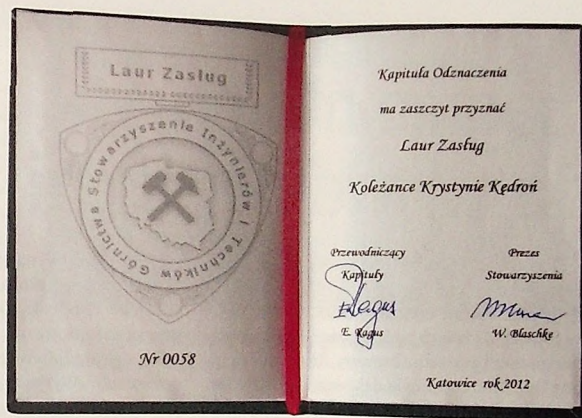
dziovym Centrum Kształcenia Kadr i wtedy
rozwiązał się worek z propozycjami. Ówczesny
prezes KGHM Stanisław Siewierski powierzył
jej prowadzenie księgowości Związku Praco-
dawców Polska Miedź. Czuwała też nad fi-
nansami Stowarzyszenia Sportu i Rekreacji
Zagłębia Miedziowego, powołanego dla sfinan-
sowania i zamontowania oświetlenia stadionu.
Nadal jest księgową Lubinńskiego Stowarzysze-
nia „Równe Szanse”. Trzy lata temu poproszono
ją, by przejęła prowadzenie księgowości Związ-
ku Zawodowego Pracowników Przemysłu Mie-
dziowego, a potem księgowości Stowarzyszenia
Techników Górniczego Rud.

Przez jakiś czas wykladała w MCKK pod-
stawy matematyki i elektrotechniki. Pamięta
jak zżerała ją trema przed pierwszym wystą-
pieniem, bo w sali siedziało „pięćdziesięciu
chłopa”. I wtedy z pomocą przyszedł Stanisław
Leja, który poczęstował ją 50 gramami wódki.
Poskutkowało.

■ Laur zasług

Choć Krystyna Kędroń przeszła już formalnie
na emeryturę, wciąż jest bardzo aktywna.

W tym roku na kolejnych pięć lat powierzono
jej funkcję skarbnika lubinńskiego oddziału SITG.
Nadal prowadzi księgowość kilku innych stowa-



Krystyna Kędroń jako jedyna kobieta w Polsce, otrzymała w 2012 roku,
z okazji 100-lecia stowarzyszenia, odznaczenie za zasługi dla SITG.

rzyszeń. Właśnie zakończyła rozliczanie III Mię-
dzynarodowego Kongresu Górniczego Rud Miedzi,
które odbyło się w minionym miesiącu w Lubinie.
Drugą kadencję jest sekretarzem Komisji Rewizyj-
nej przy Zarządzie Głównym SITG. Za wieloletnią
i niezmordowaną działalność dostała najwyższe
odznaczenie tego stowarzyszenia - Laur Zasług,
jedno ze stu, wręczane z okazji jego 100-lecia. Jest
jedyną tak wyróżnioną kobietą w Polsce.

– W KGHM nie tylko pracowałam i działałam
społecznie, z firmą tą kształciłam się i bawiłam.
Z Polską Miedzią podróżowałam oraz wybudowa-
łam dom, w którym mogę spokojnie mieszkać na
emeryturze – podsumowuje Krystyna Kędroń. ■

Do 1989 roku zdecydowaną większość strajków inicjowali ludzie z naszej firmy. Jeszcze wtedy byliśmy jednym z ważniejszych zakładów KGHM, z załogą liczącą około 1700 ludzi.

*Tadeusz Madziarczyk,
elektromonter pod
ziemią w ZRG/PRG,
PeBeKa i ZG Rudna.
Poseł na Sejm RP V
kadencji. Pracował
w latach 1979-2011*



Ciągnie mnie do twardych ludzi

Ochotnica Dolna i Górna tworzą najdłuższą wieś w Polsce. Charakterystyczne dla tego zakątka są liczne boczne dolinki, odchodzące od doliny głównej, w których rozlokowane są domy wypoczynkowe i prywatne kwatery. Strone zbocza, gęste lasy, bystre strumyki dają wrażenie dzikości i bliskości natury. Od zawsze czułem związek z tym miejscem, bo tam są moje korzenie. Moi rodzice – prawdziwi górale, ruszyli po wojnie za pracę na zachód Polski. Długo nie mogli znaleźć sobie miejsca. Do Lubina przyjechaliśmy z Prudnika, miałem wtedy zaledwie 3 lata, mogłem więc śmiało powiedzieć, że jestem lubinianinem.

Mama znalazła pracę na lampowni w ZG Lubin, ojciec, doświadczony górnik przodkowy, wcześniej fedrował na uranie w Kowarach, na „Konradzie”, potem przyjął się do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń w Lubinie. Z czasem i ja wybrałem podobny zawód.

■ Mogłem mu nosić narzędzia

Pracę elektromontera w Zakładzie Robót Górniczych dostałem po skończeniu szkoły zawodowej w 1979 roku. Pamiętam pierwszy zjazd na dół, na Polkowicach Zachodnich. Wprowadzał mnie brygadzysta Mietek Lepa. Wtedy

biliśmy chodnik na głębokości 1000 metrów, w okrutnych warunkach, praktycznie bez wentylacji i w temp. ok. 40 stopni Celsjusza - prawie przewracałem się ze zmęczenia. Przetrwałem tylko dzięki doświadczonym górnikom, którzy powtarzali: „Wytrzymasz, dasz radę!”. Do dzisiaj jestem zdania, że tam gdzie panują specyficzne warunki, musi być posłuch i szacunek dla bardziej doświadczonych. W tamtych czasach, kiedy zaczynałem pracę, było nie do pomyślenia, by czynić uwagi starszemu elektromonterowi. Mogłem mu nosić narzędzia, oprócz tego że miałem na ramieniu swoją torbę, ale wiedziałem, że się wiele od niego nauczę. Nie obyło się też bez psikusów, które wynikały z naiwności świeżo upieczonych pracowników. Pamiętam, pracowaliśmy przy legmetach. Jeden ze starszych kolegów kazał mi przynieść rug-cug, czyli wyciągarkę do naciągnięcia taśmy. Zrobiłem dwa kilometry z 30-kilogramowym ciężarem, by na koniec usłyszeć, że wyciągarka jest już niepotrzebna.

■ Urodzony w czepku

Najpierw pracowałem w oddziale energomaszynowym MS-5 na Polkowicach Zachodnich. Kierownikiem był Marian Wspólnik; trochę cho-

leryk, cięty na pracę, nikomu nie pozwolił usiąść, ale w gruncie rzeczy dobry i uczciwy człowiek. Jednak pierwszym, który uczył i pokazywał mi robotę, był brygadzysta Lechu Świerszcz. On też namawiał mnie do dalszej nauki i chyba przede wszystkim jemu zawdzięczam mój dalszy rozwój zawodowy. Po roku cały nasz oddział został przeniesiony na Rudną Zachodnią do oddziału MR-5, w którym pracowałem około 20 lat.

Wszędzie gdzie byłem, dopisywało mi szczęście i z różnych opresji wychodziłem cało. Pamiętam, kiedyś przewieszałem przewód przez chodnik, aby podłączyć go do zestawu a następnie do wentylatora. Po kilku sekundach od podwieszenia runął strop. Spadł w odległości 2, -3 metrów ode mnie i nawet mnie nie zadrasnął. Innym razem koledzy zbili dwa chodniki jeden nad drugim. Nad dolnym pozostał przewód, cienki jak palec, miałem ten kabel wyciągnąć. Byłem w połowie roboty, gdy obok mnie runęła stukilogramowa bryła. Tylko mi rękę drapnęła. Kiedyś też lampa górnicza się rozszczelniła, elektrolit poleciał mi na krzyże i tyłek. Trochę mnie poparzył, ale po tygodniowym zwolnieniu znów byłem w pracy. Chyba uwierzyłem w to, co powtarza mi mama: „Zostałeś w czepku urodzony!”.

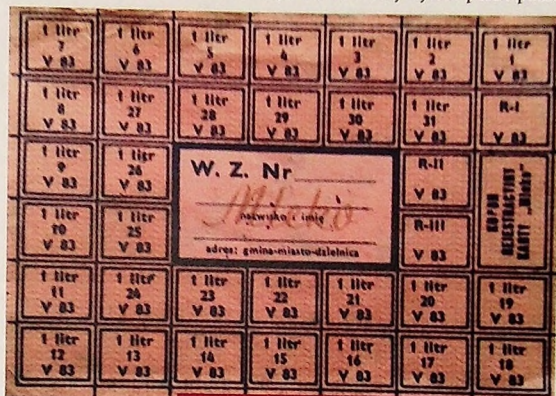
■ Terapia szokowa

Moi rodzice od zawsze byli tradycjonalistami. Ojciec często mówił: „Albo kościół, albo partia”, dlatego w 1980 roku wstąpiłem do NSZZ Solidarność. Jednak ostatecznie moje zapatrywania życiowe uległy radykalizacji na kilka dni przed ogłoszeniem stanu wojennego. Wtedy, 7 grudnia, przyszedł na świat mój pierwszorođny syn Łukasz. Niestety sklepowe półki świeciły pustkami, o sztucznym mleku można było tylko pomarzyć. Jedynym ratunkiem były dary z kościoła. Gdyby nie te dary, dziecko pewnie by z głodu umarło. Ta sytuacja podziałała na mnie jak terapia szokowa. A potem, kiedy po kilku dniach, na obrzeżach

miasta pojawiły się czołgi, moja agresja do niewygodnego, skompromitowanego systemu jeszcze bardziej wzrosła.

■ Podpowiadali linię obrony

Zaraz po 13 grudnia 1981 roku w naszej firmie wybuchł strajk. Dołączyłem do strajkujących. Siedzieliśmy pod ziemią przez wiele dni, a z zewnątrz dowożono nam jedzenie i różne inne, potrzebne rzeczy. Potem za udział w strajku zwolniono 90 osób. Wtedy byłem pełen podzi-



Kartka reglamentacyjna na mleko z czasów stanu wojennego w Polsce.

wu dla działu prawnego naszej firmy: radczyni Elżbiety Kwiatkowskiej i prawników: Franciszka Burdzego i Leszka Kaliciaka za ten majstersztyk zrobiony w sprawie przywrócenia strajkujących do pracy. Prawnicy odszukiwali zwolnionych, którzy rozglądali się za pracą po całym województwie i informowali ich o możliwości odwołania się od decyzji zarządu poprzez zakładanie spraw w Kolegium Odwoławczym przy Urzędzie Miasta. Pomagali ludziom w pisaniu podań, podpowiadali linię obrony, w efekcie niemal wszyscy z powrotem wrócili na swoje stanowiska.

■ Urwałem się sam

W 1982 roku, na imieninach u kolegi, pierwszy raz spotkałem się z Mirkiem Gojdzem. Rozmawialiśmy o opozycyjnym środowisku, dobrze znanym Mirkowi, wtedy też pomyślałem o dołączeniu do nich. Nieco później poznałem Stasia



LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

NR. 00054

NSZZ SOLIDARNOSC
ZRG LUBIN

.....
/podpis właściciela legitymacji/

Indeusz... Móz... Modelawych
/imiona i nazwisko/

Ur. 1961.02

.....
/adres/

JEST CZŁONKIEM NIEALCOHOLICZNEGO ZAWODOWEGO ZWIĄZKU ZAWODOWYCH "SOLIDARNOSC"

Zam Lubin ul. Trzebińska
Legitymacja 41/3

STATUT NSZZ "SOLIDARNOSC" rozdz. II §6
Celem związku jest: ochrona praw,
godności i interesów pracowników,
a w szczególności:

- 1/ ochrona interesów materialnych,
moralnych i kulturalnych człon-
ków oraz ich rodzin
- 2/ szerzenie praw pracowników
w zakresie wykonywanej
pracy, wypłaty, wynagrodzenia,
warunków materialno-bytowych
oraz bezpieczeństwa i higieny
pracy
- 3/ podejmowanie działań o charmo-
nizujący i pokojowy działa-
nia zakładać w interesach
pracowników
- 4/ umacnianie poczucia oraz ochro-
na życia rodzinnego
- 5/ szerzenie demokracji i umac-
nianie koleżeńskich solidarno-
ści w stosunkach zawodowych
- 6/ zapewnienie pracowników za-
mknięć podlegających kwalifikacji
zawodowych
- 7/ wpływ na kształtowanie polity-
ki gospodarczej i społecznej
- 8/ kształtowanie aktywnej postawy
działania dla dobra Ojczyzny.

Niski numer legitymacji świadczy o pozycji danej osoby w organizacji.

Sakwę, operatora z ZG Lubin (miał chyba najbar-
dziej rozległe kontakty nie tylko w dolnośląskim
podziemiu), a także Bogusia Nucińskiego i Józka
Dwojaka oraz fantastycznego drukarza Edwarda
Wertke. Pamiętam, chcieliśmy uczcić powstanie
Solidarności, dlatego w sierpniu 82 roku zaan-
gażowaliśmy się w zorganizowanie manifestacji
w lubińskim rynku. Razem z Mirkiem rozru-
ciliśmy po Lubinie i na kopalniach ulotki infor-
mujące o tym wydarzeniu. Oczywiście głównymi
organizatorami byli: Stanisław Śnieg i Szymon
Kanigowski. Manifestację miało zakończyć uło-
żenie krzyża z kwiatów. Wtedy też doszło do tra-
gedii, zginęła trójka młodych mężczyzn. Nastę-
pnego dnia wyszło na ulicę jeszcze więcej ludzi.
Do demonstrujących dołączyła młodzież szkół
średnich. Wielotysięczny pochód zatrzymał się
przy szpitalu, skandowano między innymi: „Od-
dać zwłoki!”, potem skierował się ulicą Traugutta
pod budynek policji i na ul. Odrodzenia pod ko-
mitet PZZR. Leciły kamienie, butelki z benzyną,
sytuacja stała się całkowicie nieprzewidywalna.

Byłem w tym czasie mocno obciążony obo-
wiązkami. Pracując cały czas na dole, rozpoczą-

łem naukę w Technikum Górniczym w Lubinie.
Zacząłem też coraz intensywniej zajmować się
kolportowaniem niezależnych pism i piśmek,
między innymi takich jak: „Robotnik”, „Z dnia na
dzień”, „Solidarność Walcząca”, „Tygodnik Ma-
zowsze”, „Żądło Robola”, „Bar(d)ak”, „Zagłębie
Miedziowe”, „Wolny Głos”, „Afganistan”, „Biule-
tyń Informacyjny ZRG Lubin”, „Uskok ZG Lubin”
itp., a także książek Solidarności Walczącej. Przez
kilka lat raz w tygodniu jeździłem na określoną
godzinę do Wrocławia i odbierałem materiały.
Było to organizacyjnie do pogodzenia, gdyż z ra-
cji nauki na wieczorówce miałem większą moż-
liwość pracy na noki.

Kiedyś pojechałem do Wrocławia po mate-
riały ze Staszkiem Sakwą, który wtedy był już
po odsiadce - został złapany z okładkami do
nielegalnych książek. Leszek Żołniak, wówczas
przewodniczący rady pracowniczej w „Cuprum”,
odprowadzał nas do tramwaju i nagle przyciszo-
nym głosem powiedział: „Ależ macie ogoni!”. Za-
brałem Staszce torby z ulotkami i urwałem się.
Najpierw wskoczyłem do najbliższego tramwaju,
potem do drugiego i kolejnego. Odetchnąłem,

gdy dojechałem do Lubina. Ulotki wrzuciłem u mamy do piwnicy. Po trzech dniach skontaktowałem się ze Staszkiem. Jak on mnie rugał: „Należało wszystko wywalić!”, a ja uparcie odpowiadałem: „Przecież to materiały, szkoda byłoby je stracić!”. Potem Staszek postanowił wyjechać na pewien czas do USA, a ja przejąłem część jego wrocławskich kontaktów.

■ Między swoimi, czyli w MR-5

Do 1989 roku zdecydowaną większość strajków inicjowali ludzie z naszej firmy. Byliśmy wtedy jeszcze jednym z ważniejszych zakładów KGHM, którego załoga liczyła około 1700 ludzi. Wykonywaliśmy głównie rozcinkę złoża dla powstałych kopalni. Jestem przekonany, że te ogromnie ciężkie warunki pracy kształtowały i hartowały załogę. Nasi ludzie byli bardziej energiczni, bardziej agresywni, gotowi do większych zadań.

O ile w firmie nie każdy angażował się w działania wolnościowe, w oddziale MR-5, było jak w dobrze funkcjonującej rodzinie. Niemal wszyscy, a w szczególności tacy jej członkowie jak: Wiesław Świerszcz, Lech Świerszcz, Piotr Smolarek, Leszek Michalski, Zdzisław Dębicki, Zbigniew Czachor, Eugeniusz Liszewski, Ryszard Chudzik, Leszek Cebo, Roman Furmanowicz, pomagali mi nie tylko w kolportowaniu gazetek, ale i w ich redagowaniu. 99 procent oddziału płaciło solidarnie składki na pomoc dla represjonowanych i na bibułę, gdyż rozumieli, że na każde drukowane słowo potrzebne są pieniądze.

■ Zamówienie Wacława Hawła

W 1984 roku, jak dobrze pamiętam, mocno działała w KGHM i na terenie Lubina grupa pebekowska z Adamem Myrdą i słynnym „sipowcem” Jankiem Kosowskim. Później, gdy większość aktywistów pozamykano, my będący tzw. drugim garniturem opozycjonistów, nagle staliśmy się w organizacji osobami pierwszoplanowymi. W tym czasie w Lubinie ruch solidarnościowy był chyba największy na Dolnym Śląsku, pomijając Wrocław, gdzie działał kapeenowcy i Solidarność Walcząca na czele z Kornelem Morawieckim. Pamiętam, że kiedyś właśnie w Lubinie robiono ulotki na zamówienie Wacława Hawła, dotyczyły Karty 77 - czechosłowackiego ugrupowania opozycyjnego wymierzonego przeciw reżimowi komunistycznemu. Chodziło

o wydrukowanie 500 egzemplarzy, które miały iść na Pragę. Nie mogłem się nadziwić tak małej ilości, bo była to kropla w stosunku do naszych zamówień - na samą naszą firmę rzucaliśmy jednorazowo około 2500 ulotek.

■ To pójdziesz do wojska

W październiku 1985 roku, w pierwszą rocznicę zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki, postanowiliśmy z Mirkiem Gojdzem złożyć wieniec na grobach Andrzeja Trajkowskiego i Michała Adamowicza - dwóch spośród trzech poległych w lubińskich zdarzeniach sierpniowych. Zrobiliśmy wieniec ze świeczyny wyciętej w lesie i we właściwym dniu poszliśmy na lubiński cmentarz komunalny. Już w trakcie układania wieńca zauważyliśmy, że nieopodal kręcą się jacyś obcy. Zbliżyli się do nas, gdy rozwijaliśmy wstęgi z napisem „Solidarność - Pamiętam!”. Mirek zdołał uciec, a potem nawet „wyczyścił” moje mieszkanie z ulotek. Mnie zatrzymano na 48 godzin. Pamiętam, jeden z „wesołych panów” pytał, czy byłem za granicą. Odpowiadając, uśmiechałem się: „Tak, za granicą byłem, ale miasta”. Wtedy zdzielił mnie ręką w twarz, a potem dalej: „Czy byłeś w wojsku?”. Wtedy wypaliłem machinalnie: „Co ty głupi jesteś?”. Tym razem nie było uderzenia, ale usłyszałem: „No to bédziesz w wojsku!”. Potem robili rewizję w moim mieszkaniu. Na szczęście znaleźli jedynie jakieś pojedyncze ulotki, za które zostałem postawiony przed kolegium. Znowu dopisało mi szczęście, bo przecież dwa dni wcześniej miałem w altance na działce około trzech tysięcy ulotek, które wypuściłem w przeddzień zatrzymania. Ostatecznie skończyło się na grzywnie w wysokości 35 tys. złotych. Kaucja została wpłacona, do dzisiaj do końca nie wiem, jak to zorganizowano. Domyślał się, że część pieniędzy zdobył Mirek, a drugą część dali koledzy z mojego oddziału MR-5. W ciągu dwóch dni otrzymałem wezwanie do WKU w Głogowie. Jednocześnie na kopalni zawiśła w gablocie informacja o moim skandalicznym przewinieniu. Intencją było odstraszenie ode mnie ludzi, efekt był jednak odwrotny. Zyskałem wielu kolegów, dawali mi odczuć, że trzymają ze mną. Nie miałem też żadnych kłopotów ze strony zarządu firmy, co było również bardzo ważne i krzepiące.

Przed wyjazdem do Głogowa dostałem w zakładzie zażalenie o odroczeniu ze służby



Wyjazd na jedną z manifestacji w Warszawie. Tadeusz Madziarczyk na pierwszym planie (za kobietą).

wojskowej. Na komisję WKU wszedłem ostatni z kolejki. Oficer, który mnie przyjął, podał na moich oczach odroczenie i spytał: „Chcesz iść do wojska?”. Odpowiedziałem: „Po cóż iść do wojska? Na głupiego nie wyglądam”. A on popatrzył na mnie i po chwili odrzekł: „To nie pójdziesz!”. Do dzisiaj nie wiem, czy trafiłem na życzliwego mi wojskowego, czy też może wiedział coś o moich planach odmowy przysięgi.

■ Czuję dyskomfort

Mało kto pamięta, że my z ZRG, w 1988 roku, byliśmy pierwszą grupą, która składała dokumenty dotyczące reaktywowania struktur solidarnościowych wewnątrz zakładu. Zostałem przewodniczącym Komitetu Założycielskiego w ZRG, a później, po legalizacji związku wybrano mnie na Przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność ZRG Lubin. Do tego momentu pracowałem na dole. Potem przez kilka lat byłem delegowany do pracy w związku. Jednym z największych problemów, który chciałem rozwiązać, była sprawa różnic w warunkach pracy i płacy pomiędzy zakładami górniczymi a firmami zewnętrznymi. My, jako firma, mieliśmy

warunki pracy dużo gorsze i płace dużo niższe. Przekonałem się o tym po przejściu w 1999 roku do ZG Rudna. Przydzielono mnie wówczas do oddziału E-7 elektrycznego (przodkowego), gdzie zastępcą kierownika był znajomy z MR-5 Wiesław Świerszcz. Trafiłem też w oddziale na Rysia Lechwara, Romana Furmanowicza, Władka Grockiego. Warunki pracy miałem nieporównywalnie lepsze: świeże powietrze, niższa temperatura; zdawało mi się, że złapałem pana Boga za nogi. A z drugiej strony, kiedy myślałem, że część moich kolegów nadal haruje w tych szczególnie trudnych warunkach, było mi przykro i czułem dużo dyskomfort.

■ Aż 8500 głosów

W strukturze miejskie PiS wprowadził mnie pełnomocnik Marcin Sutkowski. Akurat zbliżały się wybory i kompletowano listy. Namawiano mnie, żebym kandydował. Choć wcześniej nigdy o tym nie myślałem, świadomość poparcia ze strony ludzi z PeBeKa i ZG Rudna bardzo mnie mobilizowała. Wystartowałem z piątej pozycji i zrobiłem drugi wynik w okręgu, zdobywając około 8500 głosów, co oznaczało miejsce w parlamencie.

Praca w Sejmie to radykalny przewrót w życiu: inne wymagania, nowi ludzie, ogrom ustaw do czytania, przez które trudno prze-

w pierwszym dniu przyszedłem do pracy. Kierownik Wiesiek Świerszcz powiedział mi: „Dzisiaj wyjątkowo zostajesz na powierzchni”. Przez



Wizytówka z poselskiego fotela na Wiejskiej.

całą sztytę porządkowałem jakieś papiery, a po pracy prawie z całą zmianą spotkailiśmy się na pogaduszkach przy piwie w „Drewutni”, na szybie R-9.

Od 2007 roku do 2011 znów pracowałem jako elektryk pod ziemią. Nie powiem - dobrze mi było. W przepisowym czasie przeszedłem na emeryturę. Teraz staram się robić

brnąć, a także przyspieszona, wielokierunkowa edukacja. Znalazłem się w komisji gospodarki i komisji polityki społecznej. Owocem mojej pracy jest w dużej części ustawa uwłaszczeniowa, która umożliwia przekształcenie mieszkania lokatorskiego w spółdzielcze własnościowe prawo do lokalu. Niestety V kadencja trwała tylko dwa lata (2005-2007). Kiedy się zapoznałem z procedurami, z parlamentarnymi metodami działania, trzeba było się zabierać.

Czy zmieniłbym coś w swoim życiu? Chyba nie. Mam życie obfitujące w różne niespodzianki, w niebywale okazje poznawania wspaniałych ludzi. W ciągu dwóch lat w parlamencie nawiązałem cenne przyjaźnie, między innymi z Aleksandrą Natalli-Świat, Elą Witek, Giovannim Romanem czy Waldkiem Wiązkowskim. Mogę nawet powiedzieć, że w pewnym sensie czuję się spełniony. To co mogłem dać od siebie krajowi, to chyba dałem.

to, czego nie robiłem wcześniej. Dużo jeżdżę, ciągnie mnie do rodzinnych korzeni, czyli do Ochotnicy, skąd pochodzą moje obie babcie



Do pamiątkowej fotki zapozowali (od lewej): Sławomir Pączkowski, Tadeusz Madziarczyk i Jerzy Kołodziej - gospodarz imprezy pożegnalnej, zorganizowanej z powodu przejścia na emeryturę.

■ Na swoim miejscu

Wróciłem z Warszawy właściwie chory. Z powodu nadciśnienia miałem olbrzymi problem z powrotem do pracy. Przez dwa miesiące wyniki moich badań wstępnych wychodziły źle. W końcu wszystko się uspokoiło, zgłosiłem się na „Rudną” do oddziału E-7. Pamiętam, jak

od strony ojca i matki. Ciągnie mnie do ludzi twardych, zdecydowanych i aktywnych. Takich spotkałem w kopalni. Dlatego co najmniej raz w roku z kolegami z E-7, m.in. Władkiem Grockim, Wiesiem Świerszczem, Czesławem Tatarzyńskim, Rysiem Matykiewiczem żeglujemy po Mazurach i Bałtyku - smakujemy bliskość natury i przygodę. ■

słownik terminów

- **aparat ucieczkowy** – aparat oddechowy o ograniczonym zasobie tlenu, stosowany przez górników w zagrożonych przodkach, wystarczający do wycofania się w razie potrzeby do bezpiecznego miejsca
- **chodnik** – w górnictwie podziemnym wyrobisko korytarzowe prowadzone poziomo lub prawie poziomo (do 5° nachylenia), niemające bezpośredniego wyjścia na powierzchnię ziemi. Drażony w złożu daje urobek będący kopalnią użyteczną
- **czerpnia powietrza** – miejsce czerpania ze wnętrznego powietrza dla urządzeń wentylacyjnych lub klimatyzacyjnych
- **diagonała** – wyrobisko podziemne drażone w kierunku pośrednim między rozciągłością a nachyleniem pokładu
- **dozometr** – przyrząd do pomiaru dawki promieniowania jonizującego lub aktywności promieniotwórczej preparatów
- **fedrunek** – wydobywanie fragmentów złoża przez oddzielanie ich od jego całości
- **kampus** (łac. campus pole, równina), osiedle – obszar, na którym znajdują się budynki wraz z otaczającym je terenem
- **kawerna** – pusta przestrzeń w skałach, powstała w wyniku procesów naturalnych ługowania, czyli rozpuszczania składników skalnych
- **kotew** – ściągi stalowy umieszczony w otworze wywierconym w stropie, w którym się ją zaklinowuje, a pod wystającą część daje podkładkę i przykręca ją nakrętką
- **lingula** – rodzaj ramienionóg rodziny lingulidae, znane ze skamieniałości ponad 500 milionów lat
- **łupek** – skała osadowa lub przeobrażona charakteryzująca się tym, że daje się łatwo łupać w drobne płytki
- **łupek bitumiczny** – lupek ilasty zawierający bituminy, które zabarwiają go na ciemnobrunatno
- **łupek ilasty** – nazwa grupy skał ilastych dobrze uwarstwionych, łupiących się, a nie dających się rozcierać
- **łupki miedzionośne** – łupki bitumiczno-węglanowe zawierające minerały miedzi, a także innych metali, np.: srebra, ołowiu, niklu, kobaltu i in.
- **markownia** – naziemna część kopalni, gdzie przechowywano tzw. marki, indywidualne znaczki górników (przypominające np. numerki z szatni)
- **miąższość** – grubość warstwy (np. skalnej), kompleksu warstw lub innych struktur geologicznych, mierzona pomiędzy stropem a spągciem
- **obudowa kotwiowa** – obudowa stropu, której zasadniczą częścią są kotwie, czyli stalowe sworznie umocowywane w otworach wywierconych w stropie. Na wystającą ze stropu nagwinowaną część kotwi nasadza się płytę i przykręca ją śrubą
- **ocios** – boczna ściana wyrobiska górniczego w skale płonnej lub w kopalinie użytkowej
- **odprężenie górotworu** – zjawisko podobne do tąpnięcia, lecz o słabszym natężeniu i mniejszych skutkach. Między odprężeniem górotworu i tąpnięciem nie ma wyraźnej granicy, a ich rozgraniczenie zostało przyjęte w sposób umowny
- **odwiert** – ukończony otwór wiertniczy przygotowany do eksploatacji
- **opórkowanie** – zbadanie zasobności złoża na podstawie próbek pobranych z naturalnych bądź sztucznych odsłoneń złoża
- **petrografia** – nauka o skałach, zajmująca się składem i właściwościami fizycznymi i chemicznymi skał
- **piaskowiec** – zwięzła, zwykle drobnziarnista skała osadowa

- **pochylnia** – nachylone pod kątem do 45° wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki, drążone od dołu do góry, z transportem realizowanym z poziomu górnego na dolny

- **przecinka** – krótki chodnik poprzeczny łączący dwa sąsiednie wyrobiska

- **przecinka ścianowa** – chodnik wykonany dla połączenia chodników przyscianowych w celu przygotowania przodku ścianowego

- **Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud w Bolesławcu (PBK, PBKR, PRG, ZBK, ZRG)** – powołano w 1951 r. celem budowy kopalni w starym zagłębiu miedziowym. Wielokrotnie zmieniano swoją nazwę i status organizacyjny. W 1960 w miejsce PBKR w Bolesławcu, powołano Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie, które zostało generalnym wykonawcą robót górniczych w LGOM. W 1991 r. przedsiębiorstwo przekształcono w oddział KGHM pod nazwą Zakład Budowy Kopalni (ZBK). Dwa lata później powołana została spółka prawa handlowego pod nazwą PeBeKa Sp. z o.o. W styczniu 1997 r. połączono ją z Przedsiębiorstwem Robót Górniczych w Lubinie (PRG), a od 1 stycznia 1999 r., po przekształceniu w spółkę akcyjną, firma funkcjonuje jako Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.

- **przeróbka** – podnoszenie wartości surowego materiału przez poddawanie go odpowiednim zabiegom

- **przeróbka mechaniczna** – podnoszenie wartości technicznej i ekonomicznej urobku bez zmiany jego struktury chemicznej i mineralogicznej, głównie przez wzbogacanie. Zalicza się do niej również brykietowanie

- **przodek** – końcowa część wyrobiska, w którym odbywa się eksploatacja złoża

- **rewersja wentylacji kopalni** – zamierzona zmiana kierunku wszystkich prądów powietrznych w kopalni

- **rozcinka** – prowadzenie wyrobisk korytarzowych przygotowujących pole do wybierania kopaliny

- **sklerometr** – przyrząd służący do badania twardości skały na podstawie rysy, jaką robi na wyszlifowanej płytce badanej skały

SOWI – Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego utworzony na podstawie zarządzenia dyrektora naczelnego KGHM z 17 maja 1966 r. Nazwę zakładu zmieniono na podstawie zarządzenia dyrektora z 19 grudnia 1974 r. na Zakład Robót Górniczych, a następnie Przedsiębiorstwo Robót Górniczych, które zostało wchłonięte przez Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.

- **spąg** – dolna powierzchnia warstwy skalnej, pokładu lub wyrobiska

- **spągowanie** (in. pobierka) – wgłębianie się w spąg lub wybieranie skał ze spągu

- **spągowiec** – kompleks skał osadowych pochodzenia lądowego i skał wulkanicznych, obejmującym znaczne obszary Europy Północnej i Środkowej

- **stromeyeryt** – minerał z gromady siarczków (należy do grupy minerałów bardzo rzadkich)

- **sztolnia** – wyrobisko korytarzowe o małym przekroju poprzecznym, drążone w górotworze ze zbocza góry, poziomo lub pod niewielkim wzniosem w głąb góry do złóż kopaliny użytecznej

- **szytgar** – pracownik sprawujący dozór techniczny i częściowo administracyjny nad określonym działem kopalni

- **szytgar objazdowy** – pracownik nadzorujący kilka oddziałów lub taki, który ma powierzony dozór techniczny nad określonym zagadnieniem technicznym

- **szytgar oddziałowy** – kierownik oddziału

- **szyb** – wyrobisko górnicze pionowe lub pochyle o nachyleniu powyżej 45° o przekroju poprzecznym powyżej 4 m kw. i znacznej głębokości, prowadzące z powierzchni terenu do położonego w głębi ziemi złoża kopaliny użytecznej lub łączące wyrobiska poziome pod ziemią i nie mające ujścia na powierzchnię (szyb ślepy)

- **szybik** – rodzaj wyrobiska górniczego, swoją budową przypomina szyb, jednak nie łączy wyrobisk podziemnych z powierzchnią, lecz poszczególne poziomy kopalni ze sobą
- **szycha** – zmiana robocza
- **rzapie** – dolna część szybu, położona poniżej ostatniego poziomu, miejsce, gdzie zbiera się woda spływająca z szybu
- **thucholit** – kopalina wyglądem zbliżona do węgla kamiennego (dawniej uważana za minerał), która obok węglowodorów zawiera uran, tor i pierwiastki ziem rzadkich
- **wyrzut** – gwałtowne wydzielenie się znacznych ilości gazów z calizny z równoczesnym wyrzuceniem rozkruszonych odłamków skalnych
- **upadowa** – wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, nachylone do 45°, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki – drażone po upadzie (od góry do dołu), z transportem realizowanym z poziomu dolnego na górny
- **uskok** – struktura tektoniczna powstała w wyniku rozerwania mas skalnych i przemieszczenia ich wzdłuż powstałej powierzchni (lub wąskiej strefy zniszczenia), zwanej powierzchnią uskoku (lub strefą uskokuwą)
- **Upadowa Grodziec** – kopalnia położona w starym zagłębiu miedziowym, od 1958 roku włączona do ZG Konrad
- **wychodnia** – miejsce podchodzenia złoża ku powierzchni ziemi
- **wykrot** – zagłębienie w ziemi, także drzewo wyrwane z korzeniami przez wiatr
- **wyrobisko** – przestrzeń powstała w wyniku robót górniczych. Można podzielić stosując różne kryteria: na wyrobiska pionowe (szyby, szybiki), poziome (chodniki, upadowe, ściany, komory, zabierki) oraz wyrobisko korytarzowe – wyrobisko o dużej długości
- **Zakład Przeróbki Mechanicznej** – pierwszy zakład ZG Lubin do wzbogacania rudy, uruchomiony w 1968 r., przekształcony później w ZWR
- Zakłady Wzbogacania Rud (ZWR) – Oddział KGHM Polska Miedź S.A, którego zadaniem jest wzbogacenie rud wydobywanych w oddziałach górniczych, czyli trzech kopalniach. Składa się z trzech rejonów, zlokalizowanych przy szybach wydobywczych kopalni: Lubin, Polkowice-Sieroszowice i Rudna
- **ZG Konrad w Iwinach** – zlokalizowane na południowy wschód od Boleśławca. Składały się z trzech rejonów eksploatacyjnych: „Konrad”, „Upadowa Grodziec” i „Lubichów”. Działalność zakończyły z końcem 1989 r.
- **ZG Lena w Wilkowie** – znajdowały się w synklinie złotoryjskiej na południowy wschód od Złotoryi. Pod koniec II wojny światowej uległy zatopieniu. Już w 1948 roku, rozpoczęto prace nad odwodnieniem i uruchomieniem kopalni. Eksploatację rozpoczęto w 1950 r. a zakończono w grudniu 1973 r. z powodu wyczerpania złóż
- **zabior** – ilość urobku, która zostaje oddzielona od calizny przy zastosowaniu określonego sposobu urabiania
- **Zakład Badań i Doświadczeń KGHM** – jednostka Kombinat Górnico-Hutniczego utworzona w 1965 r., przekształcona w Zakład Doświadczalny
- **zawał** – niezamierzone, grawitacyjne przemieszczenie się mas skalnych lub kopaliny ze stropu albo ociosu, w stopniu powodującym niemożność przywrócenia pierwotnej funkcji wyrobiska w czasie krótszym niż 8 godzin
- **zrąb** – część skał otoczona zapadlinami lub podniesiona ponad sąsiednie obszary i odgraniczona od nich zwykle zbiegającymi się uskokami
- **zrąb szybu** – przypowierzchniowa krawędź obudowy szybu
- **zroby** – wyeksploatowana część złoża

FUNDACJA

KGHM

POLSKA MIEDŹ



wspieramy
**sport
i rekreację**

www.fundackjakghm.pl